



STANISŁAW WYGODZKI

ZATRZYMANY
DO
WYJAŚNIENIA

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1968



STANISŁAW WYGODZKI

ZATRZYMANE

• BIBLIOTEKA • KULTURY •

TOM 167

ZATRZYMANE DO WYJAŚNIENIA

WYDAWCA: WYDZIAŁ WYDAWNICTWA I KSIĘGARNIA

WYDZIAŁ WYDAWNICTWA I KSIĘGARNIA

WYDZIAŁ WYDAWNICTWA I KSIĘGARNIA

BIBLIOTEKA « KULTURY »
TOM 165

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par 78-MAISONS-LAFFITTE

STANISŁAW WYGODZKI

ZATRZYMANY DO WYJAŚNIENIA

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1968

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001018603710



II.777.523



© Copyright pour la langue polonaise by
INSTITUT LITTÉRAIRE, S.A.R.L., 1968

1969 W 814

— Jak wam smakowała kolacja?

— Smakowała — odparł Szpakowaty.

Człowiek siedzący za biurkiem oderwał wzrok od papierów leżących w nieładzie i uniósł głowę. Wyras zainteresowania, jaki malował się do tej pory na tej myślącej twarzy, pierzchnął. Przez chwilę przyglądał się w milczeniu człowiekowi siedzącemu naprzeciwko. Powiedział:

— Jesteście, towarzyszu, opryskliwy.

— Może. — Szpakowaty podniósł głos. — Czy naprawdę interesuje was, jak mi smakowała kolacja?

— Mam dbać o wasze zdrowie.

— Zostawcie to mnie i mojej rodzinie. Powiedźcie, o co chodzi, i puśćcie do domu. Dlaczego mnie trzymacie?

— Na jakiej podstawie t a k właśnie to określacie?

Człowiek za biurkiem odwrócił się gwałtownie wraz z fotelem i wyciągnąwszy dłoń wskazał otwarte okno. Szpakowaty spojrzał niechętnie w tamtą stronę. W otwartym oknie chwiała się lekko, kołysana wiatrem, delikatna i wiotka firanka. Na dworze, tam gdzie panował mrok, czerniał krzak bzu: zdawało się, że podchodzi blisko otworu okiennego. Światło lampy stojącej na biurku obrysowało kontur krzewu i Szpakowaty dostrzegł, że bez jeszcze nie zakwitł. Młodziutka i drobna zieleń, chwiejąca się z lekka, kipiała w czerni nocy. Ten za biurkiem rzekł:

— I to wy nazywacie „trzymaniem”? Zastanówcie się.

— Tak.

— Zgódźmy się. — Machnął ręką i powtórzył: — Zgódźmy się, jeśli wam na tym określeniu zależy. Jesteście nam potrzebny.

— Komu: nam?

— Partii.

— Słucham was.

— Nie ma powodu do denerwowania się. Nie traćcie spokoju, bo my chcemy naprawdę waszego dobra!

Po co ten wstęp i zapewnienia? — pomyślał spiesźnie Szpakowaty.

Podniósłszy wzrok powtórzył:

— Słucham was. Powiedźcie, o co chodzi.

— Bardzo nam przykro, ale musimy was poprosić o napisanie życiorysu.

— Dlaczego to takie przykre dla was? Partia zna mój życiorys; mimo iż często byłem jego mimowolnym sprawcą, nie jest on czymś przykrym. — Szpakowaty powiedział to spokojnie, powoli.

— Nie to, towarzyszu. Przykro mi, gdyż już jest dziesiąta wieczór.

— Więc cóż z tego? Mnie to nie przeszkadza.

Człowiek za biurkiem otworzył szufladę.

— Tu macie pióro, atrament, papier... — Pochylony nad szufladą mówił dalej: — Nie musicie pisać teraz. Piszcie, kiedy wam będzie wygodnie.

— Tak. Odpocznę, jestem zmęczony.

— Odpoczywajcie.

— Nie mam tu swoich rzeczy.

Na twarzy człowieka za biurkiem zjawiło się zdumienie.

— A gdzie się podziały?

— Były w samochodzie, którym przyjechałem wczoraj.

— O, to głupstwo. Dostaniecie te rzeczy jutro, tylko przypominajcie. Dobrze?

— Mam jeszcze jedną prośbę — powiedział szeptem Szpakowaty.

— Słucham was, towarzyszu.

— Mam umowę z żoną, że gdy gdzieś wyjeżdżam, natychmiast po przybyciu na miejsce dzwonię do domu.

Ten za biurkiem poruszył się żywo.

— Towarzyszu drogi! Dlaczego nie powiedzieliście o tym od razu? Jacy wy dziwni jesteście! Także sprawa! — Wstał i przechadzając się po pokoju mówił dalej: — Towarzyszu, jak mogliście do tej pory tak niepokoić żonę? — Przystanął i zwróciwszy się do Szpakowatego, który siedział nieopodal, powtórzył: — Dlaczego nie powiedzieliście o tym od razu?

— A więc mówię teraz.

— Teraz! Już minęła dziesiąta... Ale jutro. Ja wam jutro umożliwię rozmowę z rodziną. Zadzwońcie! A teraz śpijcie spokojnie. — Spojrzawszy ku oknu dodał: — Czy nie jest wam za chłodno?

— Już kwiecień.

— To nic. Każę napalić, jeśli odczuwacie chłód. Nie martwcie się o nic.

— Zbytek troskliwości, towarzyszu. Nie przywykłem do tego.

— W takim razie życzę wam dobrej nocy, towarzyszu. — Wyciągnął rękę na pożegnanie.

— Dobranoc, towarzyszu.

— Dobranoc.

Tamten ruszył ku drzwiom, wyszedł. Szpakowaty, ogarnięty milczeniem, nie mógł oderwać oczu od tych drzwi, lśniących bielą lakieru. Błyszczały i odbijały refleks lampy tak dokładnie, jakby tam wprawione było lustro, matowiejące z lekka. W tych drzwiach, świeżo pomalowanych, widniał judasz. Za drzwiami był korytarz, który przemierzył dzisiaj, zanim wszedł do tego pokoju z widokiem na ogród. Na mrok zalegający ten ogród kładła się lekka firanka, przesłaniająca otwarte okno.

Czuł się źle, męczył się szybko, oddychał z trudem, lecz mimo to nie pomyślał o odpoczynku ani leczeniu. Przejdzie — rozważał — minie. Nagle przeraziła go myśl, że to, co dokucza i nęka, to nie żadna choroba, tylko starość, najzwyczajniejsza starość ludzka, która musi nawiedzić każdego żyjącego. Każdego? Ile lat miał Jurek, gdy utonął na pływalni? A więc nie każdego żyjącego nawiedza starość i dolegliwość, ów skurcz w okolicy serca, który paraliżuje ramię i zapiera dech. Nikomu nie mówił o tych objawach: nie chciał niepokoić Marii ani Piotra, młodszego syna, jedyne, który został po nagłym zgonie Jurka.

Towarzyszom wyjaśniał nieraz:

— Nie pora teraz na chorowanie, choroba sobie poczeka. Teraz mamy ważniejsze sprawy. — Powtarzał sobie te słowa, gdy oderwawszy na chwilę wzrok od otaczających go książek, odpoczywał w ciszy zalegającej duży pokój, zastawiony półkami. Miał olbrzymie zaległości, powstałe w latach wojny, a właściwie w latach poprzedzających wojnę. W gruncie rzeczy niewiele przeczytał a jeszcze mniej przestudiował od 1938 roku poczynając, od owego okresu, gdy po rozwiązaniu partii przestał być nie tylko członkiem KC, lecz również — najzwyczajniejszej komórki partyjnej. Jeszcze się spierali późną jesienią o słuszność decyzji, którą im — trzem członkom kierownictwa pozostałym w kraju i poza więzieniem — zakomunikował Hubert. Byli wstrząśnięci. Pamiętał oczy Władysława, w których pokazała się łza, jedna, jedyna. Pamiętał oblicze Edwarda, surowe, skamieniałe, pełne bruzd. Nie wierzyli do tej pory: wiadomość podana w paryskim reakcyjnym dzienniku

nie zasługiwała na wiarę. Ta, którą przywiózł Hubert *via* Sztokholm — Paryż — Praga, nie ulegała już żadnej wątpliwości. Partia nie istniała. Teraz pojechali w pełni, dlaczego urwała się dostawa literatury, która nigdy nie nadchodziła punktualnie: zniweczono kontakty. Zachowywały się jedynie przyjaźnie zatrute żenującą świadomością, że ich współtowarzysze byli na usługach defy i że oni z nimi współpracowali przez tyle lat nie odmawiając im ani zaufania, ani wiary. Jak przyjąć uchwałę określającą w ten sposób postępowanie najbliższych towarzyszy, których znał od dziesiątków lat? Wtedy to zrodził się trwały, nie kończący się konflikt. Gdy trzeba było — stawał w obronie uchwały, która i jego czyniła współodpowiedzialnym za pracę kierownictwa opanowanego przez prowokatorów.

Bronił tej uchwały wbrew przekonaniu, wbrew sobie. Znał ich. Znał wszystkich członków KC od wielu lat i gdyby miał uwierzyć w ich winę, musiałby oskarżyć siebie; a przecież broniąc uchwały, oskarżał tamtych, najbliższych towarzyszy, serdecznych przyjaciół...

Gdyby miał ich bronić otwarcie, jawnie, musiałby znaleźć się w rzędzie tych, którzy szkalowali ocenę i orzecznictwo Międzynarodówki; znalazłby się w rzędzie tych, którzy od lat przeszkadzali, szczuli przeciwko pierwszemu na świecie państwu robotników i chłopów. Czy mógł tak postąpić?

Nie, nie chciał pod żadnym pozorem przykładać ręki do zbrodni, która dojrzewała w świetle dnia i w mroku nocy, gdy cała zbrojna Europa skwapliwie, ochoczo sposobila się do rozprawy ze Związkiem Radzieckim; chciał czegoś innego, chciał przeciwdziałać tym przygotowaniom, lecz kogóż miał do pomocy? Partia została rozwiązana, a defensywa mimo to sięgała po komunistów. Wsiąkł Edward, Władysław zdołał się wymknąć i, zmuszony żyć nielegalnie, przedostał się do Francji, skąd pisywał z rzadka skąpe listy, najpierw z północy, następnie z walczącej Hiszpanii. W listach z Francji były wzmianki i pozdrowienia od „Starszego pana”. Szpakowaty czytał te słowa i uśmiechał się do wspomnień, do przeżyć, rozmów i spotkań: „Starszy pan” był członkiem kierownictwa, działającego poza granicami kraju.

Jego, właśnie jego chciałbym zapytać, co myśli o naszych towarzyszach, którym kierownictwo Międzynarodówki postawiło tak ciężki zarzut. Czy go jeszcze kiedykolwiek zobacze? Ta myśl trapiła go, nie dawała spokoju: akceptując tamtą uchwałę potępiał przyjaciół i towarzyszy. Uspokajał się tłumacząc sobie, że skoro nie zabiera głosu w ich obronie, broni sprawy wielkiej i jedynej: Związku Radzieckiego.

Czytał zapamiętane. Odrabiał zaległości nie tylko tamtych lat, które poprzedzały wrzesień, lecz również tych, które wynikły

z powodu wojny. Przeżył ją w kraju, w Warszawie. Przez kilka miesięcy był na Szucha, w piwnicy z okratowanym oknem, wychodzącym na podwórze; potem był na Pawiaku, sporo czasu spędził w różnych mieszkaniach, na peryferiach miasta u przyjaciół. Mieszkania te zmieniał wielokrotnie w pośpiechu, przed zapadnięciem nocy, nim godzina policyjna chwytła za gardło zaszczone miasto.

Mimo to nie zestarzał się: chodził wyprostowany, ubrany schludnie, milczący, z dolegliwością, którą zatajał przed żoną, przed towarzyszami. Budził się w nocy z lękiem, serce biło gwałtownie, występował zimny pot.

Starzeje się, starzeje się — powtarzał wpatrzony w fotografię syna, który utonął w 1935 roku na pływalni, dwa dni po zdaniu matury. Szpakowaty wrócił wtedy pośpiesznie do domu z dalekiego kraju: nielegalnie przemierzył jedną granicę, drugą, trzecią. Jeszcze nie wiedział o co chodzi, trapiły go jedynie złe przeczucia: musiało stać się coś strasznego, skoro w krótkim czasie po wyjeździe Maria wzywała do powrotu. Towarzysze wyprowadzili go w drogę. Julian ścisnął mu dłoń na pożegnanie i mówił spokojnie, jakby chciał zbagatelizować wydarzenie: „Złatw tę sprawę i wracaj natychmiast...”

Już nie wrócił. W 1937 roku przecięto drogę, w tamtą stronę i stamtąd do kraju. Przez długi czas dręczył go niepokój, nie wiedział co myśleć o sprawach, które docierały tu zniekształcone, ciemne, zamglone. Leński, Warski, Kostrzewa, Łańcucki, Dąbał, Rwał, najbliżsi towarzysze i przyjaciele, należeli do kierownictwa partii, którą toczył rak prowokacji... Dla tysięcy członków partii kierownictwo było tworem bezosobowym, ciałem gromadnym, kolektywnym bez odrębnych twarzy, charakterów, cech, dla niego każdy członek kierownictwa miał swoje nazwisko, odrębną twarz, własne imię, cechy odróżniające go od innych ludzi, przeszłość niepodobną do przeszłości pozostałych towarzyszy. Każdy z tych towarzyszy miał dzieje minione i bieżące... Który z nich był prowokatorem? A może nie wiedział o nich wszystkiego. Czyżby oni wszyscy potrafili się tak doskonale maskować przez tyle lat i kryć się, kryć przed nim swoje nieczne czyny?

Znał metody działania ochrony i defy. Wspominał te sposoby, rozważał i oceniał je, przykładając w stanie bolesnego rozczarowania obecną swoją wiedzę o ludziach do tej, która pochodziła z lat minionych. Kiedy znał prawdę o nich? Dał wreszcie spokój; stanął przed zagadką, której nie potrafił rozwiązać, nie tylko w całości, lecz również w części. Jakże posiadał elementy oceny, osądu? Nie miał żadnych. Nie mógł mieć. Znajomość? Przyjaźń? Czymże to wszystko jest w wymiarze stosunku jednego człowieka do dru-

giego? Ale ten sam stosunek w wymiarze: człowiek — państwo, nabiera innej wagi, innego znaczenia. Czy wolno mu było zapominać, że to państwo robotników i chłopów żyje w otoczeniu wrogów? Czy wolno było wątpić, że to wrogie otoczenie zechce się posłużyć wszystkimi dopuszczalnymi i niedopuszczalnymi środkami w walce z państwem, które prowadzi wszystkim uciskany, gnębionym, upodlonym?

Wierzył i wątpił, i znów odzyskiwał nadzieję. Znał wypadki z przeszłości, gdy prowokacja wdzierала się aż do najwyższych instancji partyjnych, lecz nie znał wypadku, aby całe kierownictwo, cały KC składał się z prowokatorów i szpicli. Zbyt stare były tradycje pracy konspiracyjnej w tym kraju, aby prowokator wraz ze szpiclem mogli opanować kierownictwo partii. Pamiętał doskonale działacza bolszewickiego Malinowskiego, posła do Dumy, członka KC, przewodniczącego frakcji socjaldemokratycznej w Dumie. Malinowski był wysokiego wzrostu, barczysty, ubrany przyzwoicie. Szpakowaty poznał go w Warszawie w lutym 1913 roku. Tego dnia był tęgi mróz, Malinowski miał wysoką futrzaną czapę, która czyniła go jeszcze wyższym. Szpakowatego bardzo uradowała wiadomość, iż zetknie się z tym popularnym działaczem; znał i czytywał w „Prawdzie” jego płomienne przemówienia wygłaszane w Dumie, znana była powszechnie niespożyta energia posła. W Warszawie doszło do spotkania wyborców do IV Dumy ze swym posłem; zakończyło się ono pełnym sukcesem wybitnego działacza i agitatora. Wtedy to ustalono, że na jego ręce przesyłane będą z Warszawy materiały dla partii socjaldemokratycznej, która miała je wykorzystać w Dumie w obronie polskich robotników. Z kolei Malinowski przyrzekł Szpakowatemu, Haneckiemu, Bronkowskiemu, Unszlichtowi — działaczom SDKPiL, że skieruje do pracy wśród robotników rosyjskich w Warszawie odpowiedniego towarzysza, któremu będzie można w pełni zaufać. Istotnie, latem 1913 roku przybył do Warszawy wysłannik Malinowskiego. Malinowski i jego podopieczny — Afanasiew, byli prowokatorami. Po dużej wsypie aresztowani zostali członkowie KW: Leński, Winawer, z techniki: Bronkowski, Radzikowski, Rosjanin Medwied. Zamknięto wtedy mnóstwo robotniczy: Polaków, Rosjan...

W 1945 roku Szpakowaty wrócił do Warszawy z Zalesia, gdzie się ukrywał po Powstaniu. Niezwłocznie stanął do pracy, odnalazł sporo towarzyszy, którzy go znali z minionych lat, otoczyli go towarzysze z PPR. Oddawano mu hołdy, których nie pragnął i które mu były niepotrzebne. Bronił się przed objawami nadmier-

nego szacunku. „Na nic nie zasłużyłem — mówił ludziom, którzy spoglądali na niego jak na żywy dokument historii. — Dajcie spokój”.

Na pierwszej naradzie członków PPR padło z trybuny jego nazwisko obok nazwiska „Starszego pana”, który jeszcze wówczas przebywał w Paryżu, gdzie przetrwał okupację i teraz organizował placówki nowego państwa, repatriację do kraju. W pracy tej posługiwał się czasopismami i periodykami, które sam zakładał, redagował i częściowo wypełniał artykułami i notatkami pełnymi zjadliwego dowcipu i ciętych uwag, z których to cech słynął od czterech dziesiątków lat w kołach partyjnych. „Starszy pan” miał niebawem wrócić, a na pierwszej naradzie PPR w nim, w „Starszym panu”, w kilkunastu siwych robociarzach zgromadzonych na naradzie zebrani ujrzeni żywą tradycję, nieprzerwaną ciągłość boju klasowego w Polsce... Gdy padły słowa o ciągłości walki, Szpakowaty zamierzał wstać i zapytać prezydium, czy towarzysze, którzy przebywali w czasie wojny w Związku Radzieckim, nie wiedzą nic o dawnych towarzyszach i czy prawdą jest to, co o nich mówiono i co mówi się nadal? Przygotowywał się do tego przemówienia w podnieceniu, niecierpliwym, w aurze przypominającej rok 1918, okres Rad Delegatów Robotniczych, gdy tysiączne tłumy manifestowały na ulicach Warszawy.

Teraz nie było tych ulic, nie było miasta. Dawny obraz, pulsujący krwią, zbladł; prosto z narady uczestnicy wyszli na ulicę z łomami, kilofami, łopatami i przystąpili do oczyszczania placu z gruzów. Szpakowaty był pośród innych, lecz zmęczył się szybko. Do pękatej, wysoko umieszczonej wywrotki zdołał zaledwie wrzucić kilka rozbitych cegieł, trochę piachu, zgarniętego z niewielkiego występu chodnika. Mimo to czuł, że uczestniczy w ruchu, który zapoczątkował odbudowę. W pewnej chwili ujrzał się wśród ludzi, którzy zasiadali niedawno w prezydium: stali na ulicy wśród wielu innych, nie wyróżniający się ani strojem, ani wyglądem. Jacyś nieznani przechodnie chwyтали łomy, by nimi rozbijać odporne gruzy, inni łopatami ładowali ten gruz na wozy. Czy była to zatem odpowiednia pora, by zapytać o tych, których nieobecność niepokoiła i przypominała, że mogli być wśród żywych, godni tego szacunku, jakim obdarzano jego? Czy on zasłużył na ten szacunek? Czy nie milczał wtedy, gdy straszne podejrzenie położyło kres nadziejom i wierze?

O tamtych w ogóle nie mówiono, milczano.

— Co będziecie robili? — zapytali towarzysze z troską w głosie. — Jakby was urządzić, żebyście mogli spokojnie pracować?

Ktoś przypomniał, że był kiedyś wybornym znawcą zagadnień leśnictwa, przemysłu drzewnego, obróbki. Nikt nie wspomniał

o działalności politycznej. Pojął niejasno, że tamta sprawa znów się zjawiała. Od iluż to lat nie zajmował się dziedziną, którą studiował kiedyś we Francji i Niemczech? Kto przypominał, że był leśnikiem? Dlaczego nikt się nie znalazł, kto by przypominał, że obok „Starszego pana” jest jedynym żyjącym jeszcze członkiem kierownictwa SDKPiL, jednym z nielicznych żyjących członków kierownictwa KPP? Co to wszystko miało znaczyć?

— To nadzwyczajne pole działania — tłumaczył mu poważny człowiek, który kreślił przed nim olbrzymie plany rozwoju przemysłu drzewnego w Polsce. — Czy wiecie, ile nam trzeba będzie drzewa? Nawet pojęcia nie macie. Weźcie rozwinięte kopalnictwo węgla, rud, zwaźcie potrzeby budownictwa — nowe domy, a, to znaczy nowe meble, przyrost ludności, a to znaczy nowe szkoły, ławki. I rzecz najważniejsza: polityczna strona zagadnienia. Na pewno wiecie, że ta dziedzina jest całkowicie opanowana przez reakcję. Można by powiedzieć — mówiący roześmiał się hałaśliwie — że l a s opanowany jest przez podziemie, które nie złożyło jeszcze broni. Kto tam ma walczyć? — Urwał, lecz po chwili dodał: — Jesteście starym, doświadczonym towarzyszem. Traktujcie to jako zadanie polityczne pierwszej wagi. — Nie czekając odpowiedzi dodał jeszcze: — Powierzamy wam odbudowę tej dziedziny gospodarki narodowej.

— Proszę, dajcie, jeżeli uważacie, że powinienem to robić.

Przyjął to zadanie niechętnie, pocieszając się myślą, że niebawem przypomną sobie o nim, starym działaczu, i powierzą pracę inną, pilniejszą. Tymczasem nastąpiło coś, co go na długo oderwało od tych spraw. W 1946 roku stwierdzono u jedynego syna, Piotra, objawy tajemniczej choroby. Orzeczenie było krótkie, nader lakoniczne, przerażające swą zwięzłością: u Piotra podejrzewano istnienie nowotworu na mózgu. Oboje byli przerażeni. Maria nie odstępowała dziewiętnastoletniego, smukłego chłopca, zapowiadającego się świetnie: był czytany, inteligentny, rozmiłowany w naukach matematycznych. Gdy towarzysze dowiedzieli się, że straszliwa choroba zaatakowała jedynego syna zasłużonego działacza, postanowili mu pomóc.

Człowiekiem, mogącym zapewnić skuteczne leczenie i jako tako uspokoić ciężko doświadczonych rodziców, był Szwed, profesor Olivercrone, uczony światowej sławy. Szpakowaty pojechał z synem do Szwecji, gdzie znakomity uczony dokonał trudnej i niebezpiecznej operacji. Pełen lęków i drżenia, Szpakowaty przeczekał czas rekonwalescencji w Sztokholmie. Nieszczęśliwym człowiekiem zaopiekowali się pracownicy polskiej placówki dyplomatycznej.

Nie znał tych ludzi. Wśród pracowników przeważali młodzi urzędnicy; również dojrzalsi wiekiem wywodzili się z innych krę-

gów. Należeli do PPR, niektórzy tylko mieli za sobą działalność polityczną z dawniejszych lat. Wiezorami w okresie niepogody zbierano się w świetlicy placówki, gdzie czas schodził na pogawędce. Niektórzy czytali. Tam odpoczywał Szpakowaty, czekając z niecierpliwością następnego ranka, by wpaść do szpitala i zapytać o stan zdrowia, który się zresztą polepszał z każdym dniem. Któregoś wieczoru, na kilka dni przed powrotem do kraju, gdy Piotr był już u boku ojca, zjawił się w pokoju hotelowym pracownik placówki. Był nim niejaki Karot, którego Szpakowaty poznał pewnego deszczowego wieczoru w świetlicy. Karot napomknął wówczas, że przed wojną stykał się z działaczami komunistycznymi i czynił aluzje do jakiejś tam styczności z ludźmi, których Szpakowaty również znał. Obecnie przyszedł, by pożegnać towarzysza wracającego z uleczonym synem do kraju.

I tym razem powiedział:

— Ja was właściwie znam od dawna.

— Już wspomnieliście kiedyś o tym, ale jakoś brakło wam odwagi, by mi wyjaśnić tę okoliczność.

— Osobiście nie znałem was aż do chwili przybycia do Szwecji. Ale wasze nazwisko znam dobrze.

— Skąd? I dlaczego mówicie o tym dopiero teraz?

— Nie było okazji.

— Gadajcież, skąd mnie znacie? — Szpakowaty był ożywiony, wesół. Spoglądał na syna, który siedział w głębokim fotelu, spokojny, bez oznak niedawnego cierpienia. Chłopiec przysłuchiwał się rozmowie.

— Miałem was odszukać w 1935 roku.

— W 1935 roku? Tak dawno? I dlaczego nie uczyniliście tego?

— To nie było wówczas takie łatwe. Czy pamiętacie Mizere? Szpakowaty zbladł. Wstał ociężale i podszedł do Karota.

— Co wiecie o tym człowieku?

— Nic nie wiem.

— Więc dlaczego o nim mówicie?

— Bo wtedy, w 1935 roku, prosił, abym was zawiadomił, że się obawia podejrzeń towarzyszy.

— Dlaczego mówił wam o tym?

— Bo został sam. Cały sekretariat aresztowano, tylko on ocalał.

— I to nazywacie „ocaleniem”?

— Nie wiem jak to nazwać. W każdym razie miałem się z wami spotkać już wtedy, właśnie w 1935 roku.

— Że też zapamiętaliście moje nazwisko!

— Pamiętam nawet wasz adres: Ogrodowa.

— Tego domu już nie ma.

Zapanowało milczenie. Piotr oglądał miesięcznik nadesłany z kraju. Wreszcie Szpakowaty zapytał:

— Czy uwierzyliście wtedy, że zwłoki wyciągnięte z glinianki na Marymoncie to było ciało Mizery, którego zamordowali rzekomo komuniści za to, że sygnął zebranie sekretariatu?

— Nie było podstaw, aby nie wierzyć. Znałem obawy Mizery, mówił mi, że podejrzenia towarzyszy obróć się przeciwko niemu.

— A co kazał mnie powiedzieć?

— Że jest niewinny, że to był przypadek. Prosił, aby go nie podejrzewano o współpracę z defą.

— Partia nie wydała na niego wyroku — powiedział Szpakowaty.

— Nie? — Karot był zdumiony. — W takim razie gdzie podział się Mizera? Po tym komunikacie o znalezieniu zwłok Mizery nikt go więcej nie widział.

— Na to wam nie odpowiem. Ja jestem przekonany, że to nie było ciało Mizery. Defa przypięła to nazwisko innym zwłokom, aby wywołać wrażenie, że Mizera już nie żyje a więc nie może więcej działać.

— Tak przypuszczacie?

— Tak. Już zetknąłem się kiedyś z podobnym wypadkiem. Na pożegnanie Karot rzekł:

— Gdyby wam czegoś trzeba było, napiszcie.

— Czegoż mnie trzeba?

— Mówię o lekarstwach.

Twarz Szpakowatego pociemniała. Unikając spotkania ze wzrokiem syna, odprowadził gościa aż do drzwi.

Po powrocie do kraju znalazło się dla niego miejsce w jakimś centralnym zarządzie, sprawującym nadzór nad przemysłem drzewnym i meblarskim. Propozycję objęcia kierownictwa nad wielkim zakładem — odrzucił, chciał być blisko domu, Marii, pełnej obaw i niepokoju, oraz syna, którego potajemnie z troską obserwował. Miał powody ku temu. Profesor sztokholmski żegnał go chłodno, powściągliwie. Zapytany o to, czy Piotrowi nic w przyszłości nie grozi, odparł, że nie jest wróżbitą, że medycyna ma najmniej wspólnych cech z proroczymi enuncjacjami. „Jako lekarz — oświadczył profesor — gotów jestem nieść pomoc chorym, którzy jej potrzebują”. Życzył zdrowia...

Szpakowaty uspokajał się powoli. Syna przyjęto na politechnikę, do mieszkania na Saskiej Kępie wrócił zwykły nastrój porządku, systematycznej pracy, lektury. Wyraził wówczas kilkakrotnie chęć

odwiedzenia zakładów, które podlegały zarządowi. Uzyskał zgodę, ale nie bez oporów. Szpakowaty chciał „po drodze” odwiedzić tartaki, fabryki mebli, sklejek, lasy, wyręby. Wywołało to zdziwienie. Ktoś w żartach powiedział coś o agresji i zachłanności. „Za dużo chcecie oglądać, to nie jest takie proste”. Zdanie to przypomniał sobie nieco później, gdy miejsce entuzjazmu i zadowolenia zajął smutek. Stał się małomówny.

— Co się stało? — pytała Maria po każdym powrocie z inspekcyjnej podróży.

Początkowo zbywał ją milczeniem, wreszcie powiedział:

— Dziwne, to wszystko jest bardzo dziwne.

— Co wydaje ci się dziwne?

— Wszystko, wszystko.

— Ale co?

Odpowiedział jej opryskliwie, więc dała spokój.

Latem 1948 roku odwiedził fabrykę mebli w Bydgoszczy, został na zebraniu załogi, które początkowo przebiegało spokojnie, następnie przybrało jednak charakter burzliwej masówki z przemówieniami pełnymi rozgoryczenia. Nastrój niepokoju wzmógł się, gdy robotnicy zaczęli mówić o normach i krzywdzących zarobkach, które nie wystarczają na zakup chleba i odzieży dla dzieci. Szpakowaty przyglądał się w milczeniu rozgorączkowanym ludziom, w jego sercu wzbierał niepokój. Mówcy operowali cyframi, statystyką, cenami, argumentowali w sposób nie dający się odeprzeć. Dowiedział się, że cyfry, które stanowią dumę centralnego zarządu, są tu oceniane jak symbole krzywdy i zła.

W jakiś czas potem pojawili się w gmachu centralnego zarządu delegaci robotników leśnych i tartacznych, domagając się zwiększenia przydziałów żywnościowych. Nikt nie chciał z nimi mówić, odsyłano ich do ministerstwa aprowizacji.

Do robotników stojących w korytarzu Szpakowaty powiedział:

— Zaczekajcie, idę z wami. My nie mamy tutaj ani chleba, ani mięsa. Pójdę z wami do ministerstwa, które zarządza tymi artykułami.

W obszernym gabinecie dyrektora departamentu, zawalonym stosami papierów, zalegających bez ładu i składu stały a nawet podłogę, urzędował człowiek w średnim wieku, niewielkiego wzrostu, o twarzy pociągłej i bladej. W tej twarzy płonęły przedziwne, niepokojące, duże, czarne oczy. Dyrektor departamentu sprawiał wrażenie człowieka niewyspanego, pod oczyma leżały cienie, dużo palił. Dyrektor przysłuchiwał się w milczeniu wywodom delegatów: były one krótkie, bardzo przejrzyste. Żądania delegatów ujęte zostały w kilku punktach. Dyrektor departamentu notował pilnie, po czym odpowiedział zebranym. Niewiele mógł im pomóc.

Normy ustalone zostały w skali krajowej, nie uwzględniały oczywiście faktu, że ludzie zatrudnieni z dala od domostw i osiedli muszą zabrać ze sobą do lasu więcej chleba i tłuszczu, ponieważ obiad lub inny ciepły posiłek mogli zjeść raz na dwa lub trzy dni, w najlepszym wypadku późnym wieczorem, po powrocie do domu, który opuszczali wczesnym rankiem.

Szpakowaty przyglądał się temu człowiekowi z zainteresowaniem. W pewnej chwili wydało mu się, że go już gdzieś kiedyś widział, lecz nie poświęcił tej sprawie większej uwagi. Ważniejsze było to, co dyrektor wyjaśniał. Szpakowaty rozumiał na połę argumentację dyrektora, na połę nie godził się jednak z mówcą. Osobiście nie miał mu nic do zarzucenia: nie było w nim urzędniczej oschłości, która by świadczyła o bezduszości, nie było w nim wyniosłości, która cechuje gburów nie rozumiejących sytuacji, w jakiej znaleźli się inni ludzie. W zmęczonych oczach niepozornego człowieka dopatrzył się przeblysków współczucia dla doli drwali i traczy, lecz delegatom to nie zdało się na nic.

— Jesteśmy biedni, państwo jest biedne — tłumaczył zebranym, którzy palili w milczeniu papierosy dyrektora. Były to te same „Junaki”, które drwale mieli w kieszeni.

— Więc co robić? — zapytał Szpakowaty.

— To zależy od naszego wspólnego wysiłku, od pracy całego narodu.

Szpakowaty rozważał te słowa, które tylko w pierwszej chwili zabrzmiały jak frazes. Nie był skłonny przypisywać cech tragizmu sytuacji, w której nie pisał odezwy, wzywającej wygłodzonych robotników, aby zastrajkowali. Skąd wziąć? — rozważał — skąd? Do czego miał wezwać tych ludzi? Do strajku przeciwko zarządzeniom centrali, której się wszystko rozlażyło w rękę, zanim jeszcze dotknęła czegokolwiek? Gdy było drzewo, nie stało środków transportu, gdy był transport, nie było właściwej ilości metrów surowca. Nadchodzący do fabryk materiał nie był odpowiedni: odpowiedni kierowano tam, gdzie go niszczone.

Specjaliści, fachowcy od ekonomii, kreślili plany, wytyczali drogi rozwoju przemysłu, rolnictwa, nauki i techniki, tymczasem robotnikom leśnym spieszyło się: już chcieli jeść, musieli odziać gołe dzieci. A on musiał im tłumaczyć, dlaczego potrzebna jest cierpliwość, systematyczna praca, nawet o chłodzie i głodzie.

— A wam, towarzyszu, także chłodno i głodno?

To pytanie postawił mu jakiś niepozorny człowiek w tej samej fabryce mebli w Bydgoszczy, gdzie niedawno był świadkiem burzliwego zebrania. Robotnik był zbiedzony, rozdygotany, podniecony własną śmiałością. Nie otrzymawszy odpowiedzi dodał:

— Ja znałem komunistów, ja znałem towarzyszy Warskiego i Dąbala...

Szpakowany szukał go następnego dnia po całym zakładzie. Ten człowiek pozbawił go resztek spokoju. Co on wiedział o nim? Czy wiedział, ile lat spędził w więzieniach, ile miesięcy czekał w X Pawilonie, zanim wyruszył na zesłanie, ile lat przesiedział za sanacji? Czy wiedział, ile przecierpiał, ile przetrwał głodówek, bicia, miesięcy pogardy nieludzkiej? Szpakowaty przemierzył wszystkie hale, plac, lecz nigdzie nie spotkał tego zabiedzonego człowieka. Chciał z nim pomówić, również i on znał Warskiego i Dąbala, może mieli jeszcze więcej wspólnych znajomych i przyjaciół? Szpakowaty nie chciał pytać o tego człowieka, pragnął go zagadnąć bez zwracania uwagi na siebie. Nie było go. Pomyślał, że może przyjdzie na następną zmianę, lecz gdy go nie odnalazł, zapytał kierownika zakładu, czy nie wie, kim jest ów robotnik, który go wczoraj zaatakował. Słowo „zaatakował” powiedział z uśmiechem, chcąc umniejszyć jego groźny ciężar. Chciał zbagatelizować sprawę, która mu nie dawała spokoju.

Kierownik zakładu kroczył obok niego i nie odwracając głowy powiedział:

— Bądźcie spokojni, towarzyszu.

— O co mam być spokojny? — odparł Szpakowaty.

— On już nie będzie pytał.

— Co to znaczy? — Szpakowaty przystanął.

— Przecież to było wrogie wystąpienie.

— Co było wrogim wystąpieniem?

— No, to pytanie pod waszym adresem.

— Nie rozumiem.

— Takie pytania może stawiać swoim koleżkom.

— Tak sądzicie? — Szpakowaty nie spuszczał oczu z twarzy kierownika.

— To dla mnie jasne jak dwa razy dwa.

— Hm. I co się z nim stało?

— Zrozumie i nie będzie więcej stawiał prowokacyjnych pytań.

— Nie widziałem w jego pytaniu nic prowokacyjnego.

— Tak? — Tamten wytrzymał wzrok Szpakowatego. — To może mu odpowiecie na to jego pytanie, co?

Szpakowaty milczał. Tamten ciągnął dalej.

— Prowokatorzy są wszędzie, wszędzie się usadowią.

— Na jakiej podstawie tak mówicie?

— Jak to: na jakiej podstawie? Wam się zdaje, że wróg nie działa? A Jugosławia? A Tito?

Szli przez olbrzymi plac. Z zamkniętych hal dobiegał ich rów-

nomierny, spokojny szum motorów. Tylko dźwięk piły rozrywał ten monotonny szum wysokim, rozdzierającym świstem.

— Słuchałem radia dziś rano, wy spaliście jeszcze — rzekł kierownik.

— I co tam nowego? — zapytał niechętnie Szpakowaty.

— Był komunikat o aresztowaniu nowej bandy dywersyjno-spiegowskiej.

— Ciekawe. Czy podano szczegóły?

— Trzaśnięto tego dyrektora departamentu, u którego byliście kiedyś z delegacją.

— Niemożliwe! — Szpakowaty przystanął, czekając dalszych wyjaśnień.

— Dlaczego: niemożliwe?

— O co go oskarżają?

— Powiedziałem wam: o działalność dywersyjno-spiegowską.

Szpakowaty przyspieszył kroku. Czy można się dziwić, że w kraju jest źle, skoro na stanowiskach dyrektorów departamentu w ministerstwach siedzą szpiedzy, dywersanci? Spojrzawszy z ukosa zapytał:

— A ten robociarz, który wczoraj stawiał pytania?

— Ja tam nie wiem, jaki on jest. Śledztwo wyjaśni.

Szpakowaty zaniepokoił się.

— Jeśli dobrze rozumiem, ten człowiek został aresztowany.

Kierownik uniósł dłoń i dotknąwszy nią czoła rzekł:

— Już moja w tym głowa. Mnie tu partia postawiła, żebym pilnował. Bądźcie spokojni, towarzyszu.

Wracał z tej podróży rozbity, zgorzkniały. Czuł swoją bezradność: w urzędzie bezpieczeństwa nic mu nie chcieli wyjaśnić. Gdy opowiedział towarzyszom o tym wydarzeniu, pytali:

— Więc skąd mamy wziąć? Powiedzcie sami. Łatwo stwierdzić braki, ale jakie proponujecie rozwiązanie?

— Ja nie wiem, nie jestem ekonomistą. Wiem tylko, że ludzie są głodni i jeśli o tym mówią, nie znaczy to, że są wrogami. Ustalmy te dwie rzeczy.

— Wyrzekacie się współodpowiedzialności.

— Ja?

— Tak, wy!

— Możliwe, zupełnie możliwe, lecz mimo to chciałbym wiedzieć, dlaczego zamknięto tamtego robociarza i jak to wpłynie na rozwiązanie spraw głodujących ludzi.

— A jeśli wszyscy zaczną stawiać takie same pytania?

— Wszyscy! Wszyscy! — Szpakowaty tracił panowanie. —

Jeśli sędziacie, że wszyscy tak zapytają, to znaczy, że trzeba wszystkim odpowiedzieć. Nie wsadźmy chyba wszystkich pytających do więzień!

— Trzeba ludziom wyjaśniać.

— Gdzie? W więzieniu?

— To rzeczywiście nie jest najlepsze miejsce dla pozyskania nieprzekonanych.

— Ależ to robociarz, ludzie, robociarz! Tacy jak on byli ze mną niedawno z delegacją w ministerstwie...

— Właśnie.

— Co: właśnie? — zapytał z lękiem.

— Tam aresztowano dyrektora departamentu.

Po chwili jeden z obecnych dodał:

— Dopóki się nie widzi innego rozwiązania, nie należy krytykować. To jest najłatwiejsze, ale wskazać drogi wyjścia, do tego nikt się nie kwapi.

Kilka tygodni później, nieoczekiwanie, zaproponowano mu wyjazd do Czechosłowacji w celach leczniczych. Propozycja zdumiała go, zaskoczyła. Nie rozumiał o co chodzi. Nie uskarżał się na nic, nie żalił. Lekarz, który go zbadał, odkrył nagle, że organizm jest niezwykle wycieńczony, a wydolność serca nienadzwyczajna.

— Pojedźcie, odpoczniecie. Nie przepisuję specjalnej kuracji, wam tylko potrzebny odpoczynek.

— Odpocznę w kraju.

— Możecie, ale tam, w Czechosłowacji, mamy kilka miejsc w wybornych domach wypoczynkowych.

— Ludzie, co wy chcecie! Co wy ze mną robicie?

— Towarzyszu, gdyby mnie zaproponowano...

— Może wam potrzebna jakaś kuracja, ale mnie nie. Dajcie spokój!

— Musicie pojechać — dodał lekarz dobrotliwie. — Wyznaczono termin wyjazdu. Już mamy bilet, zamówiliśmy miejsce.

— Ale dokąd mam jechać? Dajcież spokój!

— Do Karlovych Varów.

W domu opowiedział Marii o proponowanym wyjeździe. Maria ucieszyła się.

— Pojedź, ojcie — wtrącił Piotr. — Odpoczniesz. Nie pamiętam, abyś kiedykolwiek był na urlopie.

Maria pomogła mu zapakować kilka drobiazgów, trochę bielizny. W przeddzień wyjazdu wezwano go do centralnego zarządu, by omówił ze swym zastępcą dodatkowe jakieś sprawy, które właśnie wypłynęły.

Już chciał go pożegnać, podał mu rękę, lecz tamten ciągle o coś pytał, nie mógł zakończyć rozmowy. Szpakowatemu zdawało się, że już może wyjść, gdy tamten znów przypominał sobie o jakiejś nie załatwionej sprawie. Pytania były błahe, nieistotne i to ciągle nagabywanie zaczęło gniewać Szpakowatego. „Nudziarz — myślał w duchu — piła, czego on chce ode mnie? Po co mnie jeszcze zatrzymuje?” Spojrzał na zegarek. Wtem zadzwonił telefon. Zastępca zdjął słuchawkę i zaczął z kimś rozmawiać. Początkowo Szpakowaty nie zwracał nawet uwagi na toczącą się rozmowę, lecz w pewnej chwili zjawił się uśmiech na twarzy zastępcy. Zasłoniwszy ręką słuchawkę zwrócił się do Szpakowatego i powiedział szeptem:

— Słuchajcie, pewien pułkownik chce się z wami widzieć.

— Przed wyjazdem?

— Właśnie. Ma do was jakąś sprawę w związku z wyjazdem.

— Ale ja nie mam czasu — zachnął się Szpakowaty.

— Prosi, abyście coś załatwili dla niego w Karlovych Varach.

— Mam mało czasu.

Zastępca powtórzył. Nieznany głos tłukł się w czarnej tubce. I znów do Szpakowatego:

— Pułkownik powiada, że przyjdzie do was, zwłaszcza że on ma do was interes, a nie wy do niego.

— Spytajcie, jak się umawia.

Zastępca ciągle zasłaniał słuchawkę rozwartą dłonią.

— Pułkownik powiada, że będzie na dworcu, i pyta, czy was ktoś odprowadza.

— Nie, nikt mnie nie odprowadza — odparł Szpakowaty gniewnie. — Mieszkam na Saskiej Kępie i trudno żonie wracać późnym wieczorem do domu.

Zastępca powtórzył odpowiedź Szpakowatego. I znów ten chrobot w słuchawce.

— Pułkownik pyta, kiedy będziecie na dworcu.

— O dwudziestej drugiej.

— I jak was pozna? — pytał zastępca w dalszym ciągu.

— Będę miał niewielką szarą walizkę. Przez ramię przetrzuce płaszcz.

Zastępca powtórzył. Nieznajomy człowiek jeszcze coś tam mówił.

— Pułkownik pyta, czy na pewno będziecie mieli płaszcz, nie chciałby przegapić.

— Uspokójcie go. Będę sam, walizkę postawię obok siebie, płaszcz przewieszę przez ramię.

Zastępca powtórzył, przytaknął, powiedział:

— Tak jest.

Teraz pożegnał się ze Szpakowatym bardzo szybko. Odprowadziwszy go do drzwi udzielił mu kilku rad. Długo, serdecznie ścisnął mu rękę, życząc szczęśliwej podróży, dobrej kuracji.

— Nie będzie żadnej kuracji, diabli wiedzą, po co jadę.

— Będziecie mieli dobre towarzystwo — odparł zastępca. — Pułkownik to człowiek inteligentny, czytany.

— Czego chce?

— Zrozumiałem, że chce, abyście coś dla niego załatwili w dyrekcji domów wczasowych w Karlovych Varach.

— Nie może tego załatwić w inny sposób? — Nie otrzymawszy odpowiedzi zapytał:

— A skąd wie, że wyjeżdżam?

Zastępca rozłożył ręce.

— Nie wiem.

Pułkownik był szczupły, średniego wzrostu, odziany w mundur przesadnie obcisły. Wszedł na peron w wysokich, lśniących oficerkach. Z łatwością przedzierał się przez tłum oczekujący pociągu do Katowic-Zebrzydowic-Pragi, którym Szpakowaty miał odjechać. Pułkownik szedł rażno, rozglądając się na wszystkie strony. Znać było, że nie chce zwrócić na siebie uwagi, lecz mimo to czekający spoglądali na smukłego mężczyznę, idącego energicznym krokiem przez peron. Pociągu jeszcze nie było. Wieczorny zmrok był niebieskawy, było chłodnawo jak w kwietniu.

— Poznałem was, od razu was poznałem — powiedział pułkownik i spojrzał na walizkę, stojącą w pobliżu. — Cieszę się, że was poznałem.

— Jeszcze nie ma mojego pociągu. Czekam.

— Mamy trochę czasu — pułkownik spojrzał na dworcowy zegar.

— Podobno chcecie, abym wam coś załatwił w Karlovych Varach — rzekł Szpakowaty przyglądając się przybytemu.

— Ach, głupstwo — odparł. — Czy chcecie się przejść? — Nie czekając odpowiedzi pułkownik dźwignął walizkę i ująwszy Szpakowatego pod ramię ruszył przed siebie. — Proszę was — mówił z ożywieniem — przepytajcie, czy mogą mi zarezerwować jakiś niewielki, ale za to zaciszny pokój położony z dala od głównego hallu, od muzyki i dancingu. Muszę pracować.

— To rzeczywiście głupstwo. Postaram się to wam załatwić.

Pułkownik rozglądał się wokoło, jakby kogoś szukał na peronie.

— Ciekaw jestem, czy dostaniecie dobry przedział. Zaczekam, aż się ulokujecie — dodał po chwili.

— To naprawdę niepotrzebne — zaproponował Szpakowaty. — Szkoda waszego czasu, już późno.

Podstawiono pociąg, tłum rzucił się ku drzwiom. Obydwaj zmierzali bez pośpiechu do wagonu sypialnego.

— Spójrzcie, jak ludzie podróżują.

Pułkownik nie odparł nic. Obydwaj przyglądali się szturmującemu tłumowi. Obrotniejsi wdzierali się do wagonów oknami. Gdzieś zabrzęczało stłuczone szkło. Rozległ się pisk. Peron opróżniał się powoli, pociąg wypełniał gwar. Gdzieś kłócono się, rozlegały się obelżywe słowa. Podeszli do drzwi sypialnego wagonu. Obok biletera stał jakiś człowiek.

— Zrozumiałem — rzekł Szpakowaty — że w Karlovych Varach jest wam potrzebny spokój. Czy pracujecie nad czymś?

— Tak. Zamierzam pisać książkę o KPP.

— O KPP?

— Czemu was to dziwi?

— Jak to zrobicie?

— Co znaczy jak?

— W obecnym stanie rzeczy...

— To jest stan rzeczy z 1937 roku.

— Byliście w KPP?

— Tak.

— Znaliście kogoś z kierownictwa?

— Znałem sporo ludzi.

— Trudno się pogodzić z tym stanem rzeczy.

— I o tym chcę pisać.

— Czy macie nowe dokumenty, materiały?

— Szukam dowodów.

— Dowodów? — zapytał Szpakowaty.

— Myślę o dowodach ich niewinności.

— A czy istnieją dowody winy?

Szpakowaty okazał bilet konduktorowi. Ten wymienił głośno numer łóżka i rzekł:

— Górne łóżko.

— Górne? — zdziwił się pułkownik.

— Ach, to naprawdę nieważne, zapewniam was — powiedział Szpakowaty. — Jakoś się wygramolę na górę.

— A może — pułkownik zastanawiał się nad czymś — może poprosimy, aby wasz współtowarzysz zamienił się i odstąpił wam dolne łóżko?

— To naprawdę niepotrzebne.

Weszli do wagonu, minęli długi korytarz, wreszcie stanęli u właściwych drzwi. Wiodły do ostatniego przedziału. Na dolnym łóżku, w półmroku, siedział jakiś człowiek. Szpakowaty nie do-

strzegł jego rysów, było niemal ciemno. Pułkownik zapytał nieznajomego:

— Czy nie zgodziłby się obywatel, aby mój towarzysz zajął dolne łóżko?

Człowiek siedzący w półmroku nie odpowiedział od razu. Namyslał się i po chwili odparł, że jest mu bardzo przykro, ale pragnie zostać na łóżku, do którego ma prawo zgodnie z posiadanym biletem.

— Ależ — powiedział pułkownik śmiejąc się — ja nie kwestionuję waszego prawa do tego łóżka, broń Boże. Obywatel jest po prostu młodszy.

Szpakowaty przerwał mu ostro:

— Proszę, zostawcie w spokoju tę sprawę, to naprawdę nie ma najmniejszego sensu. Jest drabinka i łatwo dostanę się na górę.

Szpakowaty zostawił walizkę w przedziale i wraz z pułkownikiem wyszedł na korytarz.

— Pora pożegnać się — powiedział Szpakowaty.

— Tak, zbliża się godzina odjazdu. Szczęśliwej podróży życzę.

— Dziękuję.

— Do zobaczenia w Karlovych Varach.

— Do zobaczenia. Kiedy będziecie, pułkowniku?

— Za dwa dni.

Pociąg ruszył. Na pustym peronie, salutując, stał pułkownik. Szpakowaty widział w świetle sunących wagonów wyprężoną postać, uśmiechniętą twarz. Gdy pociąg przemknął ze stukiem przez zwrotnice, wrócił do przedziału. Ten na dole już spał, zwrócony twarzą ku ścianie wagonu. Pociąg szedł spokojnie, równomiernie, wdzierając się w noc i ciemność snopem reflektorów, tęsknym wyciem lokomotywy.

Do człowieka śpiącego na dolnym łóżku nie miał żalu ani urazy: bilet przyznawał mu prawo do łóżka, które sobie zapewne zarezerwował. Młody podróżnik miał niewątpliwie jakieś swoje racje, które kazały mu dość obcesowo odmówić prośbie pułkownika. Szpakowaty nie zamierzał wnikać w racje przygodnego towarzysza podróży i rychło zapomniał o całym wydarzeniu, mimo iż nie łatwo mu było dostać się na górę. Zasapał się i opadł na pościel. Pomyślał z zadowoleniem, że pobyt w słynnej kuracyjnej miejscowości jednak mu się przyda. Na chwilę powrócił w myślach do domu na Saskiej Kępie. Spojrzał na zegarek. Dochodziła godzina jedenasta, o tej porze Maria już spała, Piotr jeszcze czytał lub kreślił w sąsiednim pokoju. Zanim zapadł w sen, usłyszał jak młody człowiek, spoczywający na dolnym łóżku, zamknął drzwi przedzia-

łu na łańcuszek, który do tej pory terkotał i uderzał głośno. Ten dźwięk przeszkadzał Szpakowatemu, nie pozwalał zasnąć, lecz mimo to postanowił nie zwracać się do człowieka na dole, by unieruchomił niespokojne żelastwo. Tamten uczynił to sam.

Ktoś uderzał gwałtownie w drzwi przedziału. Pociąg stał na jakiejś stacji i ciągle dochodziło go to głośne pukanie, niecierpliwe, nieustępliwe.

W przedziale panował półmrok, na brzegach szyby, tam gdzie firanka odchylała się od ramy okiennej, dojrzał blask świtu, który był przezczysty.

— Otwierać, natychmiast otwierać!

— Czy pan słyszy? — Szpakowaty wychylił się i spojrzał na dół. W mroku majaczyła postać ludzka. Współtowarzysz podróży siedział na łóżku i ubierał się.

— Już otwieram!

Ten na dole wciągał buty, po chwili rzucił się ku oknu i odsunął firankę: w świetle powstającego dnia zawiązywał sznurówadła. Szpakowaty przeczytał napis widoczny za oknem. Pociąg stał na dworcu w Sosnowcu. Zegar wskazywał godzinę piątą.

— Co się stało? — zapytał półgłosem.

— Nie wiem. Nic nie wiem. — Głos mówiącego wydał mu się dziwnie spokojny, opanowany.

— Proszę otworzyć! Natychmiast!

Ten z dołu uchylił drzwi. W przedziale zjawili się dwaj mężczyźni. Jeden z nich powiedział do tego z dołu, który stał już ubrany:

— Jesteśmy oficerami bezpieczeństwa. Proszę pójść z nami.

— Dlaczego?

— Do wyjaśnienia. Proszę pójść z nami.

Wyszli. Za oknem stał już jasny dzień. Zaspany, pusty peron był brudny, nie zamieciony. Wskazówki wielkiego zegara przesunęły się zaledwie o trzy minuty. Pociąg ruszył. Już nie zasną — pomyślał. Zaczął się ubierać. Nie było mu wygodnie, przewracał się na wszystkie strony. Wreszcie zeszedł z łóżka. Spojrzał na to, które zostało niedawno opróżnione: było zmierzwione. Dziwne, czego oni chcieli od niego? Nie pytali o nic, nawet o nazwisko, jakby wiedzieli, że mają go szukać tutaj, w tym przedziale. Sporo niebieskich ptaków — rozważał dalej — musi jeszcze jeździć naszymi kolejami. Tymczasem pociąg mknął, mijał zadymione zakłady: w olbrzymich, odkrytych halach buzowały płomienie, ze skrzypieniem mknęły nad nimi ciężkie suwnice, całe ściany ruchomej stali, dzwoniło żelastwo. Pachniało kwasami, siarką, chlorem. Ktoś

otworzył drzwi przedziału. Obejrzał się. Stał tam jakiś młody człowiek, uśmiechnięty przymilnie. Szpakowaty przyglądał mu się z obudzoną zniecierliwą ciekawością, w której była odrobina niepokoju i niepewności. Nieznajomy był ubrany w brązowe ubranie, granatową koszulę zdobił zielony krawat. Przez chwilę trwało milczenie. Cicho zadzwoniła szyba.

— Jestem oficerem bezpieczeństwa, proszę nie opuszczać przedziału. W Katowicach wysiadziemy razem.

— Dlaczego? — spytał Szpakowaty ze zdumieniem.

— Obywatel jechał w jednym przedziale z podejrzanym człowiekiem.

— Więc co z tego?

— Rozmawialiście ze sobą.

— Nie zamieniłem z tym człowiekiem ani jednego słowa. A nawet gdybyśmy rozmawiali, to co z tego?

— Chcemy wiedzieć, o czym była mowa.

— Jak to o czym?

— Chcemy wiedzieć, o czym było mowa — powtórzył twardo.

— Ludzie! — Szpakowaty podniósł głos. — O czym mogą mówić w nocy dwaj nie znający się pasażerowie? Spaliśmy, nie rozmawialiśmy.

— Nie przypadkowo jechaliście razem.

— A więc jestem podejrzany?

— Tego nie powiedziałem. Trzeba wyjaśnić.

— Jestem gotów.

— Proszę o dowód.

Szpakowaty okazał paszport. Oficer gwizdnął.

— Co obywatela dziwi? — spytał Szpakowaty.

— A więc jednak paszport zagraniczny...

Szpakowaty umilkł. Spod opuszczonych powiek przyglądał się przybyłemu, jego ubraniu, krawatowi. Będziesz się miał z pyszną, chłystku — pomyślał. Dostaniesz po nosie, nauczą cię rozumu. Może zrozumiesz, że sam fakt posiadania paszportu zagranicznego nie świadczy o przestępczej działalności. Był spokojny. Wiedział, że wystarczy po opuszczeniu pociągu w Katowicach zadzwonić do pierwszego sekretarza KW, starego towarzysza i przyjaciela, by sprawa została całkowicie wyjaśniona. Przypomniawszy sobie, że nie zdąży w porę załatwić prośby pułkownika, którego miał za dwa dni oczekiwać w Karlovych Varach.

Zapytał:

— Czy będę mógł zadzwonić z dworca?

— Nie wiem.

— Jeśli nie pojedę dalej tym samym pociągiem, moje plany ulegną zmianie.

— Nie wiem.
— W takim razie muszę zadzwonić do KC.
— Nie wiem. — I nagle zapytał: — Gdzie macie legitymację partyjną?

— A co was to obchodzi?
— Obchodzi. Bo jeżeli chcecie dzwonić do KC, to znaczy, że jesteście członkiem partii.

— Wam nic do tego.
— Możliwe. Ale chcę wam, jako towarzyszowi partyjnemu, przypomnieć, że członek partii wyjeżdżający za granicę ma obowiązek zdać legitymację partyjną u sekretarza swojej organizacji.

— Zostawiłem legitymację w KC.
— To w porządku. Widać od razu, że jesteście zdyscyplinowanym członkiem naszej partii.

W Katowicach u wyjścia z wagonu czekał jeszcze jeden cywil, który pomógł wysiąść Szpakowatemu. Odebrawszy z jego rąk walizkę wyjaśnił, że przed dworcem czeka na nich taksówka. Konduktor stał w otwartych drzwiach wagonu.

— Czy jestem aresztowany? — zapytał Szpakowaty.
— Nie.
— Więc dlaczego zabieracie mnie ze sobą?
— Mamy nakaz.
— Jaki?
— Proszę, oto nakaz zatrzymania. — Przybyły dobył z kieszeni jakiś druczek. Szpakowaty rzucił nań okiem. Zadrukowana kartka nie zawierała ani imienia, ani nazwiska. — Jedziemy — dodał.

— Dokąd?
— Nie obawiajcie się, towarzyszu. Jedziemy do prywatnego mieszkania.

— Nie pojadę do żadnego prywatnego mieszkania.
— Chce z wami porozmawiać szef wojewódzkiego urzędu.
— Pozwólcie mi zadzwonić do KW lub do KC.
— Do kogo personalnie?
— To nie wasza rzecz. Komitet Centralny nie podlega chyba waszej kontroli. — Szpakowaty milczał wyczekująco.
— Komitet Centralny składa się z ludzi. Powiedźcie, do kogo chcecie zadzwonić.

— Jedźmy — odparł Szpakowaty. — Jedźmy już. Ja się z wami nie dogadam.

Na niewielkim placyku przed dworcem czekała taksówka. Szpakowatemu żywiej zabiło serce. A jeśli to nie są pracownicy urzędu bezpieczeństwa? — przemknęło mu przez myśl.

Samochód jechał przez ruchliwe ulice, stawał, znów ruszał. Dzień był już całkowity, środkiem jezdni walił tłum ku nieznanym

stronom miasta. Tak samo było tu wczoraj — pomyślał — tak samo będzie jutro. Oto jadę samochodem, nikt tego nie spostrzeżga, nikt nie pyta. Również jutro nikt nie zapyta... W domu jest tak, jak było wczoraj. Tylko jutro, gdy nie będzie telefonu z Karlovych Varów, tak jak przyrzekł Marii, wszystko się wywróci, zjawi się niepokój, Maria zacznie dzwonić, dopytywać. Nie, nie — odpędzał od siebie tę myśl. Jutro będzie jeszcze cicho, Piotr wyjdzie rano do Politechniki, potem Maria zasiądzie do przepisywania przekładu, nad którym pracował ostatnio. Tam będą czekali, zapadnie noc, telefon się nie odezwie. Słyszał ciszę domu, niespokojną, dręczącą...

Samochód wpadł w cień wiaduktu, potem skoczył na płat asfaltu, znów skręcił i ominąwszy krągły skwerek, jął z trudem wspinać się w głąbie stromej, wąskiej uliczki. Po obu stronach jezdni stały niewielkie wille. Przed każdą drzemał ogródek widoczny przez niski murek, przez sztachety. W willach było cicho. Taksówka zatrzymała się. Wysiedli z trudem: jakiś samochód stał ukośnie zagradzając przejazd. Szpakowaty wyprostował się i odetchnął. Zapachniało ogrodem, kwiatami, świeżo skopaną ziemią. W ogrodach stała drżąca, jeszcze wilgotna od rosy zieleń. Przed wejściem do willi, w kierunku której zmierzali, stał uzbrojony żołnierz KBW.

Dom znajdował się w niewielkim ogrodzie, otoczonym wysokim, świeżo otynkowanym murem. Jeszcze miał w uszach wysoki dźwięk furtki, która zamknęła się za nimi, gdy w hallu, gdzie stanął, rozległ się wesoły, beztroski śmiech dzieci. Rozejrzał się wokoło. Z hallu wiodły w głąb domu liczne drzwi, lśniące białym lakierem, lecz wszystkie były zamknięte. Z jakiegoś pokoju dobiegał go nieustannie śmiech rozbawionych dzieci. W kącie hallu, wykładanym ciemną boazerią, ujrzał strome schody, wiodące na piętro. Uniósł głowę i zobaczył przed sobą fragment wielkiego okna, na którym stały smukłe dzbany, talerze z gliny palonej. Dzieci, musiało ich być kilkoro, śmiały się bez przerwy. Usłyszał czyjś głos, mówiła jakaś kobieta, urzekająco, ciepło. Nagle otworzyły się drzwi przylegające do schodów. Ukazał się w nich młody, szczupły człowiek, o pięknie sklepionym czole. Ruchy miał energiczne, szybkie. Jego oczy, osadzone głęboko, patrzyły śmiało, nieustępliwie. Gniew Szpakowatego pierzchnął.

— Proszę na górę.

Młody człowiek ruszył przodem. Szpakowaty piął się schodami, trzymając się poręczy. Za nim umilkły głosy, echo kroków. Znalazł się niebawem w obszernym, widnym pokoju.

— Nareszcie będziecie sami — powiedział młody człowiek i podawszy rękę na przywitanie wymienił swoje nazwisko. Szpako-

waty zrozumiał tylko tytuł towarzyszący nazwisku: szef wojewódzkiego urzędu bezpieczeństwa.

— Rozgoście się — mówił dalej. — Za tymi drzwiami jest łazienka, umyjcie się. Możecie pospać, jeśli chcecie. — Ręką wskazał wygodny tapczan stojący w kącie.

— Rozgościć się? — zapytał Szpakowaty.

Szef roześmiał się.

— Ja to tak nazywam, mimo że będziecie tu krótko.

— Czy możecie mi powiedzieć, dlaczego mnie zatrzymano?

— Niestety, nic wam powiedzieć nie mogę.

— A więc?

— Wracamy do Warszawy, tam wam powiedzą.

— Kto?

— Tego ja nie wiem.

— Wczoraj zegnałem się z towarzyszami z KC i nikt mi o niczym nie mówił.

— Widocznie coś zaszło.

— Czy mogę zadzwonić?

— Niestety, muszę odmówić waszej prośbie.

— Dlaczego?

— Lepiej o tej sprawie nie mówić przez telefon.

— W takim razie wracajmy.

— Wrócimy. Na razie mam jeszcze kłopoty z samochodem.

— Pozwólcie mi zadzwonić do KW, mam tam przyjaciół, którzy dadzą mi pewnie samochód, abym mógł wrócić do Warszawy.

— Kto taki?

Szpakowaty umilkł. W milczeniu rozglądał się po pokoju, wreszcie podszedł do okna.

— Podadzą wam tu śniadanie, potem odpoczniecie. Wiem, że mało spaliście tej nocy.

— To nieważne — odparł Szpakowaty opryskliwie, nie odwracając się od okna.

— Dlaczego właściwie gniewacie się?

— Jak to dlaczego? — Szpakowaty odwrócił się gwałtownie.

— To takie normalne — wyciąganie z pociągu człowieka, którego wysyłają na leczenie?

— To nie jest normalne, ale my też nie żyjemy w normalnych czasach.

— Nie jestem wrogiem.

— Nikt o tym nie mówił.

— Nikt tego nie powiedział, a jednak traktujecie mnie jak przestępcę.

— W Warszawie wszystko się wyjaśni.

— Ja myślę.

Znów zapanowało milczenie. Przerwał je szef:

— Proszę, wyłóżcie wszystko, co macie przy sobie.

— Co to ma znaczyć?

— Bo ja nie chcę was rewidować. I proszę, nie rozmawiajcie tu z nikim.

Szpakowaty układał na stole notesik, kalendarzyk, portfel, szef zabrał te przedmioty i wyszedł bez słowa. Szpakowaty został sam.

Na dole, pod oknem, tuż za murem, na ulicy stał żołnierz KBW. Bagnet osadzony na karabinie lśnił krótkim, złowrogim blaskiem. Było cicho. Przemknęło jakieś auto; jechało w dół, w tę stronę, skąd przybyli. Naprzeciwno, po drugiej stronie wąskiej ulicy, za lekkim ogrodzeniem, wśród rozkwitających krzewów bzu i jaśminu, stała piętrowa willa. Dom był biały, uchylone okiennice, pociągnięte zieloną farbą, ukazywały otwarte okna, po murze pięto się gęste dzikie wino. Pędy rozwidlały się i biegly zieloną żyłką aż pod dach. Jedyne okno na parterze było zamknięte, od tego zaś na piętrze, które stało otworem, wiatr odchyłał firankę i Szpakowaty mógł zajrzeć w głąb tamtego mieszkania. Widział to ciche, uśpione wnętrze w mroku cienia. Nagle ujrzał w tej głębi otwierające się drzwi i w pokoju zjawiła się jakaś kobieta. Była szczupła, wysoka, o pociągłej twarzy, do której przylegały bardzo ściśle ciemne włosy i dlatego pewnie twarz kobiety wydawała się niezmiernie blada. Zmierzała ku oknu, po chwili wychyliła się i wyjrzała na ulicę. Teraz Szpakowaty widział jej podłużne oczy o niewysłowionej słodczy, niezwykle spokojne. Wysokie czoło kobiety, gładkie i czyste, jaśniało blaskiem idącym od otwartego okna. Szpakowaty nie spuszczał wzroku z tej kobiety, pełnej spokoju i ciszy.

Nie mogła go widzieć, stał ukryty za firanką. Gdzie ja ją widziałem? Gdzie ja widziałem tę twarz? Był pewen, że zna tę młodą kobietę, że ją już kiedyś spotkał, rozmawiał z nią. Przypomniała mu kogoś widzianego dawno, bardzo dawno temu. Ale kiedy to było? Niecierpliwił się. Wydawało mu się, że od przypomnienia nazwiska kobiety, okoliczności, w jakich ją poznał i rozmawiał z nią, od wyjaśnienia tej zagadki, zależy teraz wszystko... Nagle skrzypnęła na dole furka. Z ogrodu naprzeciwno wyszli na ulicę dwaj chłopcy. Obydwaj byli smukli, bardzo młodzi — uniósłszy głowę spojrzeli ku oknu, w którym stała tamta kobieta. Na widok chłopców ukazał się na jej twarzy uśmiech. Jacy oni podobni do matki — pomyślał — jacy podobni... Teraz Szpakowaty usłyszał głos kobiety. Podana naprzód pouczała synów, aby uważali, ponieważ tuż za rogiem pędzi tramwaj... Po chwili zawołała:

— Do widzenia, Tolusiu, do widzenia, Jacusiu!

Obydwaj chłopcy pomachali rękoma i ruszyli przed siebie.

Wtedy Szpakowaty usłyszał za sobą czyjeś kroki. Zjawił się żołnierz, który postawił na stole śniadanie i opuścił w milczeniu pokój. Szpakowaty jadł utkwivszy oczy w oknie pobliskiego domu, lecz tam panowała cisza. Pod oknem rozlegały się miarowe kroki wartownika. Szpakowatego ogarnęła senność. W domu, na dole, trzasnęły jakieś drzwi, rozległ się skrzyp otwieranej furtki, na uchylonym oknie usiadł gołąb. Ptak podreptał niezgrabnie, zatrzepotał skrzydłami.

Szpakowaty leżał na tapczanie. W głowie czuł lekki szum, jak wówczas, gdy pędzący pociąg kołysał go do snu. Przymknął oczy i wszystko wydało mu się nierzeczywiste: jak za mgłą ujrzał siebie wysiadającego z pociągu, potem zbliżającego się do taksówki, która go zawiozła do obcego domu, skąd mógł się przyglądać tej niepokojąco pięknej kobiecie, którą znał. Zdawało mu się, że odpływa w dal, w ciemną sztolnię pełną szmerów, kołysania, chłodu. Słyszał jak przez sen głos tamtej kobiety, widział jej oczy; powolne przenikanie światła i mroku było niczym innym, tylko rozchybotaną, wiatrem niesioną firanką. W tym chybotliwym locie firanka zahaczyła nagle o bagnet, który zupełnie nieoczekiwanie wyrósł z mroku snu, z otchłani niepewności, i ukułwszy ciszę rozdarł firankę nagłym alarmem...

Przed nim stał szef uśmiechnięty, grzeczny:

— Towarzyszu, około czternastej wyjeżdżamy.

Spojrzał na zegarek.

— To znaczy za pół godziny.

— Tak jest.

Szef pochylił się w ukłonie. Elegancki, dobrze ułożony. Szpakowaty słyszał jego kroki na schodach, dobiegły go odgłosy krzątający. Wreszcie opuścił dom. Na podwórzu stała olbrzymia, czarna Chevroleta. Szef usiadł obok kierowcy, Szpakowaty w głębi wozu, przy drzwiach siedzieli nieznani mu młodzi ludzie. Strażnik otworzył bramę, zasalutował, samochód potoczył się ciężko. Gdy skręcali w uliczkę biegnącą w dół, Szpakowaty kątem oczu spojrzał ku oknu na piętrze. Było jeszcze otwarte, lecz nie dostrzegł już tamtej kobiety. Ogarnął go smutek rozstań, jakby w tym obcym, nieznanym mieszkaniu zostawił kogoś niezmiernie bliskiego.

Jechali w milczeniu, nie zatrzymywani. Kwietniowe śląskie popołudnie przejaśniało się niebawem, zabarwiło młodą runią pól, budzącym się kwieciami. Niskie, chmurne niebo odsunęło się ku stronie, gdzie pałał zachód, krwawy i groźny. Przed nimi legł błękit niczym niezmaczony, spokojny. Po obu stronach szosy biegnęły

pola; na niewielkim wzgórzu ujrzał ruiny zamku i nagle przypomniał sobie, że zna te strony. To był Będzin... Tu pracował w 1915 roku z Zygmuntem Inwaldem, „Walterem”-Szolcem, Malewą, Weinzieherem, Kozłowskim, Misiaszkiem, starymi członkami SDKPiL...

Gdzieś w oddali ujrzał dymiące kominy Huty Bankowej, kopalni „Paryż”. Dlaczego ich aż tylu? — pomyślał, rzuciwszy okiem na asystę. Dlaczego musi ich być aż trzech? Czy nie wystarczyłoby, gdyby jechał z nim szef lub któryś z jego podwładnych?

Był starzejącym się człowiekiem, schorowanym, niezdolnym do ucieczki. Cóż oni sobie myślą? Chciał w pewnej chwili zakpić z nich, nauragać im, wreszcie dał spokój. Kim oni są? Przecież to urzędnicy, pracownicy jego państwa, tej Polski, o którą walczył od 1904 roku, dlaczego miałby żywić wobec nich wrogość lub pogardę? Kogo bronią, czego strzegą? Czy nie stoją na straży ustroju i państwa, które ma swych wrogów i przeciwników zarówno zewnątrz jak i wewnątrz kraju? Tak, ale co ja mam z tym wszystkim wspólnego? Przecież nie jestem wrogiem.

Nagle ogarnął go paniczny lęk, przerażający, straszliwy. Czy nie mogą go zniweczyć, zmiażdżyć, podobnie jak tamtych towarzyszy, którzy zginęli, ponieważ tkwili w bezimiennej masie, ukrywającej sprawiedliwych i szubrawców, przyjaciół i wrogów, uczciwych i łotrów? Czy nie w ten sposób tłumaczono unicestwienie Leńskiego, Warskiego, Kostrzewy, Unslichta, Hempla... Zachnął się wewnętrznie. Ale ja wiem, że jestem niewinny. Ja wiem — snuł uspokajającą myśl. A tamci? Tamci nie wiedzieli o sobie, że są niewinni? Obudziło się w nim pragnienie sporu, kontrowersji. Tylko ja mam tę świadomość, a tamci jej nie mieli? Wydawało mu się, że usurpuje sobie wyjątkowe jakieś prawo, które tamtym odebrano. Czuł się upokorzony.

Czy naprawdę ważne jest to, co ja o sobie myślę? A co inni myślą o mnie? — rozważał przymknąwszy oczy. To zapewne decyduje, tylko to.

Samochód mknął świetnie utrzymaną szosą. Wokoło legła płaska równina. Baczna i czujna asysta milczała w dalszym ciągu. Od czasu do czasu ludzie ci posilali się: jedli jabłka, czekoladę, palili. Częstowali go — odmawiał. To na pewno dobrzy towarzysze partyjni — myślał. Tylko tacy członkowie partii powinni pracować w urzędzie stojącym na straży ustroju. Był ogromnie ciekaw, co o nim myślą ci młodzi ludzie, kogo w nim widzą? Wroga? W takim razie musiałaby między nim a tymi, którzy będą z nim rozmawiali za kilka godzin, istnieć jakaś polityczna sprzeczność, ideowa wrogość... Ale tej nie było, być nie mogło. Czuł się najściślej związany z tym wszystkim, co się obecnie działo w kraju.

Nie na darmo został wierny przekonaniom, które wyniósł jeszcze z szeregów SDKPiL, potem był wśród czołowych działaczy KPP, w grudniu 1918 r. uczestniczył w zjeździe połączeniowym. Stał niejako u kołyski partii. Pamiętał: zjazd odbył się przy ulicy Zielnej, w parterowym lokalu z oknami na podwórze. Był w kierownictwie krajowym SDKPiL i za to poszedł na zesłanie, był członkiem KC KPP i dlatego poszedł do więzienia, siedział zanim Piłsudski objął władzę, a także potem, gdy ją miał... Nie, to niemożliwe, to jakieś nieporozumienie, które się wnet wyjaśni.

Zapał zmrok. Gdzieś na horyzoncie, w ginącym świetle dnia majaczyła biedna, nie zapalająca przedwcześnie ulicznych lamp, Warszawa. Po obu stronach szosy lekki mrok zagarniał powoli pola. Topole chwiały się lekko. Wtedy wpadli w podmiejskie okolice, pokazały się pierwsze domki, większe zabudowania. Niewiele ich było. Samochód zwolnił, wreszcie przystanął. Szpakowaty początkowo sądził, że kierowca zwalnia, ponieważ w osiedlach obowiązuje mniejsza szybkość. Zanim jednak dojechali do Włoch, okazało się, że w motorze coś się zepsuło. Stanęli nad rowem przydrożnym; u wylotu szosy mieli widok otwarty na pierwsze domy. Szofer zaklął.

— Gdyby tak można było dojechać do miasta, to by tam pomogli.

— Spróbujcie raz jeszcze — powiedział szef.

Kierowca wysiadł, otworzył maskę i zajrzał do wnętrza. Postrukał.

— Nic z tego nie wyjdzie.

— Więc co? Będziemy tu nocowali? — ofuknął go szef. — Szukajcie, sprawdzajcie. Dlaczego wybraliście się w drogę kiepską maszyną? — Szef okazał się człowiekiem surowym, wymagającym.

— Mimo wszystko nic nie poradzę.

— Szukajcie dalej, a my wysiadziemy i wyprostujemy gnaty. — Zwróciwszy twarz ku Szpakowatemu dodał: — Wysiadajcie, towarzyszu.

Ogarnął go ostry, przedwieczorny zapach traw, ziół, listowia. W blasku umierającego dnia ujrzał z bliska pola, drzewa, uderzyła wń woń upajająco świeża, nie zaznana od dawna, chyba od dzieciństwa. Przypomniała mu się w sposób gwałtowny młodość, brzeg Wisły, sady, stok Cytadeli... Z mroku pamięci wyłonił się jakiś wieczór w Łazienkach, w Ogrodzie Saskim. Wówczas pachniało jak tutaj. Szedł u boku Marii, kasztany kwitły, byli młodzi. Szef tymczasem nie odstępował kierowcy ciągle dopytując, czy zdoła naprawić motor.

Nagle ukazały się od strony Warszawy światła pędzącego szybko samochodu. Wśród stojących w pobliżu wozu wszczął się ruch;

zaczęli głośno wyrażać przypuszczenia, że może zjawi się jakiś uprzejmy kierowca, który pomoże naprawić samochód. Tymczasem światła zbliżały się z każdą chwilą. Niebawem uderzyły blaskiem w oczy czekających, błysk załamał się na szybach czarnej Chevrolety. Auto pędzące z Warszawy, nie zatrzymywane przez nikogo, zahamowało gwałtownie, stanęło w pisku opon, zapachu benzyny, trzasku otwieranych drzwiczek, które uskokczyły jednocześnie z obu stron. Z tą samą jednoczesnością wyszli z hamującego samochodu trzej mężczyźni, z których jeden miał na sobie mundur wojskowy. Szpakowaty ujrzał przed sobą majora.

— Co się stało? — zapytał major.

Był to człowiek średniego wzrostu, tęgi, ryży, o twarzy pełnej, w której Szpakowaty dostrzegł małe, przymrużone oczy. Długie, ryże baczki czyniły to oblicze jeszcze pełniejszym.

— Samochód nawalił — wyjaśnił kierowca.

Ludzie towarzyszący do tej pory Szpakowatemu milczeli uporczywie. Stali w pobliżu w pozycji podwładnych, przed którymi zjawił się dowódca. Szpakowaty przyglądał się tej scenie z rosnącym niepokojem.

— To długo potrwa — powiedział major nie spojrzawszy nawet na zepsutą Chevroletę i zwróciwszy się do Szpakowatego dodał: — wsiądźcie do mojego wozu.

Teraz Szpakowaty pojął już wszystko. Wszelki protest wydawał mu się bezcelowy: ukartowana gra toczyła się dalej.

— Tam jest moja walizeczka i płaszcz — powiedział Szpakowaty, zmierzając do Chevrolety.

— To nic — odparł major. — Walizkę przywiozą później. Siadajcie, nie mamy czasu.

Przeszli do samochodu stojącego na środku szosy. Obok kierowcy usiadł jeden z cywilów. Major rozparł się obok Szpakowatego w głębi wozu. Ruszyli.

— Macie szczęście, że przyjechałem.

— Szczęście? — powtórzył Szpakowaty. — Zdaje się, że wami kieruje duch boży.

— Żartujecie.

— Nie. Ja wcale nie żartuję. To musiał być duch boży, bo inaczej skądże moglibyście wiedzieć, że na rogatek we Włochach zepsuł się samochód, który mnie wiezie z Katowic?

— W waszej sytuacji ja bym nie żartował — odparł major.

— A jakaż to sytuacja?

— Nie wiem.

— Czy bylibyście zatem zadowoleni, gdybym nie miał ochoty żartować?

— Ja szanuję starych KPP-owców.

— I dlatego pozbawiacie mnie wolności?

— A kto wam o tym powiedział? To fałsz.

— Pozwólcie w takim razie zatrzymać samochód. Ja wysiadę.

— Macie nieczyste sumienie — odparł major twardo.

— Dlaczego tak sądzicie?

— Gdybyście mieli sumienie czyste, nie wrywalibyście się do domu wtedy, gdy władzy ludowej potrzebne są wasze wyjaśnienia. Tak prawdziwy komunista nie postępuje.

— Ja nie zamieniłem ani jednego słowa z tym człowiekiem w pociągu — odparł Szpakowaty. I nagle żal mu się zrobiło majora, któremu docinał do tej pory.

— A gdyby partii potrzebne było inne oświadczenie?

— Jakto inne?

— Inne aniżeli to, jakie wyraziliście przed chwilą.

— Fałszywe?

— A gdyby?

— Tego partia nie może ode mnie żądać.

— Gdy się jest u władzy, trzeba niekiedy kłamać.

— Może — odparł Szpakowaty oschle.

— Może? A więc jednak dopuszczacie do siebie myśl o istnieniu takiej sytuacji... — Szpakowaty milczał, tamten ciągnął dalej:

— To znaczy, że między nami istnieje już jakaś płaszczyzna porozumienia. Jakiś kompromis...

— Trudno kłamstwo nazwać kompromisem.

— Już wam powiedziałem: gdy się jest u władzy, trzeba nieraz kłamać.

— Powtarzacie to uporczywie. Ustąpię wam, tylko mi powiedzcie, wobec kogo chcecie kłamać.

— To też już jest jakaś płaszczyzna porozumienia z nieprzejednanym.

— Możecie mnie nazywać jak chcecie, ale jeśli zechcecie okłamywać partię, klasę robotniczą, to taka zabawa może się źle skończyć.

— Grozicie?

— Ja jestem niczym. Nie mogę grozić. Reprezentuję tylko moją prawdę.

— Dziwna prawda. Mówilibyście inaczej, gdybyście bezpośrednio wykonywali zarządzenia władz.

— Przekonajcie mnie o słuszności tego, co głosicie. Proszę. Nie macie przed sobą wroga. Jestem starym komunistą.

— Stary komunista — powtórzył tamten. — Gdy się jest u władzy, kłamstwo może być potrzebne na dwie strony.

— Nie rozumiem.

— Przeciwno wrogom i przeciwno...

Szpakowaty wparł głowę w kąt wozu. Było mu niewygodnie, trzęsło; byli w mieście. Samochód jechał jakąś ulicą wybrukowaną kocimi łbami. Z mroku podmiejskiego traktu wpadli w blask, w dźwięk, w ruch. Szpakowaty nie bardzo wiedział, gdzie się znajdują. To Rakowiecka — pomyślał, tak, na pewno Rakowiecka. W szybie przed kierowcą ukazał się w oddali pusty plac, tam już była Puławska. Serce mu zamarło, był pewien, że kierowca zatrzyma wóz u ciężkiej, więziennej bramy, która zamykała się kiedyś za nim wielokrotnie. Samochód jednak nie zwalniał. Szpakowaty otarł ukradkiem spótniałe ręce. Jechali Puławską, Aleją I Armii, skręcili w Koszykową, po lewej ręce tkwił gmach Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Już była noc, w licznych oknach płonęło światło, tchnące spokojem, zaciszem, lecz również i tu samochód nie zatrzymał się.

— Dokąd mnie wieziecie?

— Tego nie powiem. Trzeba mieć trochę cierpliwości.

— Teraz wy chyba żartujecie — odparł Szpakowaty.

— Jak to? — w głosie majora zabrzmiała nuta zdziwienia.

— Trzymacie mnie od dwóch dni, wozicie samochodami, odgrywacie komedię przypadków, robicie detektywistyczne sztuczki i każecie mi być cierpliwym? Jak to sobie wyobrażacie? — Szpakowaty zachłystywał się, tracił dech.

— Już niedługo.

— Przekonam się.

Jechali w kierunku Wisły, minęli gmach Muzeum Narodowego, ciemny o tej porze, wpadli na most. W dole legła połyskliwa rzeka, ciemna u brzegów, jaśniejsza w obrębie światła odbitych w fali. Most dudnił, mknęły jasno oświetlone tramwaje. A więc jednak wiozą mnie do domu — pomyślał. To była niezła próba — rozważał. A jutro trzeba będzie od nowa wyruszyć w podróż do tych Karlovych Varów. Nagle opadło go zniechęcenie i ogromne zmęczenie. Nie, już drugi raz nie wybiorę się w drogę. Zostanę w domu, odpocznę, wyśpię się. Trzeba tylko pamiętać, aby z samego rana zawiadomić pułkownika, że nic nie załatwiłem. Może jeszcze nie wyjechał.

Minęli most, wjechali w ulicę Francuską. Szpakowaty usadowił się wygodnie i obserwując znajomą ulicę spoglądał ukradkiem na majora, na jego ryże bokobrody. Major drzemał. Jego tęgą twarz ogarniały na przemian cień i światło, płynące z wysokich masztów

ulicznych latarni. To tu. — Szpakowaty wyprostował się, uniósł dłoń...

Samochód minął dom, w którym mieszkał. Zdawało mu się, że dostrzegł światło w jednym z okien pierwszego piętra. To trwało chwilę. Ogarnęła go żalność, spojrzął na człowieka siedzącego obok. Teraz jechali już w ciemności, niewysokim wałem. Z jednej strony spały w milczącej przestrzeni niskie domki, obszary pól, po drugiej stronie snuła się Wisła. Znał tę rzekę, oglądał ją za dnia i w nocy, wczesną wiosną i zimą, gdy skuwał ją mróz, lecz teraz wydawała mu się jakaś niezmiernie szeroka, olbrzymia, ginąca w oddali. Na dalekich brzegach wznosiło się obce, nieznane miasto, gdzie światła gasły, niknęły i znów pojawiały się tajemnicze jak sygnał. Jakiś czas jechali wyboistą drogą, potem szczerym polem. Auto stało, wokoło szumiały drzewa.

— Wysiadamy — powiedział major.

— W tamtym samochodzie została moja walizeczka i płaszcz — rzekł niepewnie Szpakowaty.

— Nie szkodzi. Przywiozą.

Przez chwilę panowało milczenie. Ruszyli. Pod stopą chrząścił piach. Pachniało oszałamiająco, było chłodno. Szpakowatym wstrząsnął dreszcz.

— Tamci chyba nie bardzo wiedzą, gdzie mnie mają szukać.

Major przystanął.

— Co wam wpadło na myśl?

— Chyba po to zarządziliście, abym się przesiadł do waszego samochodu.

— Widzę, że przejrzelście moją taktykę.

— Ona mnie nie interesuje. Zdaje się, że wystrzegacie się swoich podwładnych, aby nie wiedzieli o wszystkim.

— Słuszne spostrzeżenie.

— Porzućcie zatem te detektywistyczne kawałki i powiedzcie o rzeczywistych motywach tego wszystkiego, co robicie ze mną.

— Dlaczego mówicie od razu o jakichś rzeczywistych motywach?

— A jakie mogłyby być? Urojone? Nie jestem przestępcą, jestem politykiem.

— Nie ma w postępowaniu z wami żadnych politycznych motywów.

— W takim razie zginąłem. — Głos Szpakowatego drżał. Major nie wiedział, czym sobie wytłumaczyć to nagłe wyznanie. Spojrzął na człowieka idącego obok.

— O czym wy mówicie? Dlaczego tak twierdzicie?

— Jeżeli nie ma politycznych motywów w tym wszystkim, co ze mną robicie, jakież więc zostały?

Major milczał przez chwilę.

— Zdaje się, że nie po raz pierwszy znajdujecie się w podobnej sytuacji.

— Po raz pierwszy.

— Nie byliście nigdy aresztowani?

— Człowieku! Byłem! Ale zawsze przez wrogów. Zrozumieć! Kim wy jesteście?

— Nie jestem waszym wrogiem.

— Więc jak walczyć z wami? Ja nie umiem. — Szli przed siebie zgodnym krokiem. Szpakowaty powtórzył: — Ja nie umiem.

— Nie rozpaczajcie.

— Mam przyjąć ze stoicyzmem fakt aresztowania w Polsce Ludowej starego komunisty?

— Nie jesteście więźniem. Zapewniam was o tym solennie, towarzyszu.

Rankiem obudził go chóralny śpiew. Dobiegły go słowa żołnierskiej piosenki, skocznej, zawadiackiej. Śpiewający żołnierze musieli krążyć w pobliżu domu, ponieważ słowa docierały wyraźnie, potem niknęły i pojawiały się ponownie z innej strony. Podszedł do okna i odsunął firankę. Okno było już uchylone, co go zdziwiło. Widocznie otworzono je od zewnątrz. Zyskał tę pewność, gdy spostrzegł, że rama okienna nie miała klamki ani haczyka. Teraz przypomniał sobie, że wczoraj wieczorem, na odchodnym, major pouczył go, aby nie wyglądał oknem. Odsunął się więc nieco. W pobliżu okna tkwił srebrnosiny świerk, za nim, za linią drutów kolczastych, których nie zauważył w nocy, ujrzał rzadki lasek, fragment łąki przylegającej do wydmy piasku. Drut kolczasty... Korciło go to otwarte okno: chciał koniecznie wychylić się, by wyrzucić, lecz opanował tę chęć całą siłą woli. Przysiękł, że tego nie uczyni, dał słowo... Dlaczego miałby nie dotrzymać słowa danego majorowi, pracownikowi urzędu, któremu państwo powierzyło pieczę nad bezpieczeństwem ustroju, ładu, prawa? Wzruszył ramieniem jak ktoś nie rozumiejący, czego od niego żądają. Wczoraj jeszcze chciał zagadnąć o to majora, lecz po kolacji zamiast niego zjawił się ten drugi, o którym nic nie wiedział. Szpakowaty spojrzął na stół: leżały tam arkusze papieru, czerniało pióro.

Miał napisać życiorys, ale czuł, że nie potrafi skupić myśli, woli. Przecież muszę to zrobić — rozważał. — Dopóki tego nie zrobię, nie wyjdę stąd, tak powiedział major, dlaczego więc zwlekać? Wieczorem, gdy go tu sprowadzono, nie zauważył, że dom był otoczony czworobokiem rozpiętych drutów kolczastych; nie było wtedy również tego chóralnego, żołnierskiego śpiewu. Teraz

już wiedział że musi czym prędzej zasiać do pisania. Szpakowaty zbliżył się do stołu i przesunął machinalnie arkusze. Z niechęcią spojrzął na krzesło. Nie — zaczekam na rozmowę telefoniczną. Czuł, że nie potrafi zebrać myśli, dopóki nie usłyszy głosu Marii.

Na korytarzu rozległy się kroki, w uchylonym judaszu ujrzał czyjeś oko, martwe, zimne, uporczywe. Młody, milczący żołnierz przyniósł śniadanie: na drewnianej tacce stał dzbanuszek z mlekiem, zapachniała świeżo parzona kawa.

— Czy jest major? — zapytał żołnierz.

Żołnierz ustawiał talerzyki, dzbanuszek, szklankę.

— Czy jest major? — powtórzył.

Żołnierz odwrócił się i wyszedł nie rzekłszy ani słowa. Zapadła cisza, umilkł chóralny śpiew. W pobliskim lesie pohukiwały ptaki, daleko, daleko zakukała kukułka. Usłyszał sygnał samochodowy. Major zjawił się po chwili. Był ogolony gładko, wyświeżony, uśmiechnięty. Spojrzął przelotnie na stół.

— Cóż to? Nie smakowało śniadanie?

Szpakowaty milczał. Major podszedł bliżej.

— Czy zgłaszacie jakieś życzenia? Widzę, macie jajka, masło, sardynki, dżem, kawę. Czy życzyście sobie jeszcze czegoś innego na śniadanie?

— Chciałbym zadzwonić do domu.

Major zastanawiał się przez dłuższą chwilę. Szpakowaty nie spuszczał wzroku z jego twarzy.

— Zastanowie się. Nie jest wykluczone, że będziecie mogli zadzwonić.

Na twarzy Szpakowatego zjawił się uśmiech.

— Kiedy?

— Zaraz po śniadaniu. Proszę — major przysunął krzesło.

— Zjedzcie.

Szpakowaty usiadł i sięgnął po chleb.

— Przyrzekłem i słowa dotrzymam — powiedział nagle major — ale mam warunki.

— Warunki? — Szpakowaty spojrzął na majora. — Warunki? — powtórzył. Z jego twarzy nie zniknął wyraz zdumienia.

— Uspokójcie się. Użyłem liczby mnogiej, ale tych warunków jest rzeczywiście niewiele.

— Słucham.

— Ale jedzcie — major przysunął talerzyk. — Możecie jeść i słuchać. Otóż tak. W domu u was wiedzą, że wyjechaliście za granicę, prawda?

— Oczywiście. Nie robiłem z tego tajemnicy.

— A więc zgodzę się na rozmowę, jeśli będzie tak prowadzona, jak gdybyście dzwonili do domu z zagranicy.

— Dobrze — odparł z wahaniem.
— I nie powiecie ani słowa o tym, gdzie przebywacie?
— Jeśli sobie tego życzyście...
— Następnie: możecie zapytać, co słychać w domu, możecie poinformować o stanie zdrowia. Nic więcej.

— Dobrze.

Major wstał.

— Jesteście zadowoleni?

— Bardzo.

— Kończcie w takim razie śniadanie.

— Zjem później. Bardzo chcę wiedzieć, co słychać w domu. I tak już zaniedbałem sprawę, bo przyrzekłem zadzwonić natychmiast po przyjeździe, tymczasem minęły już cztery dni.

— To się zdarza, to nic strasznego. — Zmierza ku drzwiom. Major powiedział: — Włóżcie płaszcz.

Szakowaty przystanął.

— Powiedziałem wam wczoraj, że płaszcz i walizeczka zostały w Chevrolecie.

— Głupstwo. W takim razie pojedziecie bez płaszcza.

— Dokąd? — W głosie Szakowatego zjawił się niepokój.

— Blisko, nie martwcie się.

Wyszli z pokoju, przemierzali korytarz i po chwili stanęli przed domem. Teraz ujrzał placik, który wczoraj wieczorem tonął w ciemnościach. Z boku, obok furtki i bramy tkwiącej między rozpiętymi liniami kolczastego drutu, stał niewielki, drewniany barak, pomalowany na zielono. W otwartych oknach ujrzał żołnierzy. To oni pewnie śpiewali — pomyślał. W pobliżu czekał samochód.

— Proszę, jedziemy.

Wsiedli do wozu, ruszyli. W świetle dnia Szakowaty poznał rychło miejscowość. Jechali uliczkami Śródborowa, mijali wille, drewniaki, ogródki. Szakowatego ogarnęło błogie uczucie bezpieczeństwa i spokoju: był w pobliżu Warszawy, domu. Tu, w Śródborowie, istniał zapewne jeszcze ów domek, w którym mieszkał kiedyś — kiedy to było? — latem 1924 roku, razem z Leńskim po powrocie tego wybitnego działacza do kraju. A teraz jechał, by zadzwonić do domu, do Marii. Przy okazji może nawet pomówi z synem, o ile jeszcze zostanie go w domu. Trzeba będzie rychło napisać ten życiorys — rozważał w dalszym ciągu przyglądając się w milczeniu drzewom, domom, ludziom, których mijali w pędzie. Samochód znów jechał Wałem Miedzeszyńskim. Na drugim brzegu ujrzał miasto. Minęli most.

— Dokąd my właściwie jedziemy, towarzyszu? — zapytał Szakowaty.

— Do ministerstwa.

Na Koszykowej otworzono im bramę, samochód stanął w głębi podwórza. Major wysiadł, za nim ruszył Szpakowaty. Weszli do gmachu, Szpakowatego ogarnął chłód mrocznego domu. Mijali jakieś korytarze, potem pigli się schodami. Wokoło panowała cisza. Szpakowaty siedł spokojnie, żałował, że wczoraj rozmawiał tak ostro z majorem. Widocznie istniały jakieś konieczności, które zmuszały władze, aby tak z nim postąpiły.

W pokoju, w którym się znaleźli, ujrzał aparaturę telefoniczną, która wypełniała pomieszczenie nieustannym szmerem, trzaskiem, stukiem. W tej gęstwinie zwojów i drutów sprawnie działała precyzyjna aparatura pełna tajemnic. Minęli ten pokój w milczeniu i zatrzymali się w sąsiednim, oddzielonym od kłębowniska przewodów szklaną taflą. Nie było tu nikogo. Szpakowatego ogarnął niepokój, gdy usłyszał słowa majora:

— Weźcie słuchawkę. Przypominam warunki.

Szpakowaty ujął słuchawkę, była chłodna. Major nałożył na uszy dwie złęczone ze sobą słuchawki. Szpakowaty wpił wzrok w czarną płytkę, którą miał przed oczyma. W tym ciemnym zwierciadle odbijało się jego oblicze, zniekształcone z lekka, wydłużone karykaturalnie. Usłyszał nagle daleki chrobot i głos telefonistki, który wyłonił się znieacka z eteru, wyraźny, jasny, po czym zapadł się, utonął w gmatwaniu szmerów płynących z niezmierzonej przestrzeni. Szpakowaty słyszał wyraźnie dzwonicie drutów, niepokojący, głuchy szum słupów telefonicznych, niski i huczący. Ten szum przebił alarmem świst dobiegający z obszarów pól, po których hasał wichur. Znow się pojawił głos telefonistki, który się urywał, utykał i z trudem wiązał strzępy słów, fragmenty zdań. Rozumiał, że pytała, czy to Warszawa. Upewniała się, czy jest połączona z właściwym numerem. Z tego skłóconego i rozkołysanego morza dźwięków, szumów, szmerów, trzasków wyłowił znajomy i bliski głos Marii. Był niecierpliwy, gniewny, pełen ekscytacji, jakby się dławiała i krtusiła słowem, którego nie mogła wydobyć ze ściśniętego gardła. Szpakowaty przeraził się, poczuł, że błędnie. Wolną ręką stał z czoła pot, lecz niepokój nie ustępował. Wtedy ujrzał oczy majora. Tamten wpatrywał się w niego uporczywie, jednocześnie zjawił się na jego wąskich ustach uśmieszek. Szpakowaty krzyknął: „hallo” i jednocześnie niemal usłyszał podwójne, potrójne echo własnego głosu. Dźwięk się spiętrzył i spłoszony przemknął jak niepojęty bełkot, milknący, cichnący daleko. Przez myśl mu przebiegło, że śni i rzeczywiście przebywa daleko od Warszawy, od domu. Zniekształcony dźwięk skojarzył się z dałą, zamgleniem, przestrzenią, która spoczywała za rzekami, za pasmami dzikich gór.

— Słyszysz mnie, Mario?

Trwało chwilę, zanim przeminał pogłos, powracające echo, pulsujące podwójną falą dźwięku. Bał się, że Maria odpowie natychmiast i wówczas głos jej zetrze się ze skłóconym echem, które pogłębi jedynie zniekształcenie. Zapomniał, że oba głosy idą ku sobie z przestrzeni zupełnie bliskiej, z Koszykowej na Saską Kępę, oddzieloną od śródmieścia jednym pasmem ulic, korytem spokojnej rzeki.

— Gdzie ty jesteś? — spytała Maria. Lęk zjeżył Szpakowatego włosy. W głosie żony była rozpacz. Powtórzyła: — Gdzie jesteś?

— Jestem w Karlovych Varach — krzyknął i utkwiał wzrok w oczach majora. Tamten już się nie śmiał. Siedział naprzeciwko milczący, wsłuchany w dźwięk słów. Szpakowaty zapytał: — Czy mnie słyszysz? — Tak, słyszę — odpowiedziało mu w słuchawce. — Ale ciebie nie ma w Karlovych Varach.

— Jestem, jestem, przecież mnie słyszysz.

— Ja wczoraj dzwoniłam.

— Co?

— Ja wczoraj dzwoniłam do zarządu, ciebie tam nie ma.

— Jestem! Słyszysz? To międzypaństwowa rozmowa, słyszysz?

— Teraz wiem.

— No, widzisz. Bądź spokojna.

Z drugiej strony dotarły do niego zniekształcone, pogmatwane słowa:

— Ja odszukałam wczoraj obsługę sypialnego wagonu do Katowic, oni...

Major trzasnął w aparat, wstał gwałtownie. W słuchawce Szpakowatego zaległa nagle cisza, przeraźliwa, dzwoniąca, nieuniknąca. Był błydy, słuchawka opadła ciężko na widełki. Bezwiednie ruszył za majorem. W głowie miał zamęt. Szedł machinalnie, mijał korytarze, widział drzwi, milczących ludzi. Wszędzie panowała cisza. Znów znalazł się na podwórzu. Z ulicy dochodził stłumiony gwar. Wsiedli do samochodu i dopiero wtedy pojął rzecz straszliwą. — Ona wie, ona wie — powtarzał pobladłymi ustami. — Zasłonił dłonią oczy. Chciał jeszcze zapytać o zdrowie syna, lecz wszvstko nastąpiło tak gwałtownie, tak szybko...

— Jak wam smakował obiad?

Major czekał odpowiedzi, mimo iż wiedział, że jej nie otrzyma. Szpakowaty siedział z opuszczoną głową. Spod przymkniętych powiek wysnuł się lekki krążek cienia, na stole stygło nie tknięte śniadanie.

— Może zjecie coś innego?
— Nie. Dziękuję.
— Radzę wam zjeść cokolwiek i zabrać się do pisania.
— Nie będę pisał.
— Dlaczego?
— Nie rozumiem, po co wam... — Poprawił się: — Komu potrzebny mój życiorys?

— Mam polecenie partyjne.
Szpakowaty uniósł głowę. W jego oczach był przejmujący smutek.

— Towarzysze znają mnie doskonale. Jestem w ruchu robotniczym od 1904 roku. — Odetchnął i dodał: — to jest od czterdziestu lat z górą.

— Powiedziałem już: takie jest polecenie partyjne.
— Wam wydano polecenie, nie mnie.
— Muszę je wykonać.
— Mnie nie możecie wydawać poleceń.
— Muszę.
— Ale ja nie muszę.
— Mnie tu postawiła partia. Dlaczego nie rozumiecie tego?
— To ja rozumiem. Nie rozumiem jedynie, czego żąda od was, ode mnie.

Major otworzył usta, chciał coś powiedzieć, ale Szpakowaty mu przerwał.

— A właściwie na kogo się powołujecie, mówiąc: partia?
— Personalnie?

Szpakowaty uśmiechnął się.

— Mnie chodzi o instancję, zrozumieć. Jaka instancja partyjna wydała wam to dziwne polecenie?

— Urząd.

— Urząd? — powtórzył zdumiony. — A wy mówiliście przed chwilą o partii.

— To coś więcej.

— A więc tak... — Szpakowaty westchnął. Powtórzył głucho: — To coś więcej.

Pokiwał głową, jakby nie rozumiał własnych słów. — Nie będę pisał.

— Musicie.

— Zmusicie mnie?

— Nie, nigdy. Wasz życiorys potrzebny jest, by wyjaśnić szereg spraw. Tu nie o was chodzi.

— Jakich spraw? Czyich?

— Tego ja nie wiem. Wiem tylko, że od tego zależy los kilku ludzi.

Szpakowaty spojrział na niego uważnie i spytał:

— Jak to ma być pisane? Dokładnie? Obszernie?

— Napiszcie dokładnie i obszernie. — Po chwili milczenia dodał: — Napiszcie oddzielnie o pracy zawodowej, oddzielnie o pracy partyjnej.

— Dlaczego tak? — zapytał zdziwiony. — Ja tak nie potrafię.

— Spróbujcie.

— Ależ to nonsens. Byłem w pracy zawodowej politykiem. Nigdy nie odgraniczałem tych spraw.

— Tak trzeba, aby uzyskać większą jasność.

— Z nazwiskami?

— Nie dyktuję. Życiorys powinien być dokładny, ścisły, prawdziwy. Jeżeli potraficie unikać nazwisk, proszę bardzo, nie mam nic przeciwko temu. Ale nie żyliście poza społeczeństwem, stykaliście się w życiu z ludźmi. Inaczej nie potrafilibyście działać.

— A więc... — Szpakowaty urwał i dodał szeptem: — A więc donos.

— Nie każę oskarżać konkretnego człowieka. Ocenę ludzi zostawiam wam.

— Ale ja nie wiem, do czego to ma służyć.

— Czy macie jakieś skrupuły?

— Tak.

— A więc pytam: a jeśli to jest potrzebne, aby uratować życie niektórym ludziom?

— Powiedźcie, o kogo chodzi. Jeśli znam tych ludzi, powiem, co o nich wiem.

— Powiedziałem swoje i to powinno wam wystarczyć. Nie wskazuję konkretnego osobnika.

Osobnika — przemknęło przez myśl Szpakowatemu. Po czym dodał:

— Nie będę wymieniał żadnych nazwisk.

— Napiszecie więc nieprawdę.

— Nie będę wymieniał nazwisk.

Major podszedł bliżej i powiedział spokojnie:

— Widzicie, to może nawet być bardzo ciekawe. — Uniósł dłoń i pokiwał palcem. — Bardzo ciekawe. — I rzekł: — Chcecie z góry niejako uwolnić się od wyrzutów sumienia?

— To brzmi tak, jakbyście chcieli wejść ze mną w jakąś zмовę.

— Macie prawo wyboru. Postąpcie, jak chcecie. Ja nie zamierzam się wtrącać. Im wcześniej napiszecie, tym wcześniej się rozstaniemy.

Galilei: Oh, man gibt mir Papier und Feder.
Meine Oberen sind keine Dummköpfe.

B. Brecht

Zapisane arkusze Szpakowaty dał i zaczynał od nowa. Praca szła mu nieskładnie, opornie. W domu panowała cisza, niczym nie zakłócona. Czyżby był sam? Tylko major przebywał w pobliżu. Zamieszkiwał sąsiedni pokój: tam sypiał, jadał, czytał. Szpakowaty łowił niekiedy szelest odwracanej karty, szmer powoli rozcinanego papieru. To wszystko działo się blisko, jakby w sąsiedztwie zamkniętych drzwi. Spoglądał ku nim, judasz tkwił nieporuszony.

Major zaglądał z rzadka.

— Nie chcę wam przeszkadzać — mówił. — Widzę, że pracujecie.

Potem sięgał po zapisane arkusze.

— Nie!

Szpakowaty zgarnął papiery.

— Jeszcze nie? — zapytał spokojnie major.

— Chcę przeczytać. Zaczekajcie, aż będę miał całość.

— To przedłuży sprawę.

— Dlaczego?

— Będzie znacznie lepiej, jeśli każdy zapisany arkusz posłę od razu dalej. Po co czekać, aż napisiecie całość?

— Sądziecie, że tak będzie lepiej?

— Będzie prędzej.

Znów zasiadł do pracy, lecz wszystko mu się płało: nie potrafił wytyczyć granicy między pracą zawodową a polityczną. Obie czynności nachodziły na siebie, pokrywały się, uzupełniały w sposób nierozzerwalnie jednolity, ścisły, zwarty. Próbował rozłączyć te elementy, oderwać od siebie. Czynił to bez przekonania, zadając sobie gwałt. Na próżno silił się, by uzupełnić luki, które powstawały nagle tam, gdzie konieczność polityczna wynikała z toku pracy zawodowej i odwrotnie. Po co to wszystko i na co? — zapytywał siebie, nie rozumiejąc tego, co czyni. Nie akceptował swego dzieła i wtedy nagle pojął, że nie akceptuje swego życiorysu. Odzieram siebie z własnego życia — powtarzał — tworzę dziury, wyrwy, czeluście, w których już nie zdołam osadzić żadnej treści. Niczyje życie nie wypełni tych luk, nie zasklepi otworów. To bzdura — mówił do siebie — straszliwa bzdura; oto tworzę jakąś dwutorowość, której unikałem w całym życiu i zwalczałem od chwili, gdy wybrałem świadomie działalność rewolucyjną, dlaczego mam więc obecnie obok mego życia ułożyć ten drugi, wyimaginowany tor? Czy po to, aby dla kogoś moje życie stało się bardziej przejrzyste, rozłożone na czynniki proste? Jakie ono będzie wtedy:

proste czy uproszczone? Uczepił się tej myśli i ona go przeraziła. A wtedy? — rozważał — wtedy, gdy oskarżano tamtych, nie było uproszczenia? Wróg krył się w masach, w tych masach żyli moi towarzysze, inaczej czym by byli? Czy nie było zatem upraszczaniem wyjaśnienie, że uderzenie wymierzone we wrogów musiało automatycznie ugodzić w sprawiedliwych i szlachetnych?

Nagle wstał od stołu. To przecież on, ten major, mówił o tym, że niewymienianie nazwisk „byłoby bardzo ciekawe”. Czyżby mu naprawdę zależało na tym? On wie, on musi wiedzieć, co mnie od lat łączyło z tamtymi ludźmi, on musi o tym wiedzieć. Jeśli więc zataję nazwiska tych ludzi, czy to przemilczenie nie zamieni się obecnie w dowód przeciwko tamtym? Major chyba czekał na to. Szpakowaty dotknął ręką serca, które nagle zaczęło bić gwałtownie. Tak, tylko tak należało pojąć aprobatę majora.

Uspokoiwszy się nieco usiadł przy stole i zaczął od nowa. Zdawało mu się, że już wie, jak postąpi, co uczyni. Zarysował mu się jasny obraz tego, co się miało wyłonić z ułomnego życiorysu, zlepionego, zespolonego z dwu odrębnych części, które należały wprowadzić do siebie, ale w innym, bardziej naturalnym porządku aniżeli ten, który wynikał z rozbicia i ponownego połączenia życia rozdartego na „zawód” i „politykę”. Będzie pisał prawdę, tylko prawdę, jedynie ona może uratować wszystkich, którzy kroczyli ze mną w marszu. I mnie. Tylko prawda uchroni tamtych od potępienia, mnie zaś od potępienia i zagłady.

Do pracy zasiadał rano, zaraz po śniadaniu, potem trochę odpoczywał, by pod wieczór znów przystąpić do pisania. Spieszyło mu się teraz, nabrał ochoty, aby dobrać do końca w najkrótszym czasie. Zdawało mu się, że odkrył niejasny do tej pory sens, cel stawał się bliższy, mimo iż każdy rozpoczęty arkusz dręczył jak pierwszy, utrwalający porządek minionego życia. Widział je na nowo, uszeregowane w jakiś logiczny ciąg, który niejednokrotnie wymykał się własnej ocenie. To, co odczytywał na zapisanych kartach, miało już obecnie swoje samoistne, niezależne życie, oderwane od jego osoby i postaci. Zdarzało się, że skreślał jakieś niepotrzebne słowo, które wydawało mu się ozdobnikiem, ornamentem. Innym razem dopisywał zdanie, ale tak, jakby czynił korektę w czymś dziele, które było mu w gruncie rzeczy obojętne. Już niczego nie potrafię zmienić w życiu, które minęło — rozważał — ono spoczywa przede mną jasne, niedwuznaczne, przygotowane do oceny. Niech je ludzie oceniają. Mnie obowiązuje coś innego: ile mogę wnieść do życia, które jeszcze mam przed sobą?

Myśląc o tym załamywał się: czuł swoją bezradność i bezsilność. Z rozmowy z Marią, przerywanej gwałtownie, wnosił, że już wie o jego aresztowaniu, nie wierzył więc, by ta kobieta, która

tyle doświadczyła w życiu, siedziała spokojnie w domu i nie poruszyła wszystkich, którzy mogliby mieć jakiś wpływ na jego losy. To niemożliwe, aby nie odwiedziła „Starszego pana”, najbliższego przyjaciela i towarzysza, pełniącego funkcję redaktora naczelnego poważnego miesięcznika teoretycznego, w którym ogłaszano wszystkie enuncjacje i dokumenty partyjne. Nie wyobrażał sobie, aby Maria nie odwiedziła towarzyszy, z którymi pracował kiedyś przed pierwszą wojną i w późniejszych latach. A jeśli nie zechcą z nią rozmawiać? — pomyślał z goryczą — co zrobi wtedy? Ileż to dni już minęło od chwili aresztowania i nikt się nie odezwał? A może nie ma ich w Warszawie? Już tydzień upłynął od owego dnia...

Wstał od stołu i ruszył ku drzwiom. Zapukał. W otworze judasza ujrzał czyjeś oko. Nie wiedział, czy ono należy do majora, czy żołnierza.

— Majorze!

Tamten otworzył drzwi.

— Nie będę więcej pisał.

— Dlaczego?

— Mogę pisać, ale tylko w domu.

— Dlaczego? Dlaczego zmieniliście decyzję? Co się stało?

— Ja chcę pisać w domu. Nie chcę być więźniem.

— Nie jesteście nim.

— Więc dlaczego nie chcecie, abym pisał w domu?

— Uspokójcie się. Powiem wam.

Szpakowaty stał w pobliżu drzwi. Major powiedział:

— Siadajcie, wyjaśnię wam. Proszę. — Szpakowaty usiadł.

Major ciągnął dalej: — Przekazałem pierwsze arkusze i towarzysze ocenili je jako nader interesujące.

— Więc?

— Więc proszę, abyście tu, w spokoju, pisali dalej.

— To nie żaden argument, abym był z dala od domu i towarzyszy. Mój życiorys nie stanie się ciekawszy przez to, że przebywam w odosobnieniu.

— Niezupełnie macie rację. W domu będą wam przeszkadzali, zjawia się inne zajęcia, a tu macie idealny spokój. Przecież tu skończycie szybciej.

Czyżby te same racje wyłożono „Starszemu panu” oraz innym towarzyszom, których Maria bez wątpienia odwiedzała, prosząc, by się zajęli jego sprawą? To przecież niemożliwe, aby tamci nie interweniowali... Spojrzał ku oknu i uśmiechnął się z politowaniem: było otwarte. To prawda, odmykała je niewidzialna ręka od zewnątrz, ale okno nie posiadało krat. Willa, w której przebywał, nie była otoczona murem. Linie kolczastego drutu wytyczały

raczej granicę działki aniżeli obszar wolności. Gdyby chciał stąd umknąć... Tuż za linią drutu spała w słońcu łączka, zamknięta z jednej strony rzadkim lasiem sosnowym, z drugiej piaszczystą wydumą... Czy w takich warunkach trzyma się przestępcę? Spojrzał na stół, gdzie leżały arkusze.

Pracował od samego rana, każdy zapisany arkusz zabierał major, tak było codziennie i w końcu Szpakowaty stracił rachubę. Nie wiedział już, ile napisał: dwieście czy trzysta arkuszy, a może tylko sześćdziesiąt? Zdarzały się dni, w których rozmowa z samym sobą o przeszłości i latach minionych wciągała go całkowicie, bez reszty, bez pamięci. Wtedy z odległego dna, z mroku wychodziły zdarzenia i wypadki zapomniane, wykreślone dawno z życia. Zjawiali się ponownie ludzie bliscy i dalecy, zapomniani i wiecznie obecni. Bo też nie poprzez ludzi sięgał pamięcią wstecz. Wracał w przeszłość jak działacz: poprzez kalendarz, daty, wydarzenia, dni pamiętne. Dopiero one odsłaniały widok na ludzi. Nieobecni, nieżywi, często dalecy, wręczali mu od nowa niewidzialną dłoń i imaginacyjne klucze do coraz to innych wydarzeń, które formowały pasmo zwące się życiem. Już dawno nie było takich spotkań.

Z mroku niepamięci wyłonił się dom rodzinny, obraz rodziców, postać brata, starszego o kilka lat. Stamtąd, z oddali, szła ku niemu siostra i jej mąż, wybitny uczony-matematyk, który nie zdołał wyrwać się z Białegostoku w 1941 roku, dokąd przedostał się we wrześniu 1939 roku. Wrócił więc do Warszawy, ale sam, bez żony i dziecka: obie, matka i córka, zginęły na bezkresnych obszarach olbrzymiego kraju, który nagle stanął w płomieniach wojny. Szpakowaty widział teraz tę swoją siostrę, wiotką, delikatną, cichą dziewczynę. Jej mąż, głośny matematyk, po powrocie z Białegostoku pracował długo na nielegalnym uniwersytecie wojennym, potem, w dniach powstania, wszelki słuch o nim zaginął... Może leżał w grobie bezimiennych ludzi na którymś z warszawskich cmentarzy, powstających w owych dniach tak często na zwykłych podwórzach, obok śmietników i ustępów, w pobliżu gruzów, nie uprzątniętych jeszcze z września. W swych wspomnieniach Szpakowaty poświęcił kilka zdań siostrze, szwagrowi, kolegom, znajomym, którzy w różnych okresach odwiedzali dom rodziców. Więcej miejsca poświęcił bratu, który przebywał na emigracji w Niemczech, skąd po przewrocie hitlerowskim, w 1933 roku, przedarł się do Czechosłowacji. Brat ustąpił później miejsca działaczom partyjnym, z którymi Szpakowaty stykał się w kraju, głównie w Warszawie, oraz poza krajem. Ten okres wspomnień zahaczał również o dom szwagra, gdzie bywał rzadko. Szwagier, bezpartyjny radykał, reprezentował poglądy, które pasowały raczej do czasów Jana Władysława Dawida i młodego Nałkowskiego

anizeli do poglądów członków KPP, wywodzących się z szeregów SDKPiL lub PPS-lewicy. Szwagier przyjmował go w gabinecie pełnym druków, czasopism. Nieraz, w okresach szczególnie trudnych, Szpakowaty nocował w tym gabinecie.

Wspominając siostrę, brata, szwagra czynił to dla zyskania pełni okresu, o którym pisał. Brat, przesładowany i ścigany, opuścił kraj i od 1923 roku przebywał daleko, poza granicami. Z czasem miejsce bliskich ludzi z kręgu rodzinnego zajęli we wspomnieniach życiorysowych towarzysze partyjni, SDKPiL-owcy, komuniści, PPS-owcy różnych odcieni, Bundowcy, Poalej-Syjniści, z którymi stykał się w pracy, w czasie dyskusji. Wracając w przeszłość przypominał sobie tytuły artykułów i prac, które ogłaszał w prasie na wpół legalnej lub nielegalnej. Nie tał, że niektóre z tych prac wywołały swego czasu sprzeciw we własnych szeregach partyjnych. Wspominał, że z jego wywodami teoretycznymi, zwłaszcza z okresu poprzedzającego przewrót majowy oraz z okresu pomajowego, nie zgadzali się towarzysze z KC, z sekretariatu krajowego...

Zapisane arkusze, jak do tej pory, zabierał major. Praca rosła się niepomniernie. Któregoś dnia zapytał majora, ile już napisał.

— Czterdzieści arkuszy czterostronicowych.

— Tyle? — zdziwił się Szpakowaty.

— Nie liczyliście?

— Skądże? To znaczy, że napisałem sto sześćdziesiąt stron.

— Tak by wypadło. Piszcie dalej.

W pamięci ożyły lata więzienne, kary, wyroki, wyjazdy za granicę, pobyty w Berlinie, Paryżu, Sztokholmie, jedyny krótki pobyt w Moskwie, w 1935 roku, skąd go wezwano nagle do domu... Wtedy utonął Jurek... Raz jeszcze ożyło to bolesne wspomnienie, w ślad za nim pojawiła się myśl o Piotrze, z którym był po wojnie w Sztokholmie. Tam operowano mu nowotwór na mózgu...

Odłożył pióro i oparł głowę na dłoni. W domu nic się nie mogło stać — pomyślał, nic poza niepokojem wywołanym jego nieobecnością, która się niebawem skończy. Im prędzej napiszę, tym szybciej wrócę. Trzeba było pisać mniej obszernie — rozważał — wówczas skończyłbym wcześniej. A tak? — przypominał sobie liczbę podaną przez majora — napisałem sporą broszurę. Ile jeszcze napiszę?

Wszedł w lata dwudzieste i trzydzieste, w całą złożoność problematyki politycznej, społecznej, partyjnej, roztrząsanej od dawna, obciążonej istnieniem co najmniej dwu grup w łonie kierownictwa — „mniejszości” i „większości”, nie licząc frakcyjnych gru-

pek, które tu i ówdzie usiłowały działać w dołach partyjnych. Powstawały różnice zdań i sprzeczne poglądy na zagadnienie jednolitego frontu, w sprawie wsi, w kwestii narodowościowej, w kwestii pracy związkowej, wzajemnych stosunków między partiami komunistycznymi mniejszości narodowych zamieszkujących teren Polski... Mając na względzie skomplikowaną sytuację międzynarodową, wzrost sił faszystowskich, stan gospodarki na wsi i w mieście, stan umysłów inteligencji, rodzące się tendencje połączeniowe i jednolitofrontowe w dołach PPS, Bundu, chciał w sposób najprawdźwisi, a więc zgodny z ówczesnym stanem, przedstawić własną pozycję, swoją rolę i stanowisko w tych sprawach. Czy potrafię — zapytywał siebie — w sposób obiektywny opisać ówczesny mój sposób patrzenia, oceny, rozumienia, bez zabarwienia minionego okresu poglądami, które pochodzą z lat późniejszych, powojennych? Co było po 1937 roku? Co przemyślałem po tamtych latach? A czy to ważne? Czy to ma w ogóle jakieś znaczenie? Kogo to interesuje? Cóż za znaczenie ma sposób, w jaki odczuwałem owe sprawy, skoro milczenie ciągle jeszcze pokrywa tamten okres? Czy napisać, co myślę o moich towarzyszach z kierownictwa KPP, którzy już pewnie nie żyją? I jakie to ma znaczenie? Krążył niespokojnie po pokoju, pochylony, zgarbiony. A jeśli się mylę? Nagle pojął, że również obecnie może się mylić. Stał się zamyślony u okna. Było otwarte, firanka uchylona wiotko lgnęła do ściany. Wbrew przyrzeczeniu danemu majorowi zbliżył się do parapetu i wyjrzał. Pod ścianą ujrzał krzew jaśminu, krótko przycięty, by nie wyrósł ponad murek. Z boku, zupełnie blisko, stała ławka. Zwróciwszy twarz ku słońcu, siedział na niej major. Na jego rżnych bokobrodach igrał blask. Oczy obu mężczyzn spotkały się. Szpakowaty, przestraszony i zawstydzony zarazem, cofnął się machinalnie. Po chwili major zjawił się w pokoju.

— Daliście słowo, że nie wyrzycie przez okno.

— Uczyniłem to zupełnie machinalnie, zapewniam was, majorze.

— Chcę wam uwierzyć.

— Nie wiedziałem, że wy tam jesteście.

— Słowo powinno obowiązywać niezależnie od wiedzy czy przekonania, że jestem tam lub mnie tam nie ma.

— Macie rację. — Zapanowało milczenie. Minęło pierwsze oszołomienie. Szpakowaty dodał: — A jednak wygląda na to, że mnie pilnujecie.

— Mylicie się. Ja czekam ciągle na wasz materiał.

— Materiał?

— No tak, na wasz życiorys.

— A więc mój życiorys nazywacie materiałem?

- To zawodowe określenie. Czy to takie ważne?
- Nie. W gruncie rzeczy to nieważne.
- To bardzo ciekawe, co napisaliście.
- Czytaliście?
- Wszystko.
- I co?
- Powiedziałem już: to niezwykle wspomnienia.
- Naprawdę tak oceniacie moją pisaninę?
- Znajduję tam moc nowych, nieznanych wiadomości.
- O jakich wiadomościach mówicie?
- O tych, które w pierwszym rządzie dotyczą ruchu robotniczego.
- Ale ja nie piszę historii ruchu robotniczego!
- To prawda, ale wasze życie, praca, działalność należą już do dziejów tego ruchu.
- Interesowaliście się kiedykolwiek tymi sprawami?
- Owszem. I dlatego właśnie miałbym może jakieś zastrzeżenia co do niektórych waszych naświetleń.
- Co wy powiadacie? — Szpakowaty ożywił się. Powiedzenie majora ubawiło go. — Na przykład? Powiedzcie.
- O, nie. Tego teraz nie zrobię. Ale po skończeniu pracy pogadamy sobie.
- Szkoda. Obudziliście moją ciekawość, a teraz nie chcecie rozmawiać.
- Przyjdzie pora, zapewniam was. Wówczas pogadamy.
- Kiedy?
- Gdy skończycie.
- Dobrze. Postaram się skończyć szybko.
- Możecie się spieszyć, tylko piszcie dokładnie.
- Dobrze.
- I jedną prośbę mam do was.
- Słucham.
- Nie podchodźcie do okna.

Teraz praca szła mu coraz trudniej, oporniej. Już pisał o okresie powojennym, gdy zaczęła mu niepomniernie ciążyć świadomość, iż ten obszerny życiorys, zawierający wszystko, co przeżył, co przemyślał, wędruje z rąk do rąk. Czy nie napisał za dużo, zbyt wiele o tym, co wykracza poza zakres wspomnień działacza partyjnego? Kogo obchodzi mój szwagier zabity przez Niemców, brat zamordowany w Oświęcimiu, dokąd go zawlekli z Pragi, siostra z niemowlęciem rozszarpanym na nieznanym szlaku bombą hitlerowską? Komu to potrzebne i po co? Jeszcze się wahał, jeszcze

wątpił, czy słusznie postąpił poświęcając mniej lub więcej miejsca przygodnie napotkanym ludziom, gdy któregoś dnia major rzekł:

— Czytałem ten fragment wspomnień, gdzie opisujecie pracę w centralnym zarządzie. W pewnym miejscu opisujecie przybycie waszej delegacji do ministerstwa aprowizacji w sprawie zwiększenia przydziałów żywnościowych dla robotników leśnych. Przypominacie sobie tę historię?

— Tak. Istotnie pisałem o tym szczególe.

— Ale nie podaliście nazwiska.

— Czyjego?

— Tego dyrektora departamentu, u którego byliście wówczas.

— Nie wiem, jak się nazywa. I nie o niego chodziło, tylko o akcję robotników.

— Czy istotnie oceniacie ją jako ważną?

— Oczywiście! To było bardzo ważne. Ludzie głodowali. Czy wyobrażacie sobie inny sposób załatwienia takiej sprawy?

— Przez wysyłanie delegacji?

— A jaki inny sposób widzicie? W państwie kapitalistycznym szukałbym innych dróg, ale w pewnych okolicznościach nie rezygnowałbym nawet wówczas z organizowania delegacji.

— To czystej wody socjaldemokratyzm.

— Oho, jak widzę, to wy oceniacie mój życiorys również pod względem merytorycznym, pryncypialnym.

— To się dzieje mimo woli.

— Tak prawie, jak moje podejście do okna, co zostało przez was tak surowo potępione.

— To nie jest dziedzina porównań.

— A więc czego dopatrujecie się w tej delegacji, której przewodziłem: socjaldemokratyzmu czy wystąpienia antypaństwowego?

— Nie widzę w tym nic złego. Chciałbym, abyście napisali nazwisko dyrektora departamentu, u którego byliście wówczas.

— Nie znam tego nazwiska. Ono mnie nie interesowało.

— A więc odmawiacie?

— Obawiam się, że nie rozumiecie bardzo prostej rzeczy. Ja nie piszę donosów. Jeśli chcecie wiedzieć, jak się ten człowiek nazywa, ustalcie to. Nic prostszego.

— A jeśli je wam przypomnę?

— To wam powiem, czy je sobie przypominam, czy nie. Nie mam nic do zatajenia. Nazwisko dyrektora departamentu jakiegoś ministerstwa nie stanowi tajemnicy państwowej.

— Czy Zabielski?

— Chyba tak. Pamiętam, że wtedy padło nazwisko o podob-

nym brzmieniu: Zabielski czy Zabierski. Tego człowieka aresztowano niedawno.

— A więc wiecie o tym?

— Oczywiście! Mówiono o tym w radio, pisano w gazetach.

— A co wy myślicie o tym?

— Nie mam żadnego ustalonego poglądu. Wyjaśniano wtedy, że działał przeciwko państwu. Podobno w tej działalności należy szukać źródeł naszych trudności aprowizacyjnych.

— A ile razy widzieliście tego człowieka?

— Raz. Wtedy właśnie. Napisałem o tym.

Major przeszedł się po pokoju, nagle przystanął i zwróciwszy się do Szpakowatego rzekł:

— Chciałbym, abyście więcej miejsca poświęcili bratu i szwagrowi.

— Ci ludzie nie żyją — szepnął.

— Chcemy znać więcej szczegółów o ich pracy.

— Szwagier był naszym sympatykiem, nie należał do partii.

— Napiszcie o tym.

Szpakowaty milczał. Znowu ocieram się o śmierć — pomyślał z goryczą.

Przypomniawszy sobie męczeński zgon obu tych ludzi.

— Czy macie jakieś obiekcje? Powiedzieliście, że ci ludzie nie żyją.

— Można martwych uśmiercić po raz drugi. I trzeci.

— Albo zrehabilitować.

— Nie ma powodu do rehabilitacji ani jednego, ani drugiego. Nikt im nigdy nie stawiał zarzutów. Nie zostali również osądzeni. Nie zginęli na mocy krzywdzącego orzeczenia. Zostali po prostu zamordowani przez hitlerowców. Nic na nich nie ciąży.

— Nie wątpię i bardzo mi przykro, że wywołałem tego rodzaju reminiscencje. Chodzi o to, w jakiej mierze ich życie splotło się z waszą działalnością partyjną.

— Powiedzcie konkretnie o co chodzi.

— Ja nie umiem nic formułować. Chciałbym jedynie mieć bliższy ich wizerunek, a tym samym i wasz.

Rano, rano, raniusieńko,
rano po rosie,

raz, dwa

rano po rosie.

Wyganiała Kasia wołki,
rozwidniało się,

raz, dwa,

rozwidniało się...

Szpakowaty leżał na łóżku z przymkniętymi oczyma. Jeszcze unosił pod powieką widzenie senne, nie spieszyło mu się. Wczoraj wiczorem major zabrał ostatni arkusz i Szpakowaty czuł obecnie ulgę, lekkość, jaka towarzyszy człowiekowi, który wykonał ciężką, trapiącą go robotę. Wiedział, że za oknem jest dzień widny, spokojny. Za linią kolczastego drutu tkwił rzadki lasek sosnowy, lśnił złocisty piach wydmy, przelatywały ptaki. Chóralny śpiew żołnierzy, idiotyczny, mechaniczny, drażnił go, nie gniewał. Najgorsze miał za sobą. Ktoś uchylił drzwi. Stał w nich major.

— Chciałem wam jeszcze raz podziękować — powiedział. — Moi przełożeni są bardzo radzi, że napisaliście tak obszerny życiorys. Ale teraz — major urwał i odczekał chwilę. — Teraz proszą, abyście napisali to samo, ale już razem o pracy zawodowej i politycznej. Łącznie. Według dat, chronologicznie.

Galilei: Ich befinde mich wohl, man schenkt mir grosse Aufmerksamkeit.

Brecht

Cisza panowała nie tylko w willi. Pojął, że zapanowała wokół niego, gęsta i szczelna, aż do granic zapomnienia. Upewnił się o tym całkowicie, gdy poprosił o zezwolenie ponownego zadzwonienia do domu. Major odmówił z miejsca. — To niemożliwe, to zupełnie wykluczone — uciął krótko.

Szpakowaty leżał na łóżku, nie jadł, nie podchodził nawet do okna. Tam przetaczał się dzień coraz większy, pełniejszy, dojrzalszy. Była wiosna dostała, nieustępliwie zwycięska. I wtedy wszystko stało się obojętne; nikt mu nie przeszkadzał, nie drażnił codzienny, poranny, chóralny śpiew żołnierski. Już nie czekał na nic: ani na interwencję „Starszego pana”, ani innych bliskich ludzi. Nie próbował ich tłumaczyć, bronić, oskarżać. Jedynie Maria nie zniknęła z ekranu pamięci. Uciekał do niej i do Piotra, szukając w myślach ratunku, pomocy. Rozmawiał z nimi w duchu spokoju, nie, tłumiąc szloch, gniew, oburzenie wywołane zniewagą. Poczuł się oszukany, wykpiony. Zdawało mu się, że rozumie już wszystko. Był starym człowiekiem, który mniemał, że ma za sobą wszystkie doświadczenia, że posiada pełny ich zasób, nie wyłączając owej bolesnej i trudnej wiedzy o życiu, która towarzyszy ludziom wraz z niepokojami, niewygoda i krótką radością. Teraz dostrzegł nagle, że nie nadeszła jeszcze pora ostatecznego obrachunku, mimo iż przebywał w willi zacisznej i samotnej, gdzie nikt mu nie przeszkadzał pisać życiorys od nowa. Dlaczego major kazał mu to robić?

Po co to było potrzebne? Pomyślał, że mogą wyniknąć przy tym jakieś sprzeczne relacje, ale wnet odpędził tę myśl. I cóż z tego, jeśli między pierwszym a drugim egzemplarzem ujawnią się jakieś sprzeczności, rozbieżności, nieścisłości? Kto ośmieli się szukać ich źródła w świadomym przeinaczaniu faktów, wydarzeń, spraw? Dla kogo przeznaczony jest ten trudny, skomplikowany życiorys, który ukończył wczoraj? Na pewno dla tych samych ludzi, którzy nie mogą w nim widzieć wroga ustroju, przeciwnika zmierzającego do celów innych aniżeli te, jakie wytyczyła partia, państwo, klasa robotnicza.

Przekonać tych ludzi, że nie mają racji, podejrzuwając go o cokolwiek. Jeszcze wcześniej tamci powinni byli zrozumieć, że go poniżyli, znieważyli, wykpiili. Kto im dał takie prawo? Kto ich upoważnił do tego? Nagle spostrzegł, że mówi o tych ludziach, towarzyszach partyjnych, jak o kimś obcym i wrogim. Serce mu się ścisnęło. Komu oni służą, jakim celom służą ich zamiary, zabiegi, czynności? Czy nie tej wspólnej sprawie, która zwie się budową socjalizmu w tym kraju nieszczęsnym i biednym? Jeśli tak, to jakie sprzeczności i niezgodności chcą wykrzyc u niego? Cóż z tego, jeśli w jakimś szczególe okaże się niedokładność? Czy ona, ta drobna sprawa może przybrać takie rozmiary, aby mogła przesłonić całe jego życie oddane partii, walce, działalności rewolucyjnej? Co z tego może wyniknąć?

Wstawał z trudem. Założywszy ręce w tył przemierzał pokój, jak dawniej celę mroczną i ciasną. Z nurtu pamięci wyłonił się X Pawilon, nagi, surowy gmach na podwórzu przeraźliwie szarym. Stamtąd wyruszył etapem w głąb dalekiego kraju, skąd wrócił po latach, by znów odsiadywać wyroki, tym razem ferowane przez polskie sądownictwo. W więzieniu mokotowskim, dokąd zawędrował w 1923 roku, trafił do celi, w której siedział kiedyś. Lecz nie tylko cela była ta sama. Wśród więźniów znaleźli się towarzysze z 1905, z 1910 roku. Dwaj z nich byli z nim tutaj kiedyś, dawno, przed pierwszą wojną światową. Pamiętał ich nazwiska, imiona, pseudonimy. Uśmiechnął się gorzko. Nie wspominał o nich ani słowem w życiorysie. Gorycz nie zniknęła: skojarzenie z celą, więzieniem, terrorem wywołało nowe nazwiska, zapomniane dawno twarze. Poniżyliście mnie — szepnął — a ja uratuję tych ludzi, zachowam w pamięci, nie oddam ich waszemu sztyderstwu i pogardzie...

Minęło kilka dni. W tym czasie major zjawiał się z rzadka, wchodził do pokoju milczkiem, nie usiłując nawet wszczynać rozmowy. Szpakowaty zamknął się w swym uporze. Milczał. Major zgarnął arkusze i stanawszy w drzwiach, powiedział:

— Nie mogę, niestety, nic zrobić w waszej sprawie. Nie ma

jeszcze wszystkich naczelników, którzy rozpatrują w ministerstwie wasze akta.

— Nie rozumiem.

— Święta Wielkanocne już minęły, ale nie ma jeszcze wszystkich pracowników.

— Kiedy wróca?

— Łada dzień. — Urwał, odczekał chwilę, po czym dodał:

— Obawiam się, że nie mając żadnego życiorysu, tak czy owak nie potrafią załatwić wszystkiego. — Mówiąc to wachlował się arkuszami papieru.

— Zostawcie ten papier.

Pisał przez następne dni, bez przerw, bez wypoczynku, z szaleńczym, desperackim wysiłkiem, w nieustającej rozprawie z sobą samym, z przeszłością, z niepamięcią. Idę na zatrąkę, idę na zatrąkę — szeptał pochylony nad kartką papieru. — Nie potrafiłem się oprzeć, przeciwstawić temu bezsensownemu, bzdurnemu żądaniu, nie umiałem. Oni szukają szczeliny, może jej nie znajdują... Pisałem prawdę, tylko prawdę, czyżbym nie potrafił powtórzyć jej bezbłędnie po raz drugi? A życie przeżyć po raz drugi, tak jak to już uczyniłem raz, potrafiłbym?

W nocy zerwał się ze snu, pojął bowiem rzecz straszną: nie o prawdę im chodzi, nie o prawdę. Chodzi o jakiś fałsz, o kłamstwo, o szalbierstwo. Uspokoił się. Chyba dlatego mogę napisać wszystko — rozważał. — Nie było w moim życiu fałszu.

A jeśli był w życiu innych ludzi? Jeśli szalbierstwo innych przylegać będzie do prawdy mojego życia? Jeśli czyjś brud przylgnie do uczciwości, czy nie potoczą się razem kłamstwo i prawda, czystość i fałsz? Kto oddzieli obie te kwestie, które żyją obok siebie nierozdzielnie i trwale? Więc co robić? Co robić? Skądże mogę wiedzieć, o którego nieuczciwego człowieka im chodzi? Miotał się niespokojnie. Skąd mam wiedzieć, który spośród wielu ludzi napotkanych w życiu związał w jakiś sposób fragment swego życia z tym fragmentem mojej działalności, której wykreślić nie mogę, nie chcę, ponieważ należy do mnie aż po kres moich dni? Długo był szeregiem ludzi, którzy mu towarzyszyli i szli z nim razem przez lata, przez wojnę, rewolucję, przez jeszcze jedną wojnę... Tam ich szukał, tych ludzi, w przeszłości. Po 1945 roku, gdy partia stała się partią rządzącą, nie mogły już przecież istnieć takie sprawy, które byłyby w stanie zaważyć na losie i życiu starego komunisty.

Major znów się zjawił. Noc była późna.

— Jak smakowała kolacja?

— Proszę was, oszczędźcie sobie tych pytań — odparł Szpa-

kowaty z niesmakiem. — Domyślacie się zapewne, że tu nie jest pensjonat.

Major zamilkł skonfundowany. Po chwili rzekł:

— Widzę, że piszecie.

— Piszę.

— I jak wam idzie?

— Chyba dobrze.

— Gdzie już jesteście?

— W 1948 roku.

— Aha. To dobrze. To znaczy, że opisaliście już 1946 rok.

— Tak.

— Czy pamiętacie nazwisko dyrektora departamentu, u którego byliście z tą delegacją?

— Już pytaliście o to.

— Ale czy pamiętacie?

— Zabielski czy Zabierski.

— I wtedy widzieliście go po raz pierwszy?

— Również i o tym już pisałem. Ja nie kłamię.

— Nie wątpię, lecz mimo to pytam ponownie: kiedy widzieliście tego człowieka po raz pierwszy?

Upór, z jakim major powtarzał to pytanie, zaskoczył go. Do tej pory Szpakowatemu wydawało się, że okres powojenny nie może budzić niepokoju. Partia działała legalnie, nie mógł więc — tak sądził — podobnie jak w okresie nielegalności, otrzeć się o kogoś, kto zasługiwałby na podejrzenie. Tymczasem zaskakujące pytanie, krążące wokół osoby, z którą się zetknął właśnie po wojnie, naruszyło myśl obcą mu do tej pory i daleką. Wśród nocnej ciszy dociekał przez długie godziny, w jakiej mierze jego szczere wynurzenia obciążą obcego człowieka. Komu i do jakich celów potrzebne były jego zeznania? Czy one obciążały, czy broniły? Nagle spostrzegł, że znalazł się w sytuacji, jakiej nie znał do tej pory. Co się dzieje? Dlaczego niepokoi go skutek, jaki wywołają jego zeznania? Czyż miały być inne niż te, które złożył bez wahania, bez zważania na wywołany nimi wynik? Czyżby miał kłamać? Kłamać, by przynieść komukolwiek szkodę lub korzyść? Nie. Nie napiszę nic ponad to, co wiem. Nic mnie nie odwiedzie od pisania prawdy.

Znów minęło kilka dni, uwaga Szpakowatego była jeszcze zaprzątnięta osobą nieznanego człowieka z ministerstwa, gdy major, wpadłszy późnym wieczorem, zapytał, co wie o Bartoszu, „inżynierze Bartoszu”, o którym wspomniał pisząc w życiorysie „o szwagrze Mateuszu oraz o bracie”.

— O inżynierze Bartoszu wiem tyle, ile napisałem.

— Nic więcej?

— Nic.

Oni mnie badają jak przestępcę — pomyślał — czepiają się każdego zdania, każdego nazwiska. Dlaczego interesuje ich inżynier Bartosz, którego spotkałem piętnaście lat temu w mieszkaniu Mateusza, gdzie zabawiłem wszystkiego kilka chwil? Pamiętał, że Mateusz wymienił nazwisko mężczyzny, którego ujrzał w gabinecie szwagra po raz pierwszy; obaj mężczyźni uściskali sobie dłonie... Siostra, żona Mateusza, podała herbatę, obecni rozmawiali kilka minut o sprawach obojętnych, po czym Szpakowaty opuścił dom siostry i jej męża. Inżyniera Bartosza Szpakowaty spotkał raz jeszcze w czasie okupacji. Była to przypadkowa rozmowa, prowadzona na ulicy. Ci ludzie, nie znający się niemal, nie mieli sobie nic do powiedzenia. Inżynier wspomniął o śmierci przyjaciela, o Mateuszu, Szpakowaty przyjął chłodno relację, którą znał od dawna. Była niepewna... Mateusz nie żył, to jedynie było pewne — nie żyła również siostra Szpakowatego. Dom, w którym poznał kiedyś inżyniera, nie istniał.

Pytania majora o Zabielskiego i inżyniera Bartosza wytyczyły rozmyślaniom Szpakowatego nowy obszar domysłów i poszukiwań. Kim był inżynier Bartosz? O Zabielskim wiedział niewiele, natomiast inżynier, o którym nic nie wiedział, może w jakiś sposób stykał się przed wojną z nielegalną, rewolucyjną działalnością. Tamten okres krył mnóstwo powodów do niepokoju.

Nagle Szpakowaty poczuł, że tok skąpych pytań majora spycha go na obszar działania dwóch sił: jednej — pochodzącej z odległej przeszłości, oraz drugiej — wywodzącej się z okresu bliższego, powojennego. Ale co on miał z tym wszystkim wspólnego? Dlaczego znalazł się w obrębie spraw dotyczących mało znanego inżyniera Bartosza i zupełnie nieznanego dyrektora departamentu, Zabielskiego? Czuł, że w tych wypadkach sprawa szczerości jego zeznań jest sprawą uboczną, drugorzędną, skoro tajemniczy i niepojęty spłot wydarzeń związał go z jakimiś ludźmi, których nie znał. Dlaczego miałby kłamać? Czy dlatego, że zarówno Bartosz jak i Zabielski znaleźli sobie jakieś tam miejsce w jego życiorysie, który nie przestawał być relacją o działalności społecznej i politycznej z okresu minionych czterdziestu lat? Cóż to za powód do niepokoju? Od 1945 roku nie ma podstaw do obaw z powodu takiego życiorysu.

Szukasz usprawiedliwienia — powiedział sobie w duchu. — Szukasz usprawiedliwienia, ponieważ wymieniłeś nazwiska ludzi, którymi interesuje się teraz major z rzyżymi baczkami, a ci ludzie nie mieli może tak czystej przeszłości jak ty i obecnie przysłużyłeś im się pisząc o nich. Ale czym? Czym? Czy ich znajomość, bodaj przelotna, ze starym komunistą może stanowić dla nich t e r a z moment obciążający? A może to obciąża mnie?

Zapadał zmierzch, zachód zapalił łunę, która przeświecała płatami czerwieni przez rzadki sosnowy las. Wydma piaszczysta zaróżowiła się. Od ziemi, od łąki szedł ciepły oddech. Drut pokryty rdzą czerniał linijką nabitą cierniem kolców. Zatrzepotał ptak i odleciał.

A nawet? Gdyby to mogło mnie obciążać, czy to powód, abym kłamał? Wtedy pojął rzecz straszliwą: a jeśli moja znajomość z nimi obciąża ich? Poruszył się niespokojnie i dalej snuł niepokojącą myśl. Ale co to za znajomość? Kto może tak określić ów stan wzajemnej wiedzy o sobie, skoro dwaj ludzie spotkali się dwukrotnie w okresie dziesięciu lat? Cóż to za znajomość? Lecz w takim razie dlaczego major nalega, aby napisać właśnie o tych nieobowiązkowych i przelotnych rozmowach? Czy za tym nie kryje się coś zupełnie innego? I co może się tam kryć? Co mogą mieć przeciwko mnie ludzie, którzy zwracają się do mnie per „towarzyszu” i w działalności swej powołują się na imię partii?

Pamiętał, że major polecił mu napisać dokładny życiorys Mateusza i brata, nazwisko inżyniera Bartosza pojawiło się tylko w jednym życiorysie, w tym poświęconym Mateuszowi, dlaczego więc polecił mu w związku z tym napisać również życiorys brata? Czyżby Bartosz znał także nieżyjącego brata? W takim razie jaki związek ma z tymi osobami zupełnie nieznanymi mu Zabielski? Rozmyślenia te zabierały mu dużo godzin nocnych, zakłócały spokój dnia.

— Skończyliście? — zapytał major.

— Tak. Proszę was, uwolnijcie mnie już od pisania tych życiorysów. To naprawdę jest pozbawione sensu.

— Pytam dlatego, by ustalić, czy uważacie tę pracę za ukończoną. Jeśli tak, zawiozę was do ministerstwa.

— Do kogo?

— Do ludzi miarodajnych w waszej sprawie. Zbierzcie swoje rzeczy.

Nareszcie — pomyślał. Czy nie trzeba było szybciej pisać, nie zwlekać, mniej roztrząsać, namyślać się? Bo co osiągnął? Czy zdołał w jakiegokolwiek mierze wpłynąć na bieg wydarzeń, na swoje własne postępowanie?

Wyszli przed dom. Noc była głęboka, owionął go chłód. Od pół ciągnęła dołem, tuż nad ziemią, mgła. Snuła się wiotkimi pasmami, kłębiąc się tam, gdzie krzewy tkwiły stożkami czerni. Pod stopami skrzypiał piasek. Przed niewielkim baraczkiem drzemał samochód ze zgaszonymi światłami. W pobliżu czerniał las. W oddali poprzez drzewa przebijały światła odległych domostw, których za dnia nigdy nie widział. Było jak na wsi, w dalekim dzieciństwie. Pachniało zajazdem, bryką, powolną gawędą...

— Chłodno? — zapytał major.

— Mam płaszcz.

— To go włożcie na siebie.

— Chyba nie warto.

— Moglibyście się jeszcze zaziębić.

Szpakowaty spojrział na majora. W mroku twarz jego wydawała się bez wyrazu: biała plama w czerni nocy.

— Niepotrzebnie troszczycie się o moje zdrowie. Jest maj. Zapanowało milczenie. Zmierzali do samochodu.

— Czy macie jakieś powody do uskarżania się?

— O, nie! — odparł żywo Szpakowaty. Nagle poczuł się rześki, młody.

— No, więc.

Głos majora był oschły, ton rzeczowy.

— Dlaczego tak późno? Dlaczego męczycie towarzysza?

Nieznany mu pułkownik wstał od biurka i szedł ku nim gniewny, chmurny. Podał rękę Szpakowatemu, majorowi polecił zaczekać w przedpokoju.

Gabinet pułkownika był obszerny, jasno oświetlony. Ciężkie biurko stało w pobliżu okna, przez które Szpakowaty ujrzał niebo rozległe, z olbrzymią płonąca tarczą księżyca. Była pełnia. Pod ogromną nocą o barwie bladego seledynu schodził ku Wiśle ciemny masyw miasta z domami, ogrodami, parkami, nadrzecznym piachem. Po drugiej stronie rzeki na płaskim brzegu tkwiły ogrody. W małych podwórkach stały domy a wśród nich jeden, który Szpakowaty minął kilkanaście minut temu. Cisza nad miastem była rozedrgana. Szpakowaty nie wiedział, czy jasność, która spowiła noc, płynęła od płonących lamp ulicznych czy od księżyca zamarłego w bezruchu.

— Siadajcie!

Z boku, w nisz, za uchyloną kotarą ujrzał tapczan. Pułkownik powiódł tam wzrokiem.

— Nie dziwcie się. Ja muszę tu często nocować. Mamy strasznie dużo roboty. Ot, chociażby dziś. Zamiast pójść wcześniej do domu, musiałem czekać na wasze przybycie. — Podniósł głos.

— Dlaczego nie przyjechaliście wcześniej?

— Nie mogę wam odpowiedzieć na wasze pytanie — odparł Szpakowaty.

Pułkownik przemierzył gabinet niecierpliwie. Stanąwszy przy oknie powiedział:

— Przyjechaliście za późno. Towarzysz, który załatwia waszą sprawę, nie mógł dłużej czekać.

Szpakowatemu zamarło serce. Przymknął oczy, lecz mimo to widział olbrzymią, krwawą tarczę księżycą.

— Nie przejmujcie się — powiedział pułkownik. — Przenocujecie tutaj. Dostaniecie świeżą bieliznę pościelową.

— Dobrze — odparł szeptem. — Nie muszę spać, mogę siedzieć do rana.

Było mu wszystko jedno. Wydawało mu się, że przejrzał już grę, polegającą na stwarzaniu coraz to nowych pozorów, wybiegów, wykrętów.

Przecież to są szpiclowskie kawały — pomyślał w pewnej chwili — po co oni to wszystko robią ze mną? Skąd to wzięli? Gdzie się tego nauczyli? Nie podejmują ze mną dyskusji, chcą mnie wyprowadzić z równowagi. Do czego to doprowadzi?

— Przejdźcie do sąsiedniego pokoju, tam wam pościelą.

Spał źle. Kilkakrotnie w ciągu nocy wstawał. Ulice w pobliżu gmachu spały w zupełnej ciszy. W dole przemknął jakiś samochód, jeszcze jeden... Koła toczyły się z szelestem, jakby po żwirze. Jak tam — pomyślał o ogrodzie, w którym stała samotna willa. Znów zapanowała cisza. Park Ujazdowski spał naprzeciwno, tajemniczy, cichy, z lśniąca taflą jeziora wśród ciemnych krzewów. Tam sunął niewidzialny łabędź, bezszelestnie, widmowo. Ujrzał w pamięci rabaty: narcyze, stulone bratki, miecze lilii nad wodą, rozkwitłe krzaki bzu o ciężkich, wilgotnych kiściach.

Rano zjawił się ktoś obcy. Był to szczupły, chudy człowiek o ciemnej cerze. W twarzy przybyłego płonęły bardzo czarne, bystre, żywe, rozbiegane oczy. Zabłyśły w nich iskierki przekory.

— Siadajcie.

Szpakowaty przyglądał się temu człowiekowi, który czytał w milczeniu arkusze zapisane przez niego tam, w tej samotnej willi. Ilekroć czytający podnosił oczy, Szpakowaty unikał spotkania z tym wzrokiem, który niepokoił. Obserwował dłonie czytającego: były długie, wąskie, nerwowe. Milczenie trwało długo. Wreszcie tamten rzekł:

— Mam dla was przykre wiadomości.

— Mianowicie? — Szpakowaty mówił spokojnie, mimo iż czuł przyspieszone tętno, ucisk w skroniach. Ręce mu drżały, więc oparł je na kolanach, by tamten nie widział drżenia.

— Towarzysze uważają, że potrzebne są jakieś dodatkowe wyjaśnienia.

Szpakowaty mu przerwał:

— I nowy życiorys?

— Proszę, zachowajcie spokój. Dlaczego się denerwujecie?

— Nie będę pisał nowego życiorysu, nie wymyślę nowych elementów dla życia, które już mam za sobą.

- Tak komunista nie mówi. Dopóki żyje, działa.
- Jestem zmęczony tym wszystkim. Nie usiłujcie wskrzesić we mnie entuzjazmu dla bzdurnej roboty. Ja tak nie umiem.
- Ja, niestety, muszę umieć.
- Powiedzcie, o co wam chodzi. Dlaczego nie powiecie otwarcie, czego szukacie?
- Towarzysze uważają, że potrzebne są jeszcze jakieś wyjaśnienia.
- Już mówiliście o tym.
- Niestety, nie zrozumieliście tego. Więc powtarzam: musicie zostać.
- O co wam chodzi?
- Towarzysz major wam powie.
- A wy nie możecie tego uczynić?
- Przykro mi. Będziecie potrzebni przez tydzień lub dwa.
- Po co?
- Ja też robię, co mi partia każe. Jestem często bezradny.
- Bezradny? — powtórzył Szpakowaty. — Dlaczego mówicie o bezradności w związku z tym, co robicie na zlecenie partii?
- Tak, istotnie. Macie rację. Ja was przepraszam. To złe określenie.
- Nie przepraszajcie, to zbyt ciche. Ale określenie użyte przez was jest dziwne, a nie złe. — Tamten milczał, więc Szpakowaty spytał:
- Jak długo to potrwa?
- Może dwa tygodnie.
- Trudno — odparł Szpakowaty. Wstał ociężale. — Skoro taka jest wola partii... — Szpakowaty spojrział ku drzwiom.
- Czy macie jakieś życzenia, zażalenia...
- Zażalenia? — powtórzył zdumiony. — Niby na co? Na kogo?
- Na traktowanie, na ludzi.
- Nie! Skądże! Co wam na myśl wpadło!
- To dobrze. Trzymajcie się, towarzyszu. Już niedługo.

Znów jazda samochodem. Przy kierownicy tkwił młody chłopiec, skory do rozmowy, lecz rozmowa nie kleiła się. Obok Szpakowatego siedział teraz nieznanemu mu człowiek, którego widział po raz pierwszy. Człowiek w cywilnym ubraniu był chmurny, o gburowatym wyglądzie. Szpakowatemu nie spieszyło się do rozmowy: był zadowolony, że może rzucić okiem na ulicę, na ludzi.

Teraz nie wracali mostem. Po dłuższej jeździe wyskoczyli rogatkami za miasto, minęli składy z żelastwem, cementem, deskami,

place budowy, rudery, wreszcie ujrzał zrudziałe łąki o lichej trawce. Gdzieś z boku zamajaczyły tory kolejowe, zabudowania stacyjne, remizy. Szpakowaty spojrzał na człowieka siedzącego obok. Ten zdawał się drzemać. Mimo to zapytał półgłosem:

— Dokąd jedziemy?

— Zobaczycie.

— Nie wolno wiedzieć, dokąd mnie wieziecie?

— Nie wolno — odparł tamten głucho, nie odwracając głowy.

— I to wszystko, co macie mi do powiedzenia?

Teraz tamten spojrzał zdumiony.

— Na pogaduszki wam się zbiera? A mnie mówili, że jesteście uświadomionym członkiem partii. I karnym.

— Więc co z tego?

— Karny członek partii nie pyta.

— I to nazywacie karnością?

— Tak.

Szpakowaty nic nie odpowiedział. Zaszył się w kąt samochodu.

Pokażny dom, odsunięty od szosy i otoczony ogrodem warzywnym, sprawiał wrażenie szkoły w okresie wakacyjnym. Wokoło panowała cisza, z głębi domu nie dochodził żaden dźwięk, mimo iż okna były otwarte. Samochód wjechał w tę ciszę upalną, pachnącą duszną wonią, przydeptaną stopą skwaru. Szpakowatego dobiegł teraz czyjś głos, spokojny, monotony. Niewidoczny człowiek, wykładowca czy nauczyciel, dyktował powoli jakiś tekst. Szpakowaty usłyszał w przejściu urywek zdania recytowanego odrębnie, głośno: „... oprzeć się wyłącznie na klasie robotniczej...” Wykładowca widocznie odwrócił się, mówił bowiem nieco ciszej, lecz mimo to Szpakowaty pochwycił dalszy ciąg recytowanego zdania: „... stanowiącej u nas jedyny element rewolucyjny... rewolucyjny...” Minęli chłodną sień. Niebawem znaleźli się w mrocznym pokoju o nagich, nieprzyjemnych ścianach. Z okna wysokiego parteru ujrzał ogród skąpany w słońcu. W sąsiednim pokoju ktoś stukał na maszynie powoli, z namysłem. Wędrując wzrokiem po pomieszczeniu stwierdził, że drzwi nie posiadają od środka klamek. Cywil, który z nim przybył, zajrzał do pokoju, gdzie rozlegał się stuk maszyny.

— Tu za ciemno, dajcie żarówkę stuświecową i gazety — rzekł cywil do kogoś ukrytego w pokoju obok.

— Ile?

— Dwie, trzy gazety. Codziennie.

— A żarówkę? — pytał niewidoczny człowiek. — Na stół czy pod sufit?

- Do lampy stołowej.
- Zamknawszy drzwi cywil zwrócił się do Szpakowatego:
- Gdyby wam czegoś trzeba było, powiedzcie. Wybaczcie, że tu nie będzie tak jak w domu. — Spojrzał w kąt i dorzucił:
- I łóżko mniej wygodne.
- To nieważne.
- A, nie! Towarzyszu, wszystko jest ważne, wszystko.
- Powiedzcie, gdzie jestem.
- W szkole.
- W jakiej?
- Wybaczcie, że ukryję to przed wami.
- Nie potraficie. Przecież widzę i słyszę.
- Nie szkodzi. Nie jesteście więźniem. Spójrzcie na okno
- cywil wyprostował ramię — nie ma krat, nie ma muru. Do waszych usług będzie ordynans.
- A po co? Mnie nie trzeba usługiwać.
- Nazwijcie to, jak chcecie. Ordynans będzie wam podawał posiłki, wodę do mycia, wyprowadzi do ubikacji...
- Do ubikacji?
- Tak. Nie zamierzacie chyba urządzać sobie spacerów po tym terenie?

Szpakowaty zamilkł. W sąsiednim pokoju zamykał ktoś z trzaskiem maszynę do pisania. Potem zapanowała cisza.

Nastąpiły dni pełne monotonii. Ranek rozpoczynał się chóralnym śpiewem, gimnastyką, ćwiczeniami odbywanymi w pobliżu, na jakimś placu położonym za domem. Z okna, u którego stawał wielokrotnie w ciągu dnia, widział grządki, rzędy krzewów agrestu, porzeczek, malin. Lato było dostate, pełne, bujne. W południe dzwoniły roje pszczoł, które ciągnęły złocistą i brzęczącą chmurą. Czyjs powolny głos dyktował teksty; inny, wysoki, czupurny, wieńczący zdania ostrym, kogucim pieniem, wygłaszał niekończące się pogadanki. Wszystkie te dźwięki dobiegały go tutaj przez ścianę, która była wiecznie chłodna. Rano wraz z obfitym i smacznym śniadaniem otrzymywał dzienniki; w sobotę doręczano mu tygodniki ilustrowane, czasopisma literackie. Po obiedzie, po zupie, mięsie, jarzynach, kompocie, dostawał ciastko, czarną kawę. W niedzielę po obiedzie zjawiał się olbrzymi kawał świeżego, wonnego sernika. W końcu znudziło mu się jadło, jakiego nie dostawał nawet w domu. Odsuwał szparagi, sałatę ze śmietaną, a gdy poprosił o zmniejszenie porcji jaj podawanych codziennie na śniadanie, ordynans rzekł:

- Nie można.
- Dlaczego?
- Jest zarządzenie, by wam podawać trzy jajka.

— A ja proszę o dwa.

— Nie wolno. Taki rozkaz.

Dzień zmniejszał się wyraźnie, ranki wstawały chłodniejsze. Rosa w ogrodzie długo lśniła na liściach kapusty. Dopiero później słońce ją wypijało. Ogarnął go smutek. Trawa zrudziała, liście, tknięte martwicą, żółkły już tu i ówdzie. Warzył je szron.

— Co z tego będzie? — zapytał którejś nocy ordynansa. Księżyc płynął w czepku z mgły, zanosilo się na deszcz. Trapił brak wiadomości z domu, nękało osamotnienie.

— Zameldujcie się do szefa — pouczył go ordynans.

— Kiedy szef będzie?

— Tego ja nie wiem, ale dam znać do kancelarii, że chcecie z nim porozmawiać.

— A tu? — Szpakowaty wskazał sąsiedni pokój. — Dlaczego nie piszą już tam na maszynie?

— Kierownik kazał im przenieść się gdzie indziej.

— Dlaczego?

— Żeby się nie porozumiewać.

— Aha. — Szpakowaty zakończył rozmowę. — A kierownik i szef to ta sama osoba?

— Nie.

Zapadł zmierzch. Z ogrodu płynęła oszałamiająca i dzika woń. Snuł się w niej odurzający zapach macierzanki, zmieszany z odorem vegetacji. Czaiła się w tym zapachu wilgoć podglebia, leśnego runa, nagle zbudzonego odoru gnicia. Cuchnąca woń kapusty powiała wraz ze smrodem obornika. W otwarte okno wionęło zatrutym tchem. Wschodził księżyc. W domu panowała całkowita cisza. Od kilku dni ustały chóralne śpiewy, nie słyszał głosu wykładowcy. Skończyły się ćwiczenia, gimnastyka uprawiana na placu za domem. Był tu sam, strzeżony przez ordynansa, który zjawiał się o oznaczonej porze, po czym znikał bez wdawania się w rozmowy.

Późną nocą, po zgaszeniu światła, gdy blask księżycy kładł się na ogród, zjawił się szef. Otworzywszy drzwi nakazał, aby Szpakowaty nie zapalał lampki stojącej przy łóżku. Przybyły usiadł w pobliżu łóżka. Szpakowaty, ogarnięty cieniem, widział przed sobą człowieka obrysowanego linią blasku, który płynął przez otwarte okno. W ogrodzie szalał jakiś ptak trzepocący głośno, nieprzytomnie skrzydłami. Ciemna bryła tkwiła nieruchomo. Szpakowaty, siedząc na łóżku, rzekł:

— W ministerstwie przyrzeczono mi, że po dwóch tygodniach będę wolny, tymczasem minęły już trzy tygodnie. Dlaczego nie kończycie tej sprawy?

— Tylko tyle macie mi do powiedzenia?

Nie znał tego głosu, to był obcy człowiek.

— Tylko tyle. A co jeszcze? Nie wiedziałem — Szpakowaty był oszołomiony — nie wiedziałem, że czekacie na cokolwiek.

— Jeżeli tylko tyle macie mi do powiedzenia, to sprawa jest bardzo prosta. Przekażę waszą prośbę i w najbliższym czasie sprawa wasza będzie miała dalszy bieg.

— Kiedy to będzie: w najbliższym czasie?

— Tego ja nie wiem.

— A kto wie?

— Cóż ja wam mogę powiedzieć? Nie znam waszej sprawy. Nie znam was.

Tamten siedział ciągle nieruchomo. Szpakowatemu wydawało się, że ta ciemna bryła, pozbawiona ruchu, dobywa z siebie słowa, które mogły służyć różnym ludziom w różnych okolicznościach, zupełnie niepodobnych do tych, które je teraz wywołały.

— A kim wy jesteście? — zapytał Szpakowaty.

— Dlaczego pytaacie?

— Ukrywacie twarz, nie pokazujecie się całymi dniami. Korzystacie z ciemności...

— Mylicie się. Niczego nie unikam. Przed nikim się nie kryję.

Ptaka w ogrodzie zamilkł nagle. W ciszy odezwał się przenikliwie świerszcz.

— Chciałbym was o coś zapytać — powiedział Szpakowaty cicho.

Cień obrysowany niteczką światła nie poruszył się.

— O co?

— Kto mi powie, po co to wszystko?

— Po co? — powtórzył tamten głucho.

— Już minęły cztery miesiące od chwili mego aresztowania.

— Muszę sprostować — wtrącił obcy człowiek — nie jesteście więźniami.

— Dobrze — Szpakowaty zmienił ton — a więc od chwili, gdy mnie zatrzymano, minęły cztery miesiące i nic nie wiem. I co gorsza: nic nie rozumiem.

— Nie umiem wam na to odpowiedzieć.

— Więc co będzie?

— Nie wiem. Nie pytajcie, bo ja nic nie wiem.

— Rozumiem.

— Nie rozumiecie wszystkiego.

— Kpicie?

— Nie kpię. Zrozumcie. Nie miałem żadnego rozkazu, aby wam cokolwiek wyjaśnić. Mogę być najwyżej uprzejmy wobec was.

— Czy bywają więc rozkazy nakazujące być nieuprzejmym?

Ciemna postać poruszyła się niespokojnie. Obcy człowiek wstał od stołu i ruszył ku oknu. Ciemny kontur zasłonił niebo.

— Prosiłście kilka dni temu, aby wam podawano na śniadanie dwa jajka zamiast trzech.

— Tak. Rzeczywiście prosiłem o to. Za dużo tego wszystkiego.

— Rozumiem. Zwróciłem się do ministerstwa, aby wyrażono zgodę.

— Do ministerstwa? — Głos Szpakowatego zadrżał. — O taką sprawę zwróciliście się do ministerstwa?

— Tak. — Od okna szedł spokojny, zrównoważony głos. — Stamtąd przyszło polecenie i tylko tam mogą je zmienić.

Szpakowaty opadł na poduszkę. Przymknął oczy. Księżyc zataczał powolny krąg. Ktoś pośpiesznie przemierzył ogród, zaskrzyphiał piach, trzasnęły drzwi. Gnیلny zapach snuł się szeroko. Po obliczu starego człowieka stoczyła się łza. I jeszcze jedna.

Następnego dnia o zmroku szef zjawił się ponownie i z miejsca przystąpił do sprawy. Oświadczył, że dziś rozmawiał w ministerstwie z ludźmi, którzy znają jego akta.

— I co? — przerwał mu Szpakowaty zniecierpliwiony.

— Polecili, abyście napisali życiorys.

Szpakowaty zbladł. Niedobrze z moim sercem — pomyślał pośpiesznie.

Nagły ból popłynął z barku przez serce. W piersi poczuł ucisk, który bardzo powoli ustępował. Oddychał z trudem.

— Podejrzewam, że jednak nie rozmawialiście z ludźmi, którzy znają moją sprawę.

— Dlaczego tak twierdzicie?

— Ci ludzie wiedzą, że napisałem już dwukrotnie życiorys.

— Dwukrotnie?

— Tak. Dwa razy. Obydwa, gdy byłem jeszcze tam.

— Gdzie: tam?

— Nie wiem, gdzie jest to: tam. Ale właśnie wtedy napisałem dwukrotnie.

— Ja muszę wykonać polecenie.

— A ja nie napiszę. To są kpiny.

— Cóż ja wam poradzę? — Przybyły rozłożył ręce.

— Ponizacie mnie. Ciągłe mnie ponizacie. Kto wam dał takie prawo?

— Dlaczego gniewacie się na mnie?

Szpakowaty uspokajał się powoli.

— Nie gniewam się na was, wybaczcie.
— Zbledliście bardzo. Czy potrzebny wam lekarz?
— Może, nie wiem. Czuję się źle.
— Postaram się o lekarza. — Urwał i po chwili dodał: —
Jeżeli to was nie zdenerwuje, powiem wam, jaką mam propozycję.
— Nie wiem, o co wam chodzi.
— Nie będziecie więcej pisali. Podyktujecie mi, ja napiszę pod
waszym dyktandem.

Szpakowaty uśmiechnął się.
— Chcecie, abym się nie męczył?
— Zbledliście bardzo.
— Nie rozumiecie mnie. Nie lękam się zmęczenia. Nie widzę
tylko potrzeby ponownego pisania.
— Zgódźcie się. To jest konieczne.
— To mnie poniża. Ktoś chce w moim życiorysie wykryć jakąś
sprzeczność lub niedokładność.

— Lękacie się tego?
— Nie. Niczego nie ukrywam i niczego się nie lękam.
— Więc dlaczego tak się oburzacie?
— Dlatego, że mi nie wierzą.
— A jeśli partia tego żąda.

Szpakowaty zwrócił się gwałtownie ku mówiącemu:
— Czego partia żąda? Abym w toku nieustannej pisaniny
jeden raz pominął taki szczegół, drugi raz owaki? Przecież to zna-
czy, że partia nie ma mi nic do zarzucenia. Dlaczego słyszę ciągle:
partia, partia?

— Niczego nie pojmujecie.
— Nie jestem automatem. Jestem działaczem politycznym,
członkiem partii, a nie buchalterem swego życia.
— Będziecie dyktowali, a ja będę pisał. Łatwiej wam będzie
przypominać sobie.

Szpakowaty uśmiechnął się przelotnie.
— Nigdy tego nie praktykowałem. A — odczekał chwilę —
czy nie musicie uzgodnić tego z ministerstwem?
— Chyba nie. Przekonam ich, że jesteście zmęczeni.
— A więc skłamięcie. Mówiłem wam przed chwilą, że nie
zmęczenie powoduje moją niechęć do ponownego pisania.
— Zastanówcie się, ja muszę wykonać rozkaz.

Poranne gazety zamieściły dokładny program jutrzejszych uro-
czystości w Warszawie i w całym kraju. Nadeszło święto wyzwolenia,
dzień 22 lipca. Przez stolicę, przez wszystkie okręgi prze-
mysłowe, aż po brzeg morza, przez stocznie, biegły dumne mel-

dunki o przekroczeniu planów produkcyjnych i wykonaniu zobowiązań. Rosły cyfry wydobywania, produkcji, plonów. Do stolicy przybyły już delegacje zagraniczne, ze wszystkich stron kraju spieczyły do Warszawy ekipy złożone z najlepszych, najprzedniejszych, najpierwszych. Prasa zapowiadała liczne zabawy i festyny na placach i ulicach miast, wsi i osiedli, w parkach i na błoniach, nad brzegami rzek i na wybrzeżu morskim.

Centralny organ partii donosił z dumą, że 22 lipca przełamany zostanie zwyczaj krępujący do tej pory naród: jutro po raz pierwszy w dziejach Polski ludność stolicy będzie tańczyła na ulicy.

Wokoło panowała cisza, dom był opustoszały, ogród drzemał w upalne południe. Szpakowaty był rozgoryczony. To jeszcze jeden epizod w moim życiu — rozważał — święto wyzwolenia, które spędzę w zamknięciu. Epizod ten przeminie jak dziesiątki, setki innych, które coś tam znaczyły w moim życiu. Mógł sobie z łatwością wyobrazić wiwatujące tłumy, rozbawioną młodzież idącą przez gwarne i rojne ulice, pełne śmiechu, śpiewu, tańca. Jutro przeczyta o tym w sprawozdaniach prasowych. Pod wieczór zjawił się szef. Dźwigał olbrzymią paczkę. Był uśmiechnięty, wesół, ożywiony.

— Niespodzianka na święto! Gratuluję! — Mówiąc to złożył paczkę na stole. — Zgadnijcie od kogo?

— Nie lubię zgadywać. Już dawno z tego wyrosłem.

— Od żony!

— Nie! — Szpakowaty ruszył ku przybyłemu. — Od żony? — powtórzył wzruszony.

— I list!

— Niemożliwe!

— Proszę. — Szef sięgnął do kieszeni i wydobyl kopertę. — Żona prosiła, żebyście na tym samym liście napisali odpowiedź.

— To niemożliwe — szepnął Szpakowaty. — Taka niespodzianka! — Drżącymi rękami sięgnął po kopertę. Była niezaklejona. — Zaczekajcie — powiedział do szefa — przeczytam.

— Zaczekam.

List był skąpy, suchy. Zawierał spis przesłanych rzeczy. Były tam jakieś ciasteczka, trochę cukierków, czekolada, lecz mimo ten suchy wykaz list był rozpaczliwy. Był poszukiwaniem, wypatrywaniem, udręką. Ona nic nie wie — pomyślał — i cóż jej wyjaśni moja odpowiedź? Nagle pojął rzecz strasliwą: ona chce wiedzieć, czy jeszcze żyję, jej potrzebny jest znak ode mnie.

— Widzę, że wasza żona ma doświadczenie — powiedział szef, zabarwiając głos nutką czułości.

- Nie dziwcie się. Już były kiedyś podobne sytuacje.
- Nie porównywacie chyba dzisiejszej sytuacji do...
- Nie, nie. Nie robię żadnych porównań.
- Napiszcie, ja doręcę. — Po chwili rzekł: — Były jeszcze jakieś książki, ale ich nie dostaniecie.
- Dlaczego?
- Nie wolno.
- Jakie to książki?
- Nie wiem. Ale wy napiszecie, że otrzymaliście je.
- Musiałbym napisać nieprawdę.
- Jak chcecie. Jeśli napiszecie, że nie dostaliście książek, nie doręcę waszej odpowiedzi.
- To szantaż.
- Nazwijcie to jak chcecie. Już czas, abyście zrozumieli, że istnieją także półprawdy.
- W odniesieniu do książek?
- Wnioskujcie sobie jak chcecie. Zasada jest ważna, a nie interpretacja. Zapamiętajcie to sobie.
- Przestajecie być uprzejmym, a tak chwaliliście się tym.
- Jestem nim w dalszym ciągu, ale wy, niestety, nie rozumiecie tego.
- Litujecie się nade mną?
- Moje uczucia nie są ważne. Mam wykonać polecenie, nic więcej.
- Ale książki są mi potrzebne. Spójrzcie na ten ogród. Już wiem o nim wszystko, obliczyłem już, na ilu grządkach rośnie marchew, na ilu buraki, pietruszka, pomidory, kalarepa...
- Za parę dni dostaniecie sto tomów. — I wnet dodał: — Kiedy zaczniecie dyktować życiorys?

Dyktowanie życiorysu zaczęło się następnego dnia. Szef przychodził wieczorem, siadał przy stole, zapalał lampę, po czym odprawiał kierownika domu, prosząc, aby nie przeszkadzał. Takie samo polecenie otrzymywał żołnierz usługujący Szpakowatemu. Szef czekał. Szpakowaty chodził z kąta w kąt, spokojny, gotów wykonać polecenie. Maria otrzymała już zapewne odpowiedź, ów niechybny znak życia. W liście wspominał o dobrym samopoczuciu w sposób wykluczający wszelkie działanie uczucia. Chciał ujawnić tym skąpstwem słów swoją siłę, niczym nie zachwiany spokój, wiarę w szybki powrót do domu. Tego nie napisał, o tym myślał skrycie od wielu tygodni. Obecnie, gdy Maria dotarła nareszcie do ludzi mających nad nim pieczę i uzyskała zgodę na przesłanie paczki

oraz listu, mógł wyczekiwać w zupełnym spokoju zakończenia dochodzenia czy sprawy.

Dyktowanie rozpoczął od stereotypowego: „Urodziłem się w...”. Teraz, gdy słyszał własne słowa wypowiedane głośno, wydawało mu się, że dyktuje czyjś, nie własny życiorys. Chwilami wypowiedana myśl wydawała mu się gładka, ugrzeczniona, innym razem zaskakiwała brakiem odkrywczości i nowości. I o czymże on tu opowiada? Życiorys jego podobny był do tysiąca innych — rozważał — dlaczego więc stał się przedmiotem zainteresowania, dociekań, dochodzeń? Szef pisał szybko. Cień człowieka siedzącego w pobliżu lampy padał na ścianę olbrzymią, płaską plamą. Dyktujący zwrócił wzrok ku oknu.

— Dosyć — powiedział w pewnej chwili szef.

— Dlaczego? — spytał Szpakowaty, niezdolny ukryć zdumienia.

— Jestem już zmęczony.

— Jak długo pisaliśmy? Chyba niedługo?

— Godzinę.

Szpakowaty rozłożył ręce.

— Nie mogę wam niczego narzucać ani rozkazywać. Byłem pewien, że...

— Ja mam jeszcze inne zajęcia.

— Rozumiem.

Przez kilka dni szef nie przychodził. W owym czasie uwagę Szpakowatego zaprzętnęła inna sprawa. W gazetach, które otrzymywał, znalazł pod sensacyjnymi nagłówkami wiadomości, które nim poruszyły do żywego. Czytając je spostrzegł jednak, że brak mu wiadomości uzupełniających, gdzieś w przeszłości nastąpiły wydarzenia, o których nic nie wiedział. Wysłał pamięć, lecz w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, aby sprawy, o których obecnie była mowa, poruszane były w prasie wówczas, gdy był jeszcze na wolności. Czyżby aż tak dalece nie pamiętał? To przecież niemożliwe. Szpakowaty czytał po raz trzeci wiadomość:

Zdrajca narodu węgierskiego, Rajk, stanie przed sądem w Budapeszcie. Akt oskarżenia demaskuje prowokatora i ujawnia współpracę oskarżonych z wywiadem USA i Tito.

W dniu 10 bm. ogłoszony został akt oskarżenia w sprawie Laszlo Rajka i siedmiu jego współników oskarżonych o zdradę stanu, szpiegostwo, dążenie do obalenia przemocą demokratycznego ustroju i rządu Republiki Węgierskiej oraz o popełnienie innych czynów przestępczych. W dniu 16 bm. zasiądzie na ławie oskarżonych przed sądem ludowym osiem osób.

Kiedy to się stało? Szpakowaty nic nie rozumiał z tego wszystkiego. Z wiadomości prasowych wynikało, że jednemu z krajów socjalizmu groziło śmiertelne niebezpieczeństwo, udaremnione w

porę, ale jak to się stało, że na czele spisku stał wybitny działacz partii, stary komunista, Laszlo Rajk? Czyżby wypadki w Europie toczyły się tak szybko, że od kwietnia do początków września mogło nastąpić w tej części świata tyle straszliwych i groźnych zmian?

Inna gazeta przypominała tegoż samego dnia swym czytelnikom przebieg sprawy i dopiero ta notatka pozwoliła mu dostrzec ogrom niebezpieczeństwa i grozę sytuacji. Notatka cytowała komunikat z dnia 20 czerwca 1949 roku, a więc dotyczyła owego czasu, gdy już przebywał „tam”. „Tam”, którego nie mógł określić.

W dniu 20 czerwca donosiliśmy o zlikwidowaniu trockistowskiej bandy szpiegowskiej na Węgrzech. Przewodził jej Rajk i jego towarzysze, wspólnicy z V kolumny imperialistów. Wówczas to węgierskie ministerstwo spraw wewnętrznych ogłosiło komunikat o aresztowaniu członków bandy szpiegowskiej.

Komunikat stwierdzał, że władze bezpieczeństwa aresztowały za szpiegostwo na rzecz obcych mocarstw Laszlo Rajka, Tibora Szonyiego, Paula Justusa oraz 17 innych członków bandy.

Co to wszystko znaczy? Szpakowaty jeszcze raz przeczytał notatkę, lecz nic nie mógł pojąć. Jak to się stało, że tak szybko tyle ważnych zmian zaszło w Europie? Jakże bliska musiała być groźba agresji, wojny, prowokacji! Częściowe wyjaśnienie znalazł w innym dzienniku. Przedruk z węgierskiej gazety wyjaśniał:

... imperialiści ani na chwilę nie pogodzili się z tym, że Węgry w roku 1945 przy pomocy Związku Radzieckiego wyrwały się z niewoli. Przez zdemaskowanie trockistowskiej grupy szpiegowskiej wymierziliśmy najdotkliwszy od czynów wyzwolenia cios knowaniom imperialistów, ponieważ na obecnym etapie walki V kolumna wroga jest jego bronią najniebezpieczniejszą.

Komentarz warszawskiej redakcji brzmiał:

... Analizując otoczenie i ideologiczne bagno, w którym wyrośli Rajk, Szonyi oraz Justus, dziennik stwierdza, że nie jest przypadkiem, iż w bandzie szpiegowskiej nie ma ani jednego robotnika czy chłopca, lecz wrogie ludowi elementy, które utraciły grunt pod nogami i które działały z rozkazu imperialistów. Ich wychowawcami byli najbardziej przebiegli żandarmi Horthy'ego a ich mocodawcami amerykańscy podlegacze wojenni...

Szpakowaty stracił spokój, na darmo prosił o szybkie przybycie szefa, którego chciał pytać o szczegóły. Na próżno! Szefa nie było. Zjawił się dopiero wieczorem, poprzedzony przez ordynansa, który wniósł do pokoju stos książek. Złożywszy je na podłogę, wyszedł niebawem, by wrócić po chwili z jeszcze większą paczką.

— Macie przyrzczone sto tomów — powiedział szef.

— Dobrze, dziękuję. — Szpakowaty wziął ze stołu gazetę i pokazawszy ją szefowi zapytał:

— Czy wiecie coś bliższego o tej sprawie?

— O jakiej?

— O tej, o której tu piszą. Nie widzieliście tego?

Podsunał szefowi gazetę z widocznym nagłówkiem, informującym o procesie, jaki ma się odbyć w Budapeszcie.

Szef zabrał gazetę. Ujrawszy jeszcze inne gazety na stole, zgarnął je szybko. Czynił to w popłochu, który musiał zastanowić Szpakowatego.

— Nie, nie znam tej sprawy. Zabiorę gazety i przeczytam. Rzućcie okiem na książki, które wam przyniosłem.

Szpakowaty sięgnął powoli po książkę leżącą w pobliżu. Ciągłe jeszcze miał w pamięci pośpiech, z jakim szef zabrał mu gazety. Ważył książkę w ręce, wpatrzony w okno.

— Cóż się stało? — zapytał szef. — Nie interesuje was ta książka?

Szpakowaty jakby się ocknął. Otworzył książkę, była nierozcięta.

— Nie chcieliście mi doręczyć książek z domu w obawie, aby w nich czegoś nie przemycano?

— Tak.

— Czy zdajecie sobie sprawę, że przy zachowaniu form grzecznościowych nie przestajecie mnie traktować jak przestępcę i wroga?

— To nie ja.

— A więc tak mnie traktują wasi przełożeni?

— Ja wykonuję tylko zlecenia.

Zapanowało milczenie. Gazety leżały na stole. Szef przykrył je teczką.

— Czy będziemy dziś pisali? — zapytał Szpakowaty.

— Nie. Dziś nie.

— Powiedzieliście przed chwilą, że nic nie robicie od siebie, że wykonujecie tylko polecenia.

— Tak powiedziałem.

— Tak też tłumaczę sobie fakt, że dziś nie będziemy pisali.

— Możecie tak uważać.

Następnego ranka na próżno oczekiwał gazet. Podano mu śniadanie o zwykłej porze, lecz tym razem nie było dzienników. Zapytał o nie ordynansa, ten odparł, że mu ich nie dano w kancelarii, więc nie przyniósł.

— A kiedy będą?

— Nie wiem.

— A w kancelarii mają dzisiejsze gazety?

— Mają.

— Może pożyczą?

— Ja nie jestem na posyłki. Jeśli dadzą — przyniosę.

Jeszcze się łudził, że otrzyma je później, po obiedzie. Lecz minęło południe, zapadła noc i gazet nie było. Nie otrzymał ich również dnia następnego. Trzeciego dnia zjawił się szef.

— Podobno macie do mnie jakąś sprawę.

— Tak.

— Słucham was.

— Czy nie wiecie, dlaczego nie otrzymuję gazet?

Szpakowaty obserwował twarz szefa: była nieruchoma, zastygła. Szef spuścił oczy. Był spokojny.

— Widocznie są jakieś trudności techniczne.

— Do tej pory ich nie było.

— Wielu rzeczy do tej pory nie było, a teraz są. Tego, na przykład, też nie było. — Wydobył z kieszeni kopertę i położył ją na stole. Szpakowaty poznał z dala pismo Marii.

— Dziękuję wam.

— Odpiszcie na tej samej kartce, potwierdźcie odbiór listu.

Szpakowaty nie widział jeszcze związku między wiadomościami, jakie gazety przyniosły o aresztowaniach i procesie, który się właśnie rozpoczął w Budapeszcie, a wstrzymaniem doręczania dzienników. Chwilami widział niejasny jakiś splót zachodzący między obu faktami, ale zdeorientował go zupełnie zarówno brak wiadomości, jak i milczenie szefa, który unikał rozmów na ten temat. Pewnego dnia Szpakowaty zapytał szefa:

— Czy sądzicie, że taka sprawa byłaby również możliwa w Polsce?

— Jaka?

— Żeby agenci i szpiedzy dotarli aż do najwyższych stanowisk w partii i rządzie.

— Uważam, że to jest możliwe.

— Rzeczywiście?

Szpakowaty nie przejawiał żadnego niepokoju stawiając te pytania. Również odpowiedzi szefa przyjmował z pełnym spokojem.

— A czy znacie jakieś szczegóły procesu?

— Nie.

— Taka sprawa musi mieć swe echo w całym ruchu robotniczym.

— Dlaczego tak sądzicie?

— Dlaczego? Łatwo sobie wyobrazić, że skoro imperialistom udało się usadowić swoich agentów w kierownictwie węgierskiej partii, mogłoby im się to również udać i w innych partiach.

— Logicznie biorąc taka możliwość nie jest wykluczona.

Szpakowaty roześmiał się.

— Nawet w WKP(b)?

- Nie wykluczam takiej możliwości.
- Ho, ho! Śmiało sobie postępujecie. Świetna gra wyobraźni!
- Mogę to sobie wyobrazić, skoro nasza partia mogła być swego czasu opanowana przez prowokatorów.

Szpakowaty uniósł powoli głowę. Przez dłuższą chwilę przyglądał się szefowi, który stał nieopodal.

— Czy wiecie, że należałem do kierownictwa KPP?

— Wiem.

— Czy wiecie zatem, jaki jest logiczny wniosek?

— Nie.

— Taki, że albo sam byłem prowokatorem, albo współpracowałem z prowokatorami.

Szef milczał w dalszym ciągu. Szpakowatego ogarnęło olbrzymie zniechęcenie, zjawilo się zmęczenie.. Powiedział szeptem:

— Po co ja z wami właściwie rozmawiam? — Pokiwał głową z politowaniem i powtórzył: — Po co ja właściwie rozmawiam?

Galilei: Etwas musste ich anfangen mit meiner Zeit.

B. Brecht

Raz w tygodniu szef przynosił mu z domu list, na który natychmiast odpowiadał. Czynił to skwapliwie, podniecony niezwykłą okazją niezwłocznego potwierdzenia odbioru pisma. Następnie, poruszony do głębi skąpyimi wieściami, jakie zawierały kartki nadsyłane z domu, przystępował do dyktowania życiorysu. Zdarzało się jednak, że szef nie czekał dyktanda: zabierał list z odpowiedzią Szpakowatego i opuszczał pokój. Zjawiał się znów po wielu dniach, pisał godzinę, po czym znikał.

Czas mijał. Rankami snuła się przez ogród rzadka, postrzępiona mgła. Otułała grządki, które ukazały teraz wyrównaną linię, geometryczny kształt, ukryty do tej pory pod gęstwą liści, naci, badyli. Ziemia leżała naga, w nocy skuwał ją przymrozek. Tylko w ciągu dnia pachniało jeszcze wspomnieniem lata, upału. Na pobliskich, niewidocznych stąd rżyskach, na polach ktoś piekł kartofle, wiatr przynosił swąd płonących badyli, osmalonego ziemniaka. Nitki babiego lata snuły się lekliwie w ciszy południa, zamierając w bezruchu. Południa były skwarne.

W połowie października minęło pół roku od owego dnia, gdy u wyjścia z pociągu stanęli dwaj cywile; niebawem doliczył się dwóchsetnego dnia. Dzień ten zbiegł się przypadkowo z trzydziestą dziewiątą rocznicą opuszczenia więzienia. Było to w roku 1910.

Wspomniał o tym mimochodem w czasie wieczornego dyktanda. Zapytał:

— Co sądzicie, gdybym napisał w mej sprawie do Przewodniczącego?

Szef odparł bez namysłu:

— Nie róbcie tego. To zupełnie zbyteczne. Przewodniczący wie o was bardzo dobrze.

Kilka dni później Szpakowaty dyktował szefowi wspomnienia z 1910 roku:

... Przy opuszczaniu więzienia, załatwiając ostatnie formalności w kancelarii, spotkałem się z towarzyszem, który, jako odpowiedzialny redaktor „*Młota*”, znalazł się tam dla odbycia kary prasowej. Towarzysz, nazywany przez nas później „Starszym panem”, był jeszcze podówczas pięknym mężczyzną, szczupłym, zgrabnym, o bujnej, czarnej czuprynie i takiejże brodzie w szpic. Miał poważne, uśmiechnięte oczy, ujmujące zachowanie, bezpośredniość w rozmowie, a jego podejście do ludzi z miejsca niwelowało dystans naturalny między młodym członkiem partii a jednym z jej kierowników. Takim znałem go, kiedy przychodziłem do redakcji „*Trybuny*” i „*Młota*”. W późniejszych latach, kiedy bliżej spotykaliśmy się w codziennej pracy partyjnej, do wspomnianych cech dołączył się dowcip. Współdziałanie nielegalnej partyjnej organizacji na szczeblu kierownictwa dzielnicowego z redakcją legalnego, partyjnego tygodnika było dość bliskie. Partyjne dzielnice bardzo się starały, na przykład, o zdobywanie stałych abonentów i dostarczały ich adresy do redakcji w drodze organizacyjnej, a przede wszystkim dostarczały korespondencji z fabryk. Czasami otrzymywaliśmy od towarzysza „Starszego pana” sugestie, z kim warto byłoby nawiązać kontakt, bowiem robotnicy z fabryk przychodzili bezpośrednio do redakcji. Zgodnie z ówczesnymi zwyczajami otrzymałem od gubernialnego zarządu żandarmerii zezwolenie na trzydniowy pobyt w Warszawie przed opuszczeniem kraju, a to celem załatwienia osobistych spraw...

Szef przerwał dyktującemu:

— Czy za każdym razem pisaliście tak dokładnie jak teraz?

— Oczywiście! Czy wam się to wydaje zbyteczne?

— O, nie. Nie mam najmniejszego zamiaru wpływać na wasz, sposób dyktowania.

— Więc o co wam chodzi?

— Czy nie gubicie się w szczegółach?

— Uważam, że nie.

— Chodzi mi o to, czy za każdym razem powtarzaliście je z taką dokładnością.

— Chyba tak.

— Czy pytano już was o niektóre szczegóły?

— Tak.

— Jestem przekonany, że przy ponownym pisaniu szczegółom, o które was pytano, nadawaliście zupełnie inne zabarwienie.

Szpakowaty zaniemówił. Nagle zrozumiał, że to było możliwe. Powiedział:

— Ale ja nie kłamię. Zawsze pisałem prawdę.

— Nie wątpię. Ale w jakimś szczególe pierwsza wersja może nie być zgodna z następną.

— To są szczegóły nieistotne.

— Chodzi o powstające różnice, a nie o wagę szczegółu.

— Co chcecie przez to powiedzieć?

— Nic.

Szef wstał, lecz jeszcze nie zmierzał ku drzwiom. Szpakowaty zapytał:

— Z tego, co mówiliście, wnioskuję, że nie o prawdę chodzi, tylko o różnice, o sprzeczności, nawet niewielkie, nawet nic nie znaczące...

Zamiast odpowiedzi usłyszał:

— Czy wiecie, że „Starszy pan” przebywał wiele lat za granicą?

— Wiem.

— Na Zachodzie, tak?

— Wiem, to nie żadna tajemnica. Wszyscy o tym wiedzą.

— Skończymy na dziś.

Dni były coraz krótsze. Zmrok zapadał niezwłocznie po obiedzie. Zjawiły się posępne godziny, spadły deszcze, które szły cierpliwie, ukośnie, zasłaniając nagi ogród, pełen smutku. Szła jesień, mroczna, chłodna, przejmująca ciszą. Dom był ciągle pusty, nocami huczał wiatr w kominie, pożółkłe liście lgnęły do szyb. Szpakowaty leżał na łóżku skulony i po raz któryś rozważał liczne szczegóły, które by go mogły naprowadzić na jakiś ślad tej tajemniczej sprawy.

Z życiorysu wynikał szereg faktów związanych bezpośrednio z życiem partyjnym. Czy te fakty — rozważał — nie budzą nieufności do tego, kto je spisywał? Jeśli tak, to z jakiego powodu tak długo trwa sprawdzanie tych faktów? Nieliczni towarzysze żyją jeszcze. Czy istotnie tak trudno zapytać ich, skontrolować, skonfrontować? Któregoś dnia doszedł do wniosku, że wszystkie te czynności wymagają czasu, skrupulatnej pracy i badań. Puścił wodze fantazji. Wyobraził sobie, że znaleziono jakieś archiwum carskie lub partyjne: sztab pracowników, mnóstwo odpowiedzialnych ludzi, historyków i działaczy partyjnych siedzi nad tymi materiałami, wertuje je, odczytuje ponownie, porównuje, sprawdza, po czym pyta ludzi, którzy w mniemaniu tego zespołu potrafią wyjaśnić zawiłości, niejasności. I on jest jednym z nich, jednym z ostatnich ze starej, rewolucyjnej gwardii, który pamięta ludzi, nazwiska, pseudonimy, adresy, funkcje. Niebawem rozszerzył krąg motywów usprawiedliwiających długotrwałość śledztwa — tak

nazwał tok postępowania wobec niego, mimo iż do tej pory, w ciągu siedmiu miesięcy, nie padło jeszcze żadne słowo z zakresu orzecznictwa sądowego czy administracyjnego. Pisał w życiorysach o swych częstych wyjazdach, o spotykanych różnych ludziach. Czy mógł wiedzieć z całą absolutnie pewnością, kim oni są, co robią? Obecnie — tak mniemał — wykryto pewnie ciemne jakieś punkty u tamtych osobników i to wymaga wyjaśnienia, sprawdzenia. Ale czyż on mógł wiedzieć, z nie dającą się podważyć pewnością, kogo należy unikać, by nie ściągnąć na siebie podejrzeń, nieufności? Wszak pracował w nielegalnej partii, każdy nierozważny krok narażał na szwank życie i wolność najlepszych, najzdolniejszych ludzi z kierownictwa. Ale w takim razie dlaczego nie zapytano go do tej pory o te kwestie? Jakże pogodzić chęć wyjaśnienia ciemnych spraw z praktyką, która denerwowała i deprymowała? Przypomniawszy sobie niedawną rozmowę z szefem, lecz na próżno usiłował rozwikłać, co było w tej rozmowie ważniejsze: stwierdzenie faktu, iż każdy ponowny nawrót do raz opisanego wydarzenia stwarza okazję do powstawania nieścisłości, czy to, że znał od bardzo wielu lat „Starszego pana”, który długo przebywał za granicą? Która z obu tych spraw służyła za parawan, za pretekst, a która stanowiła istotę wspólnych ich rozważań?

A jeśli obie sprawy były równorzędne, jednako ważne? Czyżby „Starszy pan” zasługiwał na podejrzenia? Jeśli tak, to i on nie był wolny od podejrzeń: ich znajomość trwała wiele lat, pracowali razem, nie ukrywał tego. Czyżby te wydarzenia miały się obecnie obrócić przeciwko niemu? Ale dlaczego w ogóle rozważam taką możliwość? — pomyślał gniewnie. Wstał. Przez długi czas krążył po ciemnym pokoju. Przystanął nagle. A jeśli to potrzebne partii? Już słyszał o tym kilka razy.

Czymże jest fakt? Jeden jedyny odrębny fakt, mieszczący się w kręgu, w łańcuchu wydarzeń, od których życie nie jest i nie może być wolne. Jak może taki fakt zaważyć podczas badania jego sylwetki partyjnej? W ostatnim czasie opisywał już trzykrotnie wydarzenie, które w miarę upływu czasu wracało z coraz większą natarczywością. Czy nie to wydarzenie stało się punktem wyjściowym dla snucia podejrzeń, które się obudziły zniechęca? Rozpamiętując ten wypadek czuł zadowolenie z tego powodu, że nie pominął go milczeniem. Może o to wydarzenie właśnie chodzi?

W roku 1920, gdy był członkiem KC KPRP, zdarzyło się, iż pewnego dnia, po powrocie do domu z posiedzenia KC, gdzie kierował centralną techniką, stwierdził, iż ma przy sobie projekt odezwy przeznaczonej do druku. W domu istniała skrytka: był nią wieszak przytwierdzony do ściany. Po zdjęciu płaskiej, podłużnej deski, zaopatrzonej w haczyki, ukazywał się w ścianie otwór,

do którego można było, w razie potrzeby, wsunąć konspiracyjne materiały. Owego dnia, po przybyciu do domu, nie ukrył projektu odezwy. Gdy domownicy ułożyli się do snu, sięgnął po zapisany arkusz, by poczynić na nim jeszcze poprawki, które przedyskutowano właśnie na posiedzeniu KC. Nagle rozległ się dzwonek. Godzina była późna, to mogła być tylko policja. Istotnie. Zapukano głośno, gwałtownie. Nie było już żadnych wątpliwości. Ruszył ku drzwiom, nie starczyło już czasu na zdejmowanie wieszaka, włożył więc w przejściu odezwę do kieszeni marynarki, spoczywającej na krześle. Krzesło przysunął do stołu, tak że marynarka znalazła się pod nim. Stała się niewidoczna.

Przybyli okazali nakaz dokonania rewizji i niebawem przystąpili do przetrząsania mieszkania, które się składało z dwu pokoi i kuchni, rozmieszczonych w amfiladzie. Dwaj szpicle udali się do ostatniego pokoju, policjant zaś, towarzyszący przybyłym, pozostał w pierwszym, w tym właśnie, w którym stało krzesło z marynarką. Maria przyglądała się Szpakowatemu w milczeniu: wiedziała o przyniesionej odezwie. Szpakowaty uprzedził, że ma jeszcze sporo roboty.

Teraz na widok szpicli zbladła. Pokój, w którym dokonywano rewizji, pełen był książek, rękopisów, literatury fachowej z okresu studiów w Paryżu i Lipsku. Wśród książek przeważały druki w języku francuskim, niemieckim, angielskim, które nie mogły u nie znających obcego języka wzbudzić zainteresowania. W korytarzyku został dozorca, sprowadzony tutaj przez przybyłych jako świadek. Policjant, stojący w pierwszym pokoju, zdawał się przyglądać zupełnie obojętnie wszystkiemu, co się działo w mieszkaniu. Szpakowaty obserwował szpicli i od czasu do czasu zerkał na krzesło z fatalną marynarką, zasłoniętą blatem stołu. Co się stanie, gdy skończą rewizję w pokoju, w którym przebywali właśnie? Czy pójdą sobie nie znalazłszy nic, czy też przetrząsną pierwszy pokój? Jeśli tak, sprawa jest przesądzona. Znajdą w kieszeni marynarki odezwę z poprawkami poczynionymi jego ręką... Wówczas nie spróbuje nawet zaprzeczyć, że to on je dokonał. Zapytał policjanta głośno, tak aby szpicle usłyszeli:

— Czy mogę wejść do ubikacji?

Policjant czekał na przyzwolenie szpicli. Nie odwracając się, jeden z nich rzekł:

— Można.

Opuścił pokój i znalazłszy się w korytarzyku odemknął z hasłem drzwi do ubikacji, lecz nie wszedł do środka. Ludzie przebywający w mieszkaniu musieli usłyszeć, jak otwierał drzwi, wówczas wrócił pośpiesznie do pokoju, wysunął krzesło spod stołu, chwycił marynarkę, wydobyl z kieszeni odezwę i wręczwszy ją

Marii, rzekł: „Spal”. Potem wrócił do korytarzyka i w przejściu szepnął policjantowi: „przyjdź pan jutro, to się rozliczymy”. Wszedł do ubikacji i dopiero teraz zamknął za sobą drzwi z trzaskiem. Po chwili zjawił się ponownie. Spojrzał na policjanta. Ten stał w tym samym miejscu, obojętny, milczący. Maria wróciła z kuchni, wokół jej ust błakał się nikły uśmiešek. Obecnie cała uwaga Szpakowatego skupiła się na policjancie: zamelduje o tym, co się stało, czy nie powie nic? Policjant przyglądał się w milczeniu rewizji, przeprowadzanej w dalszym ciągu w sąsiednim pokoju. Maria dotknęła lekko dłoni Szpakowatego. Szpicle przeszli, do pierwszego pokoju, gdzie mieli łatwe zadanie: nie było tu książek, notatek, rękopisów. Wyszli po północy, nie znalazłszy niczego.

Szpakowaty czekał od rana na przybycie policjanta, ale tamten nie przyszedł. Nie przybył również następnego dnia. Szpakowaty pozostawał przez cały czas w domu: nie wychodził w obawie, aby nie prowadzić za sobą do zakonspirowanych mieszkań osobników, którzy go najpewniej inwigilowali, wiedział więc z całą pewnością, że policjant nie zjawił się. Dopiero po jakimś czasie, gdy spotkał towarzyszy, ci opowiedzieli mu ze szczegółami przebieg rewizji, jaką przeprowadzono w jego mieszkaniu.

— Skąd wiecie o tym wszystkim? — dziwił się. — Przecież z nikim nie mówiłem.

Okazało się, że towarzyszka Kazimiera, członek KW, zawiadomiła jednego z członków KC o wydarzeniu, o którym jej opowiedział ów policjant. Człowiek ten był przed wojną szewcem, znał i pamiętał Szpakowatego z masówek i wieców oraz z zebrania szewców, zwoływanych przez SDKPiL. Przybywszy wraz ze szpiclami do mieszkania rewolucyjnego działacza pozwolił mu usunąć obciążające go dowody. Nie zjawił się, rzecz jasna, po przyrzeczone wynagrodzenie, uważając, że spełnił jedynie swój obowiązek wobec rewolucjonisty.

Pisząc o tym wydarzeniu w 1949 roku, Szpakowaty nie przypuszczał, że ktokolwiek zechce historię tę skontrolować. Czy ów policjant jeszcze żyje? Może on właśnie powołał się na uczestnictwo w tamtym wydarzeniu i obecnie przypominał sobie czyn, mogący go w jakiś sposób oczyścić w oczach współczesnych? A może uczyniła to Kazimiera? Przez długi czas nie mógł sobie przypomnieć jej nazwiska. To musiała być Flisowa, na pewno Flisowa, której nie widział od bardzo wielu lat. Czy jeszcze żyje? Członkowie KC, którzy mu opowiedzieli swego czasu o tym wydarzeniu, już nie żyli...

Ogarnął go nagły, gwałtowny lęk. A jeśli?... Jest sam, zupełnie sam, jest jednym jedynym spośród tamtej grupy ludzi, o której

pamięć jeszcze nie zagięła, ale żaden z tych ludzi nie potrafi przemówić! Jakież ciężar olbrzymi spaść musi na jego barki! A jeśli tym ciężarem przywali pamięć dawnych towarzyszy? Może nie chodzi wcale o Flisową ani o tego policjanta, tylko o tamtych?

Ta myśl dręczyła go przez mnóstwo dni. Wracał do owego wspomnienia wiele razy, rozważał je na wszystkie możliwe sposoby. Wreszcie dał spokój. Niech się policjant martwi o świadectwa przeszłości. On mu je wystawi, jeśli zajdzie potrzeba... Jeżeli Flisowa żyje, jej świadectwo doda mocy prawdzie. Zobaczmy, co z tego wyniknie.

Porzuciwszy jedno domniemanie, wnet uczeplił się następnego. Wydobywał z pamięci wszystkie sprawy, które w jakiś sposób mogły uchodzić za niejasne, ciemne, zagmatwane. Gdy to czynił, zdawał sobie sprawę, że mierzy i odważa przeszłość swoją miarą, miarą swego rozumu i doświadczenia. Nie przypuszczał, aby ktoś postronny posiadał miarę inną, mniej zawodną, bardziej słuszną. Tkwił w tej swojej przeszłości przekonaniem i wiarą, rozlicznymi dowodami prawości i oddania sprawie.

Czy nie oceniam siebie zbyt wysoko, a więc nieprawdziwie? — rozważał. — przecież jestem sam. Mimo wszystko jestem zupełnie sam.

Za oknem była noc głęboka. O szyby dzwonił deszcz.

Innym razem, gdy już był w stanie zupełnego wyczerpania, zjawilo się odległe wspomnienie, którego również nie przemilczał w życiorysie. Wyłynęło ono nieoczekiwanie, znienacka, by wypełnić pustkę groźną i niebezpieczną. Ratował się przed nią: uchwyciwszy okrucieństwo jakiegoś wspomnienia, przyciągał go do siebie, by obudować pełnią treści, niezawodnej, wiernej. Wierna treść! Znalazł to określenie i strzegł je, chronił jak drogocenne odkrycie. To zamiast słowa „prawda” — przekonywał siebie. Tak będzie lepiej. Tak na pewno będzie lepiej... Mogę być daleki od prawdy — snuł swe rozważania — ale nie mogę być daleki od wiernej treści.

Pisał już o tym wydarzeniu, a teraz krążył wokół niego ponownie, doszukując się w nim, w jego przebiegu źródeł niejasności i nieufności. Ale o wszystkim, co wiedział, już był napisał. Nie miał nic do dodania... Teraz, gdy uciekał przed pustką, wydobywał strzępy, które nigdy nie zdołały się oblec w kształt faktu, wydarzenia godnego zanotowania. Jeszcze nie istniał ów fakt: ściagał zaledwie domysł, chciał go pochwycić, przeświecić, zana-

lizować. Lecz wszystko to nie zdało się na nic. Wysiłek był daremny.

Pamiętał doskonale, ile zachodu i trudów wymagało zorganizowanie posiedzenia Sekretariatu wyznaczonego na wrzesień 1935 roku. Przebył w pamięci wszystkie trasy, ulice, wiodące do zakonspirowanego mieszkania w eleganckim domu w śródmieściu. Pamiętał podpunkty, ludzi, którzy mieli przyprowadzić przybyłych. Wtajemniczonych było niewielu: adres posiadali łącznicy, których było jeszcze mniej. Po wejściu do mieszkania nie wychodzili stamtąd. On miał przybyć ostatni i gdy zadzwonił o umówionej godzinie, by sprawdzić, czy wszyscy już przyszedli, zamiast ustalonej odpowiedzi, mającej zawierać wiadomość o zorganizowaniu partii brydża, jakiś obcy głos oznajmił mu, aby natychmiast przybył. Pośpieszył do domu i polecił Marii, aby i ona zadzwoniła pod wskazany telefon: i ona również usłyszała zaproszenie, wzywające do natychmiastowego przybycia. Nie było już żadnych wątpliwości — mieszkanie zostało zasypiane, przebywali w nim obcy ludzie.

Następnego dnia cała prasa doniosła o zlikwidowaniu KC KPP; podano nazwiska aresztowanych, wśród nich widniało nazwisko Alfreda Lampego, wysłannika KC na zebranie Sekretariatu, działającego nielegalnie w kraju... Wszczęto śledztwo. Było ono zawile, związane z korespondencją prowadzoną z uwięzionymi w najtrudniejszych warunkach; napływały wyjaśnienia, wyświetlano okoliczności, ustalano godzinę, minutę rozpoczęcia zebrania, przybycia ostatniej osoby... Podejrzanie padło na działacza o nazwisku Mizera, który nie przyszedł o oznaczonej porze na miejsce spotkania, a następnie znikł. Po wielu miesiącach tajemniczego milczenia prasa podała wiadomość inspirowaną przez defę, że z którejś z glinianek na Czerniakowie wydobyto zwłoki działacza komunistycznego, Mizery, zamordowanego przez towarzyszy, ponieważ podejrzewali go o współpracę z policją...

Wiadomość była zmyślona. Najlepiej wiedział o tym Szpakowaty: ani powołany na nowo Sekretariat, ani KC nie podejmowały żadnych uchwał w sprawie Mizery. Nie starczyło dowodów winy, brakło wielu elementów, które się ciągle wymykały, ponieważ Mizera zniknął, przepadł. Czy więc Mizere zamordowała defa, ponieważ okazał się już niepotrzebny? A może?... Może to nie były zwłoki Mizery, a wiadomość zmyśloną podano po to, aby zmylić partię, gdyż Mizera był jeszcze potrzebny defie dla niewiadomych i niejasnych celów? Echo tej sprawy wyplotnęło w 1946 roku, w Sztokholmie, gdzie Szpakowaty przebywał z chorym synem. Tam spotkał Karota, który przypomniał mu o osobie Mizery... Czyżby Mizera był niewinny?

Teraz uczeplił się tej historii. Może zjawił się Mizera i zaczęło się od nowa badanie tej zagadkowej sprawy, ciągnącej się od tylu lat. Wtedy bowiem, w 1935 roku i w latach późniejszych, mnóstwo elementów było niedostępnych; czyżby teraz zostały ujawnione? Nagle pomyślał: a co ja mam z tym wszystkim wspólnego? Nigdy nie było podejrzeń przeciwko niemu, nigdy nie okazywano mu nieufności. Jesienią 1935 roku, już po wyspie, gdy był w Moskwie, sprawa ta właściwie nie istniała. Towarzysze wspominali o wyspie, ale nie mówili, przeciwko komu zwrócone są podejrzenia. Istniała afera, której sprawca pozostał w ukryciu.

Pewnej nocy, po nader krótkim dyktandzie, szef zapytał zniebaczka:

— Czy mieliście kiedyś do czynienia z prowokacją?

— Z prowokacją? — powtórzył zdumiony. — O co wam chodzi?

— Oczywiście, nie o to, czy... — urwał i wnet dodał: — Czy zetknęliście się kiedyś z prowokatorem?

— Pisałem już o tym.

— Przypomnijcie sobie szczegóły, jutro mi je podyktujecie.

— To było w 1913 roku.

— Właśnie o ten rok mi chodzi.

Tej nocy Szpakowaty nie spał. Wydawało mu się do tej pory, że wyjaśnienia tajemnicy należy szukać bliżej, tymczasem szef wraca do wydarzeń sprzed czterdziestu blisko lat.

Wczesnym latem 1913 roku zjawił się wysłannik działacza partii bolszewickiej, posła do Dumy, Malinowskiego, przeznaczony do pracy partyjnej wśród Rosjan w Warszawie. Był to agitator nazwiskiem Afanasiew. Z dokumentów, które przybyły okazał polskim towarzyszom z SDKPiL, wynikało, iż Afanasiew będzie pracował jako maszynista kolejowy na kolei warszawsko-wiedeńskiej.

Szpakowaty pamiętał doskonale zdumienie towarzyszy, gdy im oświadczył, do jakiej pracy ma Afanasiew skierowanie. Towarzysze: Medwied, pseudo „Filip”, Bortnowski — „Bronek”, Bronkowski, Modest Radzikowski — „Modest”, pracujący w technice partyjnej, nie mogli pojąć tej sprawy. Najgłośniej prawili o niej Rosjanin, Medwied:

— A po co oni skierowali Rosjanina na kolej warszawsko-wiedeńską? Przecież tam pracują przeważnie Polacy.

Poparli go Bortnowski, Bronkowski, Radzikowski — przyjaciele i koledzy ze szkoły kolejowej.

— Trzeba Afanasiewowi wyjaśnić, że jego przydział na pomocnika maszynisty kolejowego na kolei warszawsko-wiedeńskiej nie odpowiada nam.

— On musi pójść na kowelską, brzeską lub wileńską trasę — tam przeważają Rosjanie!

Afanasiew zgodził się z argumentacją towarzyszy z SDKPiL, zapowiedział, że się wystara o przeniesienie na jedną ze wspomnianych dróg żelaznych, tymczasem jednak utrzymywał bliskie stosunki z ludźmi wskazanymi mu przez Malinowskiego. Tego wybitnego działacza otaczano szacunkiem; częścią tego szacunku obdarzono również i jego wysłannika. Szpakowaty pamiętał, jaką opieką otoczono przybyłego. Poprosił nawet pewnego razu Marię, aby towarzyszyła Afanasiewowi przy czynieniu zakupów. Musiał się jakoś urządzić: był obcy w nieznanym mu mieście.

Marii Afanasiew nie podobał się. W czasie wędrówek po Warszawie okazał się człowiekiem gadatliwym. Pytał o ludzi, adresy, pseudonimy. Marię uderzyła ta ciekawość Afanasiewa. Milczała uporczywie lub odpowiadała wykrętnie. O swych spostrzeżeniach powiedziała Szpakowatemu.

— Po co są mu potrzebne tego rodzaju wiadomości? — za-pytywała. — Jaki konspirator tak postępuje?

Wkrótce Afanasiew okazał swym polskim towarzyszom legitymację maszynisty na kowelskie czy brzeskie depo. Tam rozpoczął pracę zawodową, na tymże terenie prowadził koła propagandowe, zorganizowane wśród kolejarzy rosyjskich. Z czasem rozszerzył swą działalność na tkaczy rosyjskich.

Afanasiew był dobrym agitatore. Koła prowadzone przez niego rozwijały się bujnie. Towarzysze przyjmowali jego sprawozdania z wiarą w ich prawdziwość. Opowiadał kiedyś Szpakowatemu, że założył organizację na węzłowych stacjach, do których dojeżdżał jako maszynista kolejowy. Afanasiew spotykał się często nie tylko ze Szpakowatym, lecz również z Medwiedem, Radzikowskim, Bronkowskim, z ludźmi, których poznał w Warszawie.

Szpakowaty nie pisał w swym życiorysie o tych szczegółach. Wydawały mu się nieistotne, mało ważne, ponieważ były to elementy życiorysu innego człowieka, dalekiego, o którym od wielu lat nie słyszał. Pisząc o sobie wspominał jedynie, że taki był, prze-wiwał się obok, działał w lutym 1913 roku w Warszawie. Dopiero teraz, gdy gonił za rozwiązaniem zagadki, zjawiały się niejako samoczynnie dzieje, wydarzenia, wypadki, mogące kryć jakiś za-lążek nieoczekiwanego odkrycia. Wypłynęły również szczegóły z życia Afanasiewa. Rozważał je, ale czy nie po to, aby sobie uprzy-tomnić, jakimi drogami zwykła była chadzać prowokacja? Ileż to razy mógł być nieświadomym narzędziem jakiegoś Afanasiewa, działającego z ukrycia w okresie tych czterdziestu lat rewolucyjnej pracy? Kto mógł dotrzeć do wszystkich utajonych, ciemnych źró-

deł nikczemności ludzkiej? Przypadek nie zawsze przychodził partii z pomocą. Taki przypadek wydarzył się właśnie z Afanasiewem.

W tym czasie jeden z SDKPiL-owców, nazwiskiem Zieliński, pseudonim „Barwinek”, został po przegranym strajku zwolniony z pracy, musiał więc opuścić Warszawę i oparł się aż o Lublin, gdzie otrzymał zajęcie w dużej fabryce. Ten stary, dobry towarzysz, utrzymujący w dalszym ciągu kontakt ze swymi przyjaciółmi w Warszawie, rozwijał agitację, nawiązywał łączność z kółkami rewolucyjnymi, czynnymi na terenie Lublina, wreszcie poprosił Szpakowatego o nadesłanie mu literatury. Najdogodniej było ją przesłać przez osobę pewną: był nią Afanasiew, Rosjanin i do tego maszynista kolejowy. On też zawiózł paczkę, a najbliższej niedzieli, zupełnie nieoczekiwanie, Zieliński zjawił się w Warszawie. Szpakowaty widział jak żywą twarz przyjaciela: malował się na niej lęk. Zieliński mówił szybko, nieskładnie, był rozgorączkowany. Potem zjawił się gniew.

— Nie będę więcej przyjmował literatury od tego maszynisty.

— Dlaczego? — spytał Szpakowaty zdumiony.

Zieliński odparł:

— Jeśli będziecie nadal przysyłać literaturę przez Afanasiewa, to ja rezygnuję z bibuły.

— Jeszcze nie powiedzieliście dlaczego.

— Nie mam zaufania do tego faceta.

— Co się stało?

— Ten człowiek chce za dużo wiedzieć.

Szpakowaty przypomniał sobie słowa Marii, która wcześniej już była zwróciła uwagę na zachowanie Afanasiewa.

— Zastosujemy się do waszego życzenia. Poślemy wam literaturę przez kogoś innego.

Zbliżał się dzień 22 stycznia. Dla upamiętnienia początków rewolucji 1905 roku SDKPiL wydawała co roku odezwę, przypominającą historyczną, styczniową datę. Podobnie miało być w 1914 roku. Afanasiew, dowiedziawszy się o tym zamiarze, starał się początkowo dowiedzieć, gdzie odezwa będzie drukowana. Gdy Szpakowaty odpowiedział mu wykrętnie, Afanasiew zażądał, by mu podano adres głównego składu, w którym technika przechowyje gotowe druki.

— Odezwa jest terminowa — przekonywał Afanasiew, przechadzając się po pokoju Medwieda, z którym się stykał najczęściej — ja zaś dowiaduję się w ostatniej chwili, na jaką mam wyruszyć trasę, i wtedy nie potrafię już porozumieć się z techniką partyjną. — Mówiąc to spojrzał na Szpakowatego, który przysłuchiwał się jego wywodom ze spuszczonego oczyma. Afanasiew ciągnął dalej:

— Gdybym miał adres składu, mógłbym zawsze przed wyjazdem wpaść tam i zabrać odezwy.

— Nie mamy prawa dawać nikomu adresu — powiedział Medwied spokojnie.

— Dziwnie stawiacie sprawę, towarzysze — odparł Afanasiew. — Wygląda na to, że się czegoś boicie.

— Nie boimy się — wtrącił Szpakowaty. — Takie są zasady konspiracji i nie odstępimy od nich.

— Rozumiem, dyscyplina. — Oczy Afanasiewa zwięziły się. — Wszystko rozumiem, ale do sprawy trzeba podejść życiowo. Ja nie zamierzam spacerować sobie z paczką odezów i czekać, aż mnie wyprowadzą w drogę. Trzeba zrozumieć, że dla dobra sprawy jest lepiej, abym literaturę zabierał ze składu bezpośrednio przed odejściem pociągu.

— To oczywiście, ale my wam adresu dać nie możemy.

Pewnego dnia wezwano Szpakowatego do telefonu. Opuścił niechętnie mroczny pokój, gdzie przygotowywał korespondencję dla szefów firmy, w której pracował, przemierzył korytarz i podszedł do aparatu. Ku swemu ogromnemu zdziwieniu usłyszał w aparacie głos Afanasiewa. Pamiętał, że mu nigdy nie mówił, gdzie pracuje, nie podawał numeru telefonu firmy. Afanasiew był wzburzony i ponowił pretensję o to, że technika nie chce mu dać adresu głównego składu. — Z tego powodu — przekonywał — może wyniknąć opóźnienie w dostawie odezów, które muszą wszak być na miejscu przed rocznicową datą, to znaczy przed dwudziestym drugim stycznia, a dziś już jest siedemnasty!

— Nie macie takich środków, aby przesunąć datę w kalendarzu — wołał Afanasiew. — Do 22 już niedaleko!

— Pan się źle połączył — odparł spokojnie Szpakowaty i odłożył słuchawkę. Wzburzony wrócił do swojej pracy, lecz niebawem znów go wezwano do telefonu. Afanasiew ponowił żądanie podania mu adresu składu.

— Niech się pan odczepi, mam gdzieś pański skład.

Tak więc do dawniejszych podejrzeń Marii i Zielińskiego przybyły nowe. Szpakowaty nie mógł w żaden sposób pojąć, skąd Afanasiew wydobył telefon firmy, jak ustalił nazwisko, gdyż do tej pory znał tylko jego pseudonim. Nie posłużył się przecież pseudonimem, gdy prosił do telefonu pracownika firmy... Musiał podać prawdziwe nazwisko Szpakowatego.

Zaniepokojony, porozumiał się jeszcze tego samego dnia z innymi towarzyszami, członkami Komitetu Warszawskiego, Leńskim i Doleckim. Gdy zebrani dowiedzieli się o pretensjach Afanasiewa, domagającego się ujawnienia adresu głównego składu, twarze ich stały się mroczne. Powiało grozą. Nikt nie przypuszczał do tej pory,

że Afanasiew jest prowokatorem, teraz wszyscy poczuli nagle, że ten człowiek nie zasługuje na zaufanie.

Zaufanie! Afanasiew był człowiekiem zaufanym. Przysłał go Malinowski, który pełnił już wówczas funkcję przewodniczącego frakcji bolszewickiej w Dumie, miał więc najlepsze rekomendacje, najwyższą aprobatę partyjną. Któż by się ośmielił podać w wątpliwość czystość intencji Afanasiewa, szczerłość jego pragnień. Szpakowaty ciągle jeszcze pamiętał głos Afanasiewa, jaki rozległ się w słuchawce telefonu. Szpakowaty był wzburzony, wyrzucał sobie i towarzyszom brak ostrożności i zaniedbanie podstawowych zasad konspiracji. Nie zostało jednak wiele czasu na rozpamiętywanie. Tej samej nocy nastąpiła w Warszawie olbrzymia wyspa, jakiej do tej pory nie było. Aresztowano wówczas członków Komitetu Warszawskiego: Leńskiego, Winawera i Szpakowatego. Sypnęła się cała technika: Bronkowski, Medwied, Radzikowski. Do więzienia powędrowali Polacy, Rosjanie, Żydzi, robotnicy z przemysłu włókienniczego, metalowego, kolejarze i szewcy. Wśród aresztowanych znalazł się również Afanasiew, który niebawem znikł.

Szpakowaty nawet nie usiłował odtworzyć dalszych losów tego prowokatora. Miał widocznie bardzo możnych protektorów, którzy dysponowali wszystkimi dostępnymi środkami, ułatwiającymi wyjazd, ukrycie się. Rozważając tę sprawę sprzed czterdziestu lat, pomyślał, iż obecnie może również działa prowokacja, podstęp, olbrzymie jakieś oszustwo, które on miał pokryć autorytetem swego nazwiska, wagą stanowiska, mocą swego doświadczenia? I nagle pojął, że dla poparcia tego oszustwa potrzebni są ludzie czysti, zasługujący absolutnie na wiarę. Tylko tacy mogli swym autorytetem wesprzeć sprawę, która jako nieczysta mogłaby przy jego poparciu nabrać cech jeśli nie prawdy, to przynajmniej prawdopodobieństwa. Bo cóż z tego, że szalbierz lub szarlatan poprą zamiary niecznych ludzi? Zamiar urzeczywistniony przy pomocy oszusta nie mógł zyskać przekonującej mocy.

A jeśli potrzebni są oszuści, czy ja nie jestem nim? Nie stałem się nim? Kto mi dał prawo do innej oceny własnego życia oraz tego, co robiłem? Czy wolno mi być tak wysokiego mniemania o sobie? Oni nie postawili żadnego zarzutu, żadnego — powtarzał sobie nieustannie.

Zerwał się którejś nocy i rzuciwszy się ku drzwiom zaczął w nie walić pięścią. Odpowiedziało mu głucho, złowrogie milczenie. Noc była posępna, chmurna, zacinął deszcz i wył wicher. Nasłuchiwał, znów uderzył pięścią w drzwi. Odpowiedziało mu echo.

— Zakończcie śledztwo!

Cicho. Wstrząsnął nim dreszcz. W korytarzyku było przeraźliwie głucho. Znał tylko fragment domu, ten od drzwi do ubikacji, ale wiedział, że tuż za schodami biegnie przez całą długość gmachu korytarz okalający dom. Oni nie usłyszą — pomyślał. — Oni nie słyszą. Odkrył w sercu wrogość. Jeszcze raz uderzył pięścią w drzwi. Krzyknął:

— Jestem niewinny! Otwórzcie!

A jeśli jestem winny? To niemożliwe, aby w Polsce Ludowej więziono niewinnych ludzi. To niemożliwe. Jeśli towarzysze wydali polecenie zatrzymania mnie tutaj i zbadania, to pewnie mają ku temu powody. Muszą mieć dowody. Ale jakie? Jakie? Na próżno szukał owego miejsca, owej daty, która by oznaczała początek tamtej sprawy. Jakiej? I nie znajdując odpowiedzi określał ją nadal mianem: ta mta sprawa. Istniała w nim, wokół niego. Drepczyła.

Szukał odpowiedzi. Nie mógł zrezygnować z wyjaśnienia zagadkowej historii, której rozwiązanie musiał znaleźć w swym minionym życiu. Ale ono zrosło się nierozzerwalnie z działalnością i życiem wielu innych ludzi, od kogo więc zacząć, od którego punktu wyjść, jak odnaleźć początek sprawy, skoro stała się załącznikiem katastrofy, przyczyną klęski? Sięgał pamięcią wstecz, penetrował ten swój obszar życiowy jak czujny myśliwy, ostrożny, gotowy w każdej chwili przyciąć się i w bezruchu obserwować, obserwować... Szukał w pamięci nazwisk ludzi żyjących — nie znalazł ich.

Wracał w przeszłość odległą i znów ujrzał tamtych: jeszcze żyli wtedy, działali. Rozszerzał ten krąg ludzi na obszar całej Warszawy, której teraz już nie było. Zniknęły ulice, domy, pod gruzami legli ludzie, którzy niejedno potrafiliby wyjaśnić. Z niektórymi spośród nich związane były dzieje minionych pięćdziesięciu lat: byli wśród nich tacy, którzy znali Waryńskiego, Bardowskiego, Ossowskiego. Kunickiego, Pietrusińskiego, Rechniewskiego, Dzierżyńskiego. Gdzie ich teraz szukać? Wtedy, w minionych latach, jednych szukali prowokatorzy, drudzy szli w ręce policji, pewni swej przewagi, ufni w swą mądrość i przebiegłość. Byli niecierpliwi. A cierpliwość bywała często nie lada bronią w walce...

Szef notował skrzętnie, po czym znów następowała przerwa w przesłuchaniach, przerwa trwająca tydzień lub dwa. Takie dni Szpakowaty spędzał na łóżku, otępiący, zniechęcony do życia. Upominał się ponownie o gazety i książki, odmówiono. Odmowę uzasadniono mało przekonywającą argumentacją. Najczęściej szef mówił o trudnościach technicznych.

Szpakowaty był pewien, że w Budapeszcie dawno się już skończył zapowiedziany proces. Ciekaw był jego przebiegu, wyroków,

uzasadnienia. Do żywego nurtowała go wiadomość o działalności szpiegowskiej i dywersyjnej, podsycanej z zewnątrz. Polska nie była w innej sytuacji: w kraju tym również zwyciężył proletariatus. Czy ten fakt nie był wystarczającym powodem, by wrogowie socjalizmu pchnęli i do nas swych agentów i szpiegów?

Pewnego dnia dostrzegł w kieszeni szefa złożoną gazetę. Szpakowaty poprosił o dziennik. Tamten, skonsternowany, wyciągnął go z kieszeni, rozłożył i rzuciwszy okiem schował z powrotem. Tym razem do teczki. Szpakowaty zdołał tylko przeczytać nagłówek artykułu: *Dwunasty dzień procesu Rajka i towarzyszy*.

Zdawało mu się, iż teraz już rozumie przyczynę, która sprawiła, że odebrano mu gazety. Ostatnią otrzymał jedenaście dni temu, właśnie wówczas, gdy przeczytał wiadomość o rozpoczęciu procesu w Budapeszcie. Czy nie dlatego odebrano mi dzienniki? — pomyślał. — Ale co moja sprawa ma wspólnego z procesem przeciwko Rajkowi?

W takie dni jedynie listy z domu wyrwały go ze stanu otępienia i martwoty. Były one jak zwykle krótkie, zdawkowe. Jego odpowiedzi były równie zwięzłe. Pisał jedynie o stanie zdrowia. Było zresztą obojętne, o czym donosił: wiedział, że Marii chodzi jedynie o uzyskanie znaku życia. Dawał więc znać o sobie chłodnymi, obojętnymi słowami. Był początek października. Tego wieczoru dyktando dobiegło wreszcie końca. Szef nie mógł więcej zwlekać. Szpakowaty nie widział powodów, dla których miałby tu zostawać dłużej. Powiedział:

— Teraz już wiecie o mnie wszystko.

— O to właśnie chodziło partii — odparł szef.

Kilka dni później, w nocy, szef wyrwał go ze snu i rozkazał, by się szybko ubrać. Szpakowaty wykonał rozkaz.

— Jestem gotów.

Szef rozejrzał się po pokoju i wskazując na krawat zwisający z oparcia krzesła powiedział:

— Ubierzcie się przyzwolicie.

Szpakowaty zawiązał szybko węzeł. Kątem oczu dostrzegł ręcznik, mydło, szczotkę, walizczkę. Zabrać te rzeczy czy ich nie zabierać? — zastanawiał się. Nie chciał przedłużać chwili opuszczenia pokoju, więc ruszył za szefem. Przeszli w milczeniu korytarz, szef otworzył jakieś drzwi i Szpakowaty ujrzał nieznanego człowieka. Szef wyszedł bez słowa. Przez chwilę trwało w pokoju milczenie. Szpakowaty nie spuszczał oka z twarzy nieznanego. Był to rostry, opasły mężczyzna o pełnej, tłustej twarzy. Szpakowaty ciągle czekał. To rzeźnik — pomyślał. — Co on tu robi? Dlaczego mam rozmawiać z tym człowiekiem?

— Proszę was — odezwał się tamten po dłuższej chwili — rozpoczynamy na nowo śledztwo.

Szpakowatemu zapało dech.

— Będziecie traktowani jak każdy inny podejrzany.

— Traktujcie jak chcecie, tylko zakończcie śledztwo.

— Zakończymy. A co wyście myśleli? Że będziemy się z wami cackali w nieskończoność? Mamy do was szereg pytań.

— Pytajcie.

— Siadajcie.

Szpakowaty usiadł. Tamten wertował papiery. W pewnej chwili uniósł głowę i spojrzał na Szpakowatego.

— Dlaczego tak siedzicie?

Szpakowatego uderzył ton, jakim obcy odezwał się teraz.

— Niby jak?

— No, z nogą założoną na nogę.

Szpakowatego oblał zimny pot.

— I nie zwierajcie rąk.

Nieznajomy wstał, podszedł do Szpakowatego i chwyciwszy jego dłoń ułożył mu je na kolanach.

— Tak macie siedzieć.

Szpakowaty, wstrząśnięty, milczał. Tamten wrócił do biurka.

— Na dziś dość — powiedział po chwili.

Szpakowaty szedł przez pusty korytarz. Głucho dudnił krok człowieka idącego za nim. Sapał, słyszał jego oddech. Szpakowaty się skulił: ciągle miał wrażenie, że tamten chce go zdzielić przez kark. W pokoju, który opuścił niedawno, nie było już ani ręcznika, ani mydła. Brakło również walizeczki i płaszcza. Nagle pokój, w którym przebywał od kilku tygodni, wydał mu się pusty, odarty z wszystkiego, co chroniło przed deszczem, zimnem. Gdy następnego dnia spytał szefa, dlaczego odebrano mu rzeczy, które należały do niego, szef odparł:

— Przybył ten z ministerstwa, dlatego musiałem wasz pokój urządzić bardziej formalnie.

Szpakowaty uwierzył. A rano, po powrocie do pokoju z ustępu, zauważył, że mu zabrano krawat pozostawiony na oparciu krzesła.

Galilei: Blutiger Ernst.

Ein Ernst, der nicht blutig ist,
ist keiner.

B. Brecht

Śledztwo zaczęło się od nowa. „Konferencje” — tak nieznajomy nazywał wielogodzinne badania — trwały przez cały miesiąc.

Rozmowy zaczynały się o ósmej rano i kończyły, po niewielkiej przerwie, o szóstej wieczorem. Za oknem była już wówczas noc, pogłębiona ciszą, samotnością, opuszczeniem. Słysząc listopadowe pluhy, deszcze, szalały bezlistne poszumy wichru. Już w toku pierwszej rozmowy Szpakowaty zorientował się, że nowoprzybyły zna doskonale jego życiorys, wszystkie szczegóły z dawniejszej i bliższej przeszłości, jednocześnie pojął, że pytania, sposób ich formułowania, przejawiają wyraźną tendencję. Pytający usiłował tu i ówdzie podać w wątpliwość prawdziwość niewiele znaczącego szczegółu, by następnie wytknąć mu sprzeczność, której z kolei przypisywał niepomiarne olbrzymią wagę. Niebawem Szpakowaty posiadał całkowitą pewność, że tamtemu nie chodzi o ustalenie prawdy: zmierzał do wytworzenia sytuacji, w której Szpakowaty musiałby przyznać, że wszystko, co zrobił w życiu, było z góry przeznaczone dla zmylenia partii, towarzyszy, przyjaciół.

Opasły człowiek nie formułował zarzutów, chciał, aby Szpakowaty uwierzył i uznał tendencję pytającego za jedynie prawidłową i słuszną. Raz tyczyło to pytań na temat funduszy partyjnych, innym razem założeń programowych SDKPiL, jeszcze innym razem tendencja ta ujawniała się, gdy pytający przypominał fakty prowokacji.

Z życiorysu Szpakowatego wynikało, że SDKPiL stykała się w strefach swych wpływów z kołami inteligentnymi, działającymi wśród lekarzy, adwokatów, nauczycieli, inżynierów. Ludzie ci, nierzadko dobrze sytuowani, wspierali działalność partii stałymi dotacjami na rzecz wydawnictw książkowych lub periodyków. Teraz, gdy ów nieznajomy pytał o te szczegóły, Szpakowaty potwierdził je. W odpowiedzi usłyszał:

— W takim razie SDKPiL była partią burżuazji!

Szpakowaty nic nie odparł. Ogarnęło go zniechęcenie. Nie podnosił głowy: wiedział, że po drugiej stronie biurka siedzi ktoś opasły z twarzą rzeźnika.

— Dlaczego nie odpowiadacie?

— Nie zamierzam odpowiadać na tego rodzaju insynuacje.

Tamten spytał surowo:

— Jak to się stało, że uniknęliście aresztowania we wrześniu 1935 roku, kiedy sygnął się sekretariat KC?

— Wyjaśniłem to.

— Powtórzcie.

— Jako organizator zebrania miałem przyjść na lokal ostatni. Kiedy zadzwoniłem, żeby się upewnić, że wszyscy już są, usłyszałem w słuchawce obcy głos i dlatego tam nie poszedłem.

— A więc przypadek? — Tamten wykrzywił twarz w uśmiechu.

- Tak.
- Mielicie więcej takich przypadków w życiu. — Urwał i po chwili dodał: — Całą serię takich przypadków.
- Serię?
- A co było ósmego sierpnia 1914 roku?
- Kiedy?
- Powiadam: ósmego sierpnia 1914 roku.
- To było trzydzieści pięć lat temu.
- Ale było. Sami pisaliście o tym.
- Cóż z tego?
- To też taki przypadek? Opowiedzcie go szczegółowo.
- Czy będziecie pisali?
- Tak.

Szakowaty pochylił się do przodu, lecz tamten nakazał mu wzrokiem, by się oparł o krzesło. Szakowaty mówił powoli, wyraźnie:

— Na niedzielę 8 sierpnia 1914 roku wyznaczono posiedzenie egzekutywy Komitetu Warszawskiego. Do egzekutywy należeli towarzysze: Wacław, Roman i ja. W lokalu biura KW, przy ulicy Żłotej 59 a, który był prywatnym mieszkaniem towarzysza Wacława, wszystko było już przygotowane do posiedzenia. Mieszkanie towarzysza Wacława znajdowało się na parterze, w drugiej bramie, po lewej stronie. Okno jednego z pokoi wychodziło na pierwsze podwórze; okno to było na wprost bramy. Na posiedzeniu mieliśmy przejrzeć ostatecznie materiał do kolejnego numeru „*Gazety Robotniczej*”.

Tu pragnę zauważyć, że Roman bywał niemal codziennie w mieszkaniu, w którym mieścił się KW, ja zaś bywałem tam rzadziej. Roman miał nawet zapasowy klucz od mieszkania i dozorca niezawodnie dobrze go znał.

Krytycznego dnia towarzysz Wacław miał być z rana na zebraniu dzielnicy mokotowskiej, ja zaś, o ile pamiętam na dzielnicy powązkowskiej. Do lokalu biura KW przybyłem z pewnym opóźnieniem i tam zastałem już towarzysza Romana. Wacława jeszcze nie było i to nas zdziwiło, bo Wacław odznaczał się wielką punktualnością. Ażeby nie tracić czasu, zdecydowaliśmy nie czekać na Wacława i rozpocząć przeglądanie materiału, który miał iść do druku.

Dochodziła godzina druga, a Wacława wciąż nie było. Nie pomyśleliśmy, że jego nieobecność mogła być spowodowana wspaną. Trochę po drugiej rzuciłem okiem na podwórze i onie miałem. W pierwszej bramie, przed dyżurką-mieszkaniem dozorca, zauważyłem Wacława stojącego w towarzystwie mundurowych i cywiliów. Zauważył to również Roman. Wnet wymknęliśmy się z mie-

szkania i po zamknięciu drzwi znaleźliśmy się na klatce schodowej. Gdy byliśmy na zakręcie górnego piętra, usłyszeliśmy, jak otwierano z klucza drzwi. Policja wraz z Wacławem wchodziła do mieszkania opuszczonego przez nas przed chwilą. Dowiedziałem się później, że Wacław celowo zwlekał pod jakimś pretekstem przed dyżurką dozorczy w nadziei, że może zauważymy, co się święci, i uda nam się uciec. Wiedział przecież, że znajdujemy się w jego mieszkaniu. Po wyjściu policji wraz z Wacławem z mieszkania opuściliśmy potajemnie dom.

Ocaleliśmy wprawdzie, ale Roman nie miał stuprocentowej pewności, czy dobrze zamknął skrytkę, z której wyjmował materiały do „*Gazety Robotniczej*”, a jeśli nawet tak, czy agenci ochrony nie wyszperali tej skrytki. Dzwoniliśmy do mieszkania Wacława, ale tam odzywał się stale jakiś męski głos. Świadczyło to o obecności szpicli, wobec czego Roman nie odwiedzał mieszkania, by sprawdzić stan skrytki. Z Romanem pozostawałem w codziennym kontakcie i ten zapewniał mnie stale, że więcej do lokalu Wacława nie pójdzie. Wiedziałem jednak, że ciągle korciła go myśl, czy aby dobrze zamknął schowek, w którym znajdowały się materiały partyjne. To znów obawiał się, czy ochrona nie dokona powtórnej rewizji, co się wówczas często zdarzało. Wiedziałem, że chciał koniecznie wyjaśnić sprawę schowka, co zresztą było zrozumiałe, gdyż zostawił tam rękopisy skreślone własną ręką. Dlatego też obawiałem się, że Roman nie dotrzyma jednak danej mi obietnicy. Wkrótce okazało się, że moje obawy były słuszne. Pewnego dnia, z rana, było to w środę lub czwartek, zatelefonowałem do Romana, do szkoły rzemieślniczej na Stawkach, gdzie był wicedyrektorem. Umówiliśmy się na dziesiątą wieczór w Stowarzyszeniu Handlowców — niestety Roman nie przyszedł. Natomiast poinformowano mnie, że przybiegła do handlowców żona jednego z towarzyszy z wiadomością, że Roman został aresztowany i w jego mieszkaniu odbyła się rewizja. Później dowiedziałem się, że wobec tego, iż od wtorku nikt w lokalu Wacława nie odzywał się na dzwonek telefonu, Roman — przekonany, że ochrona zdjęła już swoją obsadę i „kocioł” został zlikwidowany — wbrew udzielonej mi kilkakrotnie obietnicy, udał się do mieszkania Wacława. Gdy przechodził obok dyżurki dozorczy, wyskoczyli stamtąd agenci ochrony i zatrzymali go. Do mieszkania Wacława nawet nie zajrzeli.

Szpakowaty umilkł i zatrzymał wzrok na twarzy człowieka za biurkiem.

— A więc przypadek? — Opasły człowiek spojrzał na Szpakowatego. — I to zawsze z telefonem?

— Jak to z telefonem?

— W roku 1935, gdy aresztowano towarzysza Lampego, też

ustaliliście przez telefon, że w tamtym lokalu przebywają jacyś obcy ludzie.

— A jak mogłem inaczej ustalić? Miałem udać się tam, nie upewniwszy się uprzednio, co się w mieszkaniu dzieje?

— Wy lepiej wiecie, jak można to było ustalić.

— Co to znaczy?

— Trzeba było o to zapytać swych mocodawców!

— O czym mówicie? — Szpakowaty zadrżał.

— Job twoju mać! Ja ci pokażę, o czym mówię! — Nagle wstał. Krzychał: — W 1935 roku pojechałeś do Moskwy! Pojechałeś i wróciłeś!

— Na tym polega moja wina, że wróciłem? — zapytał spokojnie Szpakowaty. Nie spuszczał oczu z twarzy opasłego człowieka.

— Dwójkarze wam pomogli.

Szpakowaty czuł, jak mu się włosy jeżą na głowie. Nagły mróz ogarnął serce. Zabrakło mu tchu.

— Wyjechałem do Moskwy z polecenia KC KPP.

— Ale w Moskwie stykaliście się z Leńskim.

— Tak!

— No, nareszcie!

— Co nareszcie? Leńskiego znałem od 1907 roku. Pracowaliśmy razem.

— Nie pierdol, bracie! Wiecie, dlaczego rozwiązano partię w 1938 roku? Wiecie, jakie mieliście kierownictwo?

Dlaczego on tak krzyczy? — pomyślał Szpakowaty — dlaczego? — Nie spuszczał oczu z człowieka stojącego przy biurku. Twarz jego była czerwona, wzrok pełen wściekłości.

— I Leński, oczywiście, pomógł wam wrócić.

Szpakowaty nie odpowiadał. Każde słowo tamtego spadało na niego jak cios. Nie — pomyślał — nie będę się bronił.

— Jakie wam dał polecenia?

Szpakowaty uniósł powoli głowę.

— Wtedy utonął mój syn. Towarzysze pomogli mi wrócić.

— To co, że syn utonął? To wy w warunkach nielegalnej roboty jeździcie sobie tam i z powrotem? Kogo bujacie?

Szpakowaty siedział z przymkniętymi oczami. W nagłym przypływie żalości, wywołanej przypomnieniem tragicznie zmarłego syna, toczył w duchu rozmowę z dalekimi. Nie chciał myśleć o nich jak o zmarłych i chłonał ciszę, która zapanowała teraz w pokoju. Pod powieką piekła łaża. To dla was — pomyślał — dla was. Wy mi wybaczycie. Ujrzał Leńskiego, Warszawskiego, Kostrzewę... Wtedy, gdy wracał na wieść o śmierci syna, tamci ściskali mu ręce, dodawali otuchy, pocieszali. Jurek... Gdy przybył, było już po pogrze-

bie. Maria zawiozła zrozpaczonego na cmentarz i pokazała świeżo usypany kopczyk. „To tu” — powiedziała.

— Nie przyznajecie się do tego? — wyrwał go z rozmyślań surowy głos.

— Ja tkwiłem w partii dziesiątki lat i nic o tym nie wiem.

— Co wiedzą widły o gnoju, w którym tkwią dniem i nocą?

— Ja nie będę z wami więcej rozmawiał.

— Zmuszę was.

— Wam się zdaje, że mnie można zmusić.

— Zmuszę. — Uderzył pięścią w biurko. — Jeśli nie uznajecie dyscypliny partyjnej, to ja wami gardzę.

— Wy nie jesteście partią.

— Mnie tu partia postawiła!

— Ja kłamać nie będę.

— Nie chcecie pomóc partii!

— Kłamstwem nie pomaga się partii.

— Nie uznajecie politycznych celów partii!

— Już kiedyś je uznałem. I to bardzo dawno.

— I żałujecie, co? — Tamten zadrwił. — Żałujecie, ponieważ, co? Ale wiadra z gównem nie wywączacie. Trzeba je wylać, wylać do cna.

— Nie będę z wami rozmawiał.

— Mnie tu partia...

Szpakowaty milczał. Oczekiwał ciosu. Ręce jego spoczywały na kolanach, gotowe w każdej chwili zasłonić oczy. Nie zdążył — pomyślał — nie zdążył. Ogarnęła go rozpacz.

— Wy się nie chcecie zesrać — powiedział tamten — ale ja was zmuszę. Nam potrzebny ten smród. Wszyscy muszą poczuć ten smród. Cała Europa.

— Zabijajcie — szepnął.

— Nie, nie doczekacie się tego. Nam są potrzebne dowody, świadectwa.

— Ja ich nie dam.

— Zmusimy.

— Ja ich nie dam.

— Dacie. Jak w Budapeszcie.

Szpakowaty spojrział bystro.

— Co w Budapeszcie?

— Jeszcze się dowiecie — odparł chętnie.

— Nie mam gazet.

— Wiem, że nie macie. Nasi ludzie dobrze pracują. Więc? Szpakowaty nie spuszczał wzroku z jego twarzy.

— Dacie dowody?

— Nie.

— Zmusimy, powiadam, że zmusimy. Nam niepotrzebne są dowody szubrawców. Nam są potrzebne oświadczenia czystych, szlachetnych.

— Nie jestem ani czysty, ani szlachetny.

— Możecie się nim stać.

— Aby utonąć w podłości...

— Tylko tyle możecie zrobić dla partii.

— Mogę zrobić znacznie więcej.

— Zdaje wam się.

— Nie będę kłamał, więc zrobię więcej.

Tamten nie odparł nic. Złożył w milczeniu papiery i spojrzął na zegarek. Dochodziła godzina jedenasta.

Był początek grudnia, dzień wstał mroczny i niskie niebo, zasnute chmurami, zapowiadało śnieg. Wtedy zjawił się jakiś obcy człowiek z niewielką czarną walizką w ręce. Szef tkwił w uchylonych drzwiach.

— Jestem lekarzem. Zbadam.

— Proszę.

Szpakowaty oczekiwał dalszych poleceń. Przybyły wyjął z czarnej walizeczki aparat do mierzenia ciśnienia.

— Zdjąć marynarkę i koszulę.

Szpakowaty wykonał polecenie w milczeniu.

— Temperatura? — zapytał lekarz i nie czekając odpowiedzi zapytał:

— Tętno? — Szpakowaty uniósł ramiona, wykonał kilka przysiadów. Przybyły nie spojrzął nawet na zdyszanego człowieka.

— Uzębienie? — zapytał znowu i nie czekając odpowiedzi dodał: — Pęcherz moczowy? Na co chorował? Zapaść była?

Teraz obrócił Szpakowatego do ściany. Oparwszy dłoń o gołe ramię odsunął go od siebie. — Jak ze snem?

— Jest w doskonałej formie — powiedział lekarz, zwróciwszy się do szefa, stojącego nadal w uchylonych drzwiach.

— Ubrać się!

Tego samego dnia, już zapadał zmierzch, szef zjawił się ponownie. Był sam. Rozejrzawszy się wokoło powiedział:

— Rozstaniemy się. Ubierajcie się. Samochód czeka.

Jechali długo rozkopaną, wyboistą drogą. Wokoło widział płaskie pola, przygniecione ciężarem szarego nieba, które zdawało się opierać o nagie, nieruchome i czarne topole. Nikogo w pobliżu. Z rzadka mijały ich ciężarowe samochody, trzęsące się budy na

wysokich podwoziach. Długo wyprzedzał ich wóz, na poły otwarty. Stały w nim zbitą gromadą wylęknione krowy z suchymi płatami błota na zadach. Czarna krowa o olbrzymich, wylupiastych ślepiach oparła łeb o klapę wozu, która zdawała się uginać pod ciężarem napierających cielsk. Wreszcie udało się kierowcy wyminąć ów wóz.

Zjawiły się rogatki, wpadli do miasta. Przez chwilę koła samochodu ślizgały się na szynach tramwaju. Kierowca zaklął. Miasto było szare, unurzane w błocie, ledwo oświetlone. W tym mroku spieszyli ludzie, bezgłośnie twory tonące w lepkiej mgle, która zjawiła się nagle. Czyżbym był blisko Wisły? — pomyślał. Szpakowaty siedział w głębi wozu, wciśnięty w kąt. Przyjmował obraz ulicy bez refleksji, bez rozpamiętywania. W pewnej chwili samochód zatrzymał się: stali na skrzyżowaniu Alei i Marszałkowskiej.

— Cholerny korek — powiedział szef i przesunął się bliżej drzwiczek. — Tu zawsze tak.

Znów ruszyli. Minęli most. W dole czarne refleksy rzeki. Na obu brzegach jarzyły się latarnie — kule z waty o matowym blasku. Na osamotnionym, ciemnym Wale Miedzeszyńskim Szpakowaty bąknął:

— Ja już tam byłem.

— Gdzie? — Szef spojrzał na niego uważnie. Szpakowaty czuł w ciemności jego wzrok zaciekawiony nagłym wyznaniem.

— Tam, dokąd mnie wieziecie.

— Możliwe.

— Tam jest willa z widokiem na lasy i wydmy.

Szef mruknął coś pod nosem. Kierowca dodał gazu.

Budynek tkwiący w czarnym pustkowiu był niepodobny do tego, jaki znał. Był to jednopiętrowy, podłużny gmach, otoczony wysokim murem; willę, w której przebywał niedawno, okalał jedynie kolczasty drut... Na próżno wypatrywał w mroku lasu, wydmy piaszczystej. Przybyłego przyjęli milczący wartownicy, posępni, w mundurach wojskowych; byli surowi, nieprzeniknieni. W kancelarii, zimnej, urzędowo surowej, budzącej niepokój, spisanego personalia, po czym poprowadzono go wąskimi schodami na dół, ku piwnicy. Powiało chłodem, wilgocią. Do ukośnego sklepienia, zstępującego coraz niżej, przylepiona była niewielka żarówka, która ledwo rozświetlała mrok. Szpakowatego wyprzedzał wartownik, drugi szedł za nim, blisko, dotykając niemal automatem pleców. Nagle usłyszał okrzyk: „Ręce do góry!” Nie wiedział, czy krzyczą do niego, więc obejrzał się. Jego wzrok natknął się na wylot lufy czarnej, połyskliwej. Idący za nim huknął ponownie:

— Ręce do góry! Nie oglądać się!

Stanęli na dole. Serce biło mu niespokojnie. Ujrzał długi, wąski korytarz. Po obu jego stronach czerniały drzwi. Było ich dziesięć. Za idącymi legło milczenie. Tam czał się lęk niepojęty, groźny. Drzwi były ciężko okute, zamykane na rygiel przesuwany obrotem zębatego koła.

— Na noc ubranie w kostkę i za drzwi! — padł rozkaz.

W celi panował półmrok. W kącie matową poświatą jaśniało okienko. Pod nim ujrzał czarne żeberka centralnego ogrzewania. Połowe łóżko stało w kącie, na nim leżał siennik przykryty kocem. Dotknął go: był obrzydliwie lepki i chropawy zarazem. Odsunął go i sięgnął po poduszkę. Była wypełniona słomą.

Szpakowaty opadł na łóżko i w tej chwili ktoś przesunął z hukiem zasuwę. Koło zębate obróciło się ze zgrzytem. Drzwi stanęły otworem.

— Twarzą do ściany! Ręce do góry!

Nie pojął od razu, czego od niego chcą obaj wartownicy, którzy stanęli w drzwiach. Jeden z nich zbliżył się do więźnia i odwrócił go przemocą twarzą ku ścianie. Dźwignął mu ramiona i pouczył surowo:

— Tak macie stawać, gdy otwierają drzwi. I ręce do góry.

Na wysokości oczu Szpakowaty ujrzał fragment ściany przesłoniętej cieniem, jaki rzucały jego ramiona. Cień ten chwiał się z lekka, lecz na wyłaniającym się z mroku skrawku muru nie odkrywał nic nowego. Te same grube ziarna zaprawy wypełniały monotonne tło.

— Pobudka o piątej rano — pouczał śpiesznie wartownik.

— Ubranie i mycie. Do celi nic nie wolno zabierać.

Wyszli. Zasuwa, szarpnięta kołem zębatym, huknęła z trzaskiem.

Zaczęła się monotonia i beznadziejność osamotnienia, które było całkowite, ujęte w rygor, pozbawiony szczelin cienia i światła. Noc i dzień, każda chwila sunęła pasmem jednolicie bezbarwnym, bez wzniesień i spadków. Początkowo Szpakowaty wzdrygał się na dźwięk zasuwy, którą chwytало zębate koło, niebawem i ten dźwięk stał się elementem monotonii, która się tu właśnie urywała jak załamujący się, przeczuwany, przewidziany z góry rytm. Ktoś niewidoczny krzyczał rano: „Pobudka!” Ktoś niewidoczny otwierał z zewnątrz okienko o matowej szybie. Czyniono to w nocy. Okno uchylone na krzyż, na szerokość szpary, wpuszczało trochę świeżego powietrza, po czym niewidzialna dłoń zamykała je na resztę nocy i dnia. Któręś nocy wstał i spojrzął przez tę szparę.

Połowa okienka tkwiła na poziomie placu zamkniętego muru, połowa zaś mieściła się poniżej poziomu podwórza...

Po pobudce otwierano po kolei drzwi: więzień zabierał ubranie, po czym szedł do ubikacji, do umywalni, następnie wracał do celi...

Szpakowaty nie widział nigdy swych sąsiadów, żaden z nich nie mógł ujrzeć Szpakowatego: nigdy dwaj więźniowie nie znaleźli się jednocześnie na korytarzu. Szpakowaty już wiedział, że trzask najbliższej przesuwanej rygla zapowiada bliską chwilę otwarcia jego celi.

Leżał na łóżku całymi godzinami. Płótno napięte na niskich stojakach, tuż nad betonową płytą, ugięło się pod ciężarem ciała, siennik dotykał niemal podłogi. Na razie dali mu spokój, nie pytano o nic. Przymknąwszy oczy, rozważał miniony czas, szczęśliwsze chwile ostatnich miesięcy, ów moment, gdy mu wręczono list od Marii. Teraz skończyło się wszystko. Nie pytał o nic: ani o listy, ani o gazety. Zjawiała się pora gorzkich wyrzutów, czynionych sobie w ciszy dnia i w ciemności nocy o to, że wtedy, gdy mu wolno było na liście Marii skreślić parę słów, pisał zdawkowo i chłodno. Nigdy nie próbował pisać serdeczniej, cieplej, obawiając się zakazu. Teraz, gdy go pozbawiono wszelkiej możliwości porozumiewania się z domem, tamta stracona okazja wydała mu się najboleśniejsza, najbardziej krzywdząca. Co się dzieje w domu? Co Maria robi teraz, gdy list przeznaczony dla mnie wróci bez dopisku? A może to moje milczenie sprawi, że ze zdwojoną siłą przystąpi do działania? Już nie pamiętał, który oficer śledczy zapewniał go, że Przewodniczący wie o jego sprawie.

Pewnego dnia, zaraz po apelu, po otwarciu pierwszej celi, usłyszał na korytarzu jakiś rumor, hałas. Rozległ się czyjś podniesiony głos, odpowiedział krzyk, przytłumiony gwałtownie zatrzaśniętymi drzwiami, hukiem zasuw, szczękiem koła zębatego. Gdy otworzono jego drzwi i wezwano, by poszedł do ustępu, ujrzał na korytarzu stojaki, zwinięte płótno, siennik, koc... Wracając do celi wręczył wartownikowi ręcznik i mydło, szczoteczkę do zębów. Pełen lęku przyglądał się temu rozebranemu łóżku. Wieczorem, po apelu usłyszał okrzyk:

— Zabrać łóżko!

Od tego dnia począwszy, przez cały tydzień, zabierano na dzień z tamtej celi łóżko, które oddawano więźniowi na noc. Co tamten człowiek robił przez cały dzień? Na czym siedział? Chciał się przekonać, czy można wytrwać cały dzień na nogach: spróbował. Chciał wiedzieć, co się stanie, jeśli i jemu zabiorą łóżko. Niebawem poczuł zmęczenie, zawrót głowy. Spojrzał na betonową podłogę. Jeśli nie ma łóżka — rozważał — ani siennika, tamten nieznany

więzień musiał siedzieć cały dzień na tej podłodze. Schylił się i dotknął dłonią betonu. W pierwszej chwili nie czuł chłodu.

Zaczął się badanie. Wzywano go rano. Poprzedzany przez wartownika szedł z podniesionymi rękami, strzeżony z tyłu przez drugiego. Wiedli go na piętro. Pięli się stromymi, wąskimi schodami. Nie mógł nikogo wyprzedzić, nie mógł się cofnąć wstecz. Nie rozumiał, dlaczego zmuszali go do marszu z podniesionymi rękami. Już widział kiedyś ludzi idących z uniesionymi rękami. Nagle pomyślał, że t a m też tak mogło być i wzdrygnął się... Czy t a m też tak było, zanim najbliżsi towarzysze zostali uwolnieni od snu, oddechu, marzeń, bólu... Czy t a m też szli długimi korytarzami, stromymi schodami z rękami podniesionymi do góry?

Znalazł się na piętrze, w korytarzu podobnym do tego w piwnicy. Był również długi, po obu stronach widniały drzwi. Te nie były okute, nie posiadały rygla ani judasza. Nagle pojął przejrystość tego układu, użytkową przemysłowość domu. Obliczył pośpiesznie, że w korytarzu było dziesięć pokoi, tyle, ile cel na dole. Dla każdego więźnia oddzielny pokój — pomyślał. — Dla każdego oddzielne pomieszczenie do badania.

Pokój, w którym się znalazł, nie był większy od celi. Stało tam biurko, podłogę pokrywał dywan, w rogu tkwiła biurowa szafa. Było tu widno, mimo iż szyby okienne były matowe, jak na dole, w celi. Wartownicy zniknęli, po chwili zjawił się w pokoju nieznany mu człowiek. Był to młody oficer o skąpych, ale energicznych ruchach. Wydawało się, że ten człowiek nie uczyni nieprzemysłanego gestu.

— Siadajcie — rzekł oschle.

Szpakowaty rozejrzał się za krzesłem. W pobliżu stał taboret bez oparcia.

— Tak. Na tym taborecie.

Szpakowaty usiadł niepewnie. Oficer otworzył szufladę i wyjął kilka arkuszy papieru. Z kieszeni dobył ołówek.

— Imię i nazwisko.

Szpakowaty, pochylony ku przodowi, podał nazwisko.

— Siedźcie prosto!

Szpakowaty spojrzął na oficera, ten znów wysunął szufladę, wyjął z niej jakieś zawiniątko. Zaszeleścił papier. Szpakowaty ujrzał kilka kromek chleba, dwa jajka, jabłko. Siedział ciągle wyprostowany, oficer zaczął jeść. Czynił to z miną obojętną, jakby w pobliżu nie było nikogo. Nie zważał na człowieka siedzącego w pobliżu. Wtedy Szpakowaty poczuł, że go bolą plecy. Był przygotowany na to, lecz nie przypuszczał, że ból zjawi się tak szybko. Jeszcze się łudził, odpędzał od siebie myśl, że to już t e n ból, ale ból nie ustępował. Przeciwnie, wzrastał się coraz bardziej,

stawał się nieznośny. Szpakowatemu wydawało się, że jeśli pozwoli mięśniom odpocząć przez chwilę, cierpienie natychmiast ustąpi. Oficer jadł spokojnie, Szpakowaty poruszył się nieznacznie.

Oficer nie zauważył tego gestu. Tymczasem ruch, który miał mu przynieść ulgę, sprawił, iż pojawił się jeszcze bardziej dokuczliwy ból. Szpakowaty wbił wzrok w twarz oficera, który kończył powoli śniadanie. Zjadłszy, sięgnął po gazetę. Złożył ją do rozmiarów niewielkiej kartki i czytał tak, aby siedzący naprzeciwko nie mógł rzucić okiem na zadrukowany papier. Oficer rozparł się w fotelu i dla większej ostrożności odwrócił się nieco. Szpakowaty widział teraz tylko brzeg gazety, natomiast miał przed sobą wyrazisty profil oficera. Jego twarz, pozbawiona napięcia, była wypoczęta, spokojna.

Co się kryje za tym czołem? — pomyślał Szpakowaty. Oficer miał pięknie sklezione czoło, nos o łagodnym rysunku, niewiele wybiegający poza linię ust. Czytał spokojnie gazetę. Szpakowaty czekał. W pewnej chwili cofnął się nieznacznie wstecz, na skutek czego ból w krzyżu zelżał, lecz niebawem zjawił się znów gwałtowny, kłujący aż po palce rąk i nóg. Oficer jadł długo tabliczkę czekolady, smakując każdy kawałek. Przez cały czas nie odrywał oczu od gazety, którą składał i zwijał, by siedzący obok nie widział słów, nagłówek. Stary człowiek siedział na taborecie bez oparcia i czekał. W uszach zjawił się szum, w skroniach usłyszał łomot krwi.

Oficer schował gazetę, spojrzał na zegarek i zapytał:

— Data urodzenia?

Nie czekając odpowiedzi wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. Chwilami Szpakowaty widział go w pobliżu biurka, po czym spacerujący zniknął, ale więzień ciągle słyszał jego kroki. Najchętniej spałby, runąłby na polowe łóżko stojące w piwnicy. I bał się. Lękał się, że straci równowagę. Był pewien, że młody człowiek przebywający z nim w jednym pokoju widzi już, że się chwije bezwolnie. Obolałe mięśnie nie mogły utrzymać korpusu, ramion, głowy. Pochylił ją — tamten krzyknął. Szpakowaty z trudem uniósł głowę i błędnym wzrokiem spojrzał na pokój. Widział biurko, zdawało mu się, że ono straciło kształt i wydłużone, miękkie, płynęło niesione powolnym prądem ku oknu o matowych szybkach. Tam stał jakiś człowiek. Szpakowaty wiedział, że to ów młody oficer, który w ciągu wielogodzinnego pobytu w pokoju z czerwonym dywanem na podłodze zdołał mu postawić dwa nie znaczące pytania. Nagle Szpakowaty ujrzał twarz oficera niezwykle blisko. Widział usta otwarte do krzyku, słyszał wołanie i bardzo się zdziwił poznawszy, iż to nie jego głos. To krzyczał

ktoś w jednym z pobliskich pokoi, potem krzyk przeszedł w przeciągłe, cierpliwe, jednostajne wycie. Szpakowaty nasłuchiwał ciągle. Krzyk ustał.

— Miejsce zamieszkania? — zapytał oficer.

Trzysta stron — pomyślał nagle Szpakowaty. Trzysta stron maszynopisu. Na każdej stronie wypisał dziesiątki zdań, każde zdanie może dać asumpt do pytania, wygłaszanego przez oficera raz na trzy godziny... Oblała go fala gorąca. Oficer usiadł za biurkiem i znów wysunął szufladę. Teraz wydobył z niej książkę, którą otworzył i zaczął czytać. Oficer zagłębił się w lekturę, Szpakowaty nie spuszczał oka z jego twarzy. Chwilami wydawała mu się łagodna, czasami zaś zjawiał się na tym spokojnym obliczu jakiś przelotny grymas, który niepokoił i wzbudzał lęk. Czytający miał opuszczone powieki i Szpakowaty widział, jak pod powiekami wypukła źrenica wędruje za linijką druku. On nie udaje — pomyślał w pewnej chwili — on naprawdę czyta. Pochylił się naprzód. Na tych nic nie znaczących pytaniach minęło kilka nocy i po powrocie do celi Szpakowaty za każdym razem czuł, że opuszczają go siły. Znalazłszy się w celi walił się na łóżko i wnet zapadał w niespokojny i dręczący sen. Raz śniło mu się, że nie wyłożył na korytarz ubrania, zlany potem usiadł na sienniku i drżącymi rękami szukał marynarki, spodni, butów... Nie, nie było tych rzeczy, więc znów się położył, by po chwili pograć się w bezdenną otchłań czerni. Nie słyszał dźwięku, ale widział wyraźnie białą parę, wydobywającą się gwałtownie z pękniętego kaloryfera. Chciał się zerwać, wybiec, oddalić od fatalnego miejsca, ale ze wszystkich stron osaczał go krzyk. Wiedział, że śpi, zdawał sobie z tego sprawę tak wyraźnie, jak wyraźnie słyszał ów głos. Znał go: tak krzyczał ktoś za ścianą w sąsiednim pokoju na piętrze, gdy napięty kark zdawał się pękać z bólu.

Czyżby młody oficer coś wiedział o tym bólu? Szpakowaty myślał o tym, gdy przez kilka dni nie wzywano go na badanie. Pozostawiono go w celi: leżał na łóżku, niezdolny poruszyć nogami. Bolały go ramiona, kark. Znów obudzono go którejś nocy. Od tej pory sypiał w dzień: badanie rozpoczynało się o dwunastej w nocy.

Oficer zadawał w dalszym ciągu nic nie znaczące, błahe pytania, zmierzające wyraźnie do zaabsorbowania uwagi Szpakowatego jakąś treścią, wypierającą wszelką myśl, skojarzenie, reminiscencję. Do odpowiedzi Szpakowatego wracał wielokrotnie w ciągu następnych nocy, czepiając się pojedynczych słów, poszczególnych członów zdania, ich znaczenia. Odpowiedzi wydawały mu się niejasne, mimo iż nie tały niczego. Oficer nie ustawał w dociekaniu nie istniejącej głębi, nieobecnej dwuznaczności, wątpliwej tajemni-

cy. Nalegał na Szpakowatego, by tym razem inaczej sformułował odpowiedź, jaką usłyszał przed godziną. Na twierdzenie Szpakowatego, że nie mówił inaczej, oficer odpowiadał, że Szpakowaty już nie pamięta. Chciał go wyprowadzić z równowagi, zmylić, podejść. Potem odczytywał mu protokół, zawiły, skomplikowany, nie przypominający w niczym przebiegu rozmowy, jaką prowadzili niedawno. Szpakowaty odmawiał podpisu.

— Dlaczego? — pytał oficer udając zdumienie.

— Ja tego nie mówiłem.

— Już nie pamiętacie.

— Mam doskonałą pamięć.

Przez kilka nocy toczył się zażarty, nieustępliwy spór na temat kilkakrotnych wyjazdów Szpakowatego przed 1935 rokiem na posiedzenia KC, które się odbywały poza granicami kraju. W życiorysie Szpakowaty podał daty, cel podróży. We wszystkich niemal wypadkach potrafił zreferować porządek obrad, treść rezolucji i uchwał. Te fragmenty życiorysu były w gruncie rzeczy sprawozdaniem z działalności politycznej Szpakowatego. Nie mogło być inaczej: posiedzenia KC były poświęcone ocenie sytuacji międzynarodowej, kraju, ruchu robotniczego, zadań i roli partii w określonych warunkach historycznych. Rzeczowe referaty Szpakowatego stały się obecnie punktem wyjścia dla akcji bardzo dalekiej od polityki i ruchu robotniczego. Nie o to chodziło oficerowi. Nie pytał o ocenę zjawisk, nic go nie obchodziło, jaki był stosunek Szpakowatego do spraw rolnych, jaka była jego ocena roli drobnomieszczaństwa, warstw pośrednich, jednolitego frontu, związków zawodowych, stosunków z partiami socjaldemokratycznymi. Szpakowaty czekał na stereotypowe pytania, czy należał kiedykolwiek do jakiejś frakcji, czy popierał w KC „mniejszość” lub „większość”... Oficer ciągle jednak powracał do spraw, które Szpakowaty musiał ponownie odtwarzać z całą skrupulatnością, jakby od szczegółowego ich zbadania zależał los rewolucji w Polsce. W chwilach przerwy Szpakowaty nie przestawał obserwować tego młodego człowieka. Kim on jest? — rozważał w myśli. — Jakie doświadczenia życiowe przyniósł ze sobą tutaj, do tego gmachu, w którym odtworzony zostaje w niezwykle trudnych warunkach jakiś strzęp dziejów? I dlaczego tak właśnie wywołana została przeszłość: o północy, po wyjściu z piwnicy, gdy wartownicy przypominali surowym głosem, że musi podnieść ramiona... Co to wszystko znaczy? Do czego ci ludzie zmierzają?

— Jakim pociągami wyjeżdżaliście za granicę? — pytał oficer.

— Dalekobieżnym, międzynarodowym.

— Jesteście gotowi potwierdzić to na piśmie?

— Najzupełniej. Innym pociągiem nie można opuszczać granic kraju.

— Dobrze. A czy wiecie, że pociągi dalekobieżne były obstawione przez defę?

— Wiedziałem i napisałem o tym szczególe w jednym z życiorysów.

— Zgadza się. A więc wiedzieliście o tym, lecz mimo to wyjeżdżaliście.

— Mimo to.

Oficer przechadzał się dłuższy czas po pokoju. Szpakowaty siedział pochyliwszy się naprzód.

— Fakt, że postąpiliście w ten sposób, świadczy przeciwko wam.

— Przeciwko mnie? Dlaczego?

— Jak to dlaczego? Sami twierdzicie, że pociągi dalekobieżne były obstawione przez defę, lecz mimo to wyjeżdżaliście. Czy tak?

— Nie czekając odpowiedzi ciągnął dalej: — Można więc z tego wysnuć dwa wnioski. Pierwszy, że byliście na usługach defy i dlatego pozwalała wam wyjeżdżać. Drugi, że jeżeli defa nie korzystała bezpośrednio z waszych usług, pozwalała wam wyjeżdżać, gdyż dekonspirowaliście w ten sposób za granicą lokale i ludzi. W jednym i drugim wypadku przynosiliście szkodę partii.

— Jakie macie na to dowody? — szepnął Szpakowaty, poruszony do głębi.

— Wasze przyznanie się.

— Ja się do niczego nie przyznałem.

— Przyznaliście się: powiedzieliście, że wiedzieliście o tym, iż pociągi dalekobieżne...

— To nie jest żaden dowód winy.

— Jeszcze nie? A to, że was wypuszczali?

— Nikt się wtedy nie wsypał.

Oficer wybuchnął śmiechem.

— Byliście defie potrzebni na wolności, oto powód, dla którego was nie zamknęli.

— Na tej zasadzie można z wszystkiego skonstruować oskarżenie.

— Wątpicie w słuszność oskarżeń?

— W słuszność czy w prawdziwość? — usiłował mu przerwać Szpakowaty.

— W słuszność.

— Powiedzcie konkretnie, o co wam chodzi.

— Mówię o oskarżeniach partii przeciwko niektórym jej członkom. Czy wątpicie w ich słuszność?

— Jeżeli się opierały na tych samych podstawach, na jakich opieracie zarzuty przeciwko mnie — to wątpię.

— Nawet gdyby to miało przynieść szkodę partii?

— Partia nie jest w takiej sytuacji, aby musiała sobie pomagać kłamstwem.

— Wy potraficie to ocenić? Jakie macie ku temu dane?

Szpakowaty milczał. Dopiero po chwili rzekł:

— Ja wiem, dlaczego zyskaliście nade mną przewagę. Ja wiem — powtórzył cicho.

— Dlaczego?

— Bo dopuściłem możliwość, że partia mogłaby się posługiwać kłamstwem.

— I to jest takie złe?

— To oportunizm, a więc złe.

— Przekonamy was, że jesteście w błędzie.

— Nic mi nie możecie zrobić.

— Ejże, tacy pewni jesteście? Ci, do których jeździliście na posiedzenia, byli pewniejsi od was. A jednak dali główki...

— Jeszcze nie wiadomo.

— Wątpicie?

— Mnie się nic stać nie może.

— Skąd, u licha, ta pewność? Może zechcielibyście powiedzieć?

— Towarzysz Przewodniczący wie o mojej sprawie.

Oficer pochylił się nad biurkiem. Jego twarz znalazła się na wysokości twarzy Szpakowatego.

— Głupcze, stary, śmieszny głupcze. Jeśli trzeba będzie, to my towarzysza Przewodniczącego też weźmiemy za dupę, rozumiesz? Głupcze, co ty wiesz!

Ci dwaj, którzy przyszli następnego dnia, zaniepokoiili go okazywaną mu obojętnością. Minęło już kilka godzin, lecz Szpakowaty nie umiałby powiedzieć, po co tu przyszli i czego od niego chcą. Obydwaj byli rośli, niemłodzi, o twarzach bez wyrazu i tak zgodni w postępowaniu, jakby nimi kierował jeden mózg. A może to przypadek — rozważał Szpakowaty — że pytania obu tych ludzi pozostają w tak doskonały sposób poza sferą spraw, którymi żył od tylu miesięcy?

Rozmowa toczyła się o wszystkim i o niczym: o rodzinie i przyjaciółach, o kolegach z okresu szkolnego, o pracy zawodowej i kawiarni, w której zwykł był w pewnym okresie czytywać dzienniki, o studiach w Dreźnie i Paryżu, nawet o teatrach w przedwojennej Warszawie. Przybyli nie trzymali się jakiegoś określonego problemu; przeskakiwali z tematu na temat, snując cierpliwie

wątki zupełnie mu obojętne. Szpakowaty przyczał się, oczekiwał nagłego uderzenia, niespodziewanego, zaskakującego, groźnego pytania. Nic takiego nie nastąpiło. W pewnej chwili pomyślał, że ma przed sobą dwóch lekarzy-psychiatrów, badających w sposób przemysłowy stan jego umysłu... Nie, to nie byli chyba lekarze. W sąsiednim pokoju rozległ się skowyt, ludzki krzyk pełen grozy i bólu. Szpakowaty zbladł. Tamci znów postavili jakieś pytanie, było ono, podobnie jak poprzednie, z rzędu tych, jakie się stawia obcym, przypadkowo napotkanym ludziom. Minęło już sześć godzin, tamci zabierali się do odejścia, gdy nagle jeden z nich zapytał:

— W jaki sposób otrzymywaliście paszport zagraniczny?

— Kiedy?

— Przed wojną.

— Firma, w której pracowałem, składała podanie.

— Kto podpisywał podanie?

— Prezes firmy, adwokat Stanisław Patek.

— Ten sam, który był kiedyś ambasadorem kapitalistyczno-obszarniczej Polski w Związku Radzieckim?

— Tak.

— A wy? Wy składaliście jakieś podania?

— Nie.

— To znaczy, że wystarczyło pismo Patka, aby burżuazyjne władze wystawiły wam paszport?

— Nie było wtedy w Polsce innych władz.

— Były ambasador kapitalistyczno-obszarniczej Polski w Moskwie tolerował waszą działalność komunistyczną!

— Znał moje przekonania, ale nie wiedział o mojej działalności.

— Pomagał wam.

— Nie.

— Jak to nie! Przecież wam pomagał w uzyskiwaniu paszportu zagranicznego.

— Tak.

— I jeszcze chcecie ukryć przed partią, że byliście narzędziem w rękach defy?

Szpakowaty wstał.

— Popęlniacie zbrodnię! Trzymacie niewinnego człowieka, uczciwego partyjniaka.

— Nie zgrywajcie się — powiedział jeden z przybyłych. — Wy nam powiedzcie lepiej, kto odbierał ten wasz paszport zagraniczny.

— Jak to kto? Ja!

— Zawsze wy?

— Nie — odparł z wahaniem w głosie. — Czasami odbierała go żona.

— Starczy nam na dziś.

Szpakowaty powiódł oczyma za wychodzącymi. Wówczas jeden z nich rzekł:

— Wy czuliście się tak pewni w defie, że nawet żonę posyłaście po odbiór paszportu.

— Co takiego? — zapytał zdumiony.

— Tam was znali tak świetnie, że nie musieliście sami chodzić po paszport.

Tej samej nocy raz jeszcze wezwano go na górę. Musiało być bardzo późno. Już spał, obudzono go. Trzask przesuwanej zasuwki wyrwał go z niewiedzy i przywołał do przytomności. Było chłodno. Uniósłszy ręce ruszył za wartownikiem. Drugi wartownik następował mu niemal na nogi. Szpakowaty był wyczerpany wielogodzinną rozmową, jaką prowadził z tamtymi dwoma. Jeszcze nie zdołał ochłonąć. Zrozumiał, że Maria jest w niebezpieczeństwie. Wzmianka o tym, że odbierała paszport, mogła się okazać fatalna w skutkach. Tamci nie ukrywali, że korzystanie z zagranicznego paszportu, otrzymywanego dzięki zgłoszeniu złożonemu przez firmę, oceniali jako przestępstwo. A ten właśnie dokument odbierała czasami Maria.

Szpakowaty pojął, że ci ludzie sprzysięgli się przeciwko niemu. Okazało się, że każdą okoliczność życiową, sprzyjającą mu lub wrogą, przyjazną lub złą, interpretowali na swój sposób, wbrew logice, wbrew oczywistości. Przeraziła go ta zdolność lawirowania, manewrowania, tworzenia z insynuacji i domysłów, podejrzeń i dowolnie wysnutych wniosków — spraw o cechach rzekomo prawdziwych. Czuł, że grzęźnie powoli, upiornie powoli, jakby oglądał to osuwanie się własnymi oczyma, nieczuły już na chłód, wilgoć, uśmiercającą toń, która rozwierała się pod stopami.

Niedawno, przypomniawszy mu ucieczkę Leńskiego w 1925 roku z poczekalni sędziego śledczego, major stwierdził, że to nie była żadna ucieczka. To defakto umożliwiła Leńskiemu wyjście, by po powrocie do Moskwy mógł od nowa podjąć pracę na rzecz policji i w ten sposób szkodzić KPP oraz międzynarodowemu ruchowi robotniczemu, Związkowi Radzieckiemu, pierwszemu na świecie państwu robotników i chłopów... Szpakowaty przysłuchiwał się długiemu wywodowi oficera, nie wiedząc jeszcze, do czego zmierza. Dopiero nad ranem, gdy oficer rozważał analogię, jaka zachodzi między życiorysem Szpakowatego a życiorysami byłych człon-

ków KC KPP, działacze ci przesunęli się przed oczyma Szpakowatego jako szereg zbrodniarzy, dywersantów, szpiegów.

Pojął, że on, jeden z najbliższych współpracowników Warskiego, Leńskiego, Kostrzewy, Bortnowskiego, Unszlichta, Piotrowskiego, nie może się znaleźć poza kręgiem oskarżeń, które dosięgły przyjaciół. Dalsze rozmowy, selekcja dowodów, dobór materiałów były takie, iż tylko potwierdzały słusność zarzutów. Szpakowaty był bezradny.

Więc na co jeszcze czekają? — rozważał, zmierzając stromymi schodami na górę. — Dlaczego nie kończą śledztwa, nie sądzą, nie wyrokują? Na co im potrzebne są te żmudne dociekania, rozmowy, szperanie, to beznadziejne hasanie z niedawnej przeszłości w tę odległą, zapomnianą już niemal, oraz w tę bliższą, którą znają równie dobrze jak ja? A jeśli zabiją nie uzyskawszy potrzebnego świadectwa? Wówczas kogo nie uda im się potępić, pohańbić, oskarżyć? O kogo im chodzi? Czyżby zamierzali odgrzebywać zmarłych, by sądzić ich powtórnie z powoływaniem się na niego jako świadka oskarżenia? Po co mieliby ich ekshumować i powalić po raz drugi do grobu?

Więc może jednak chodzi o żywych, przeciwko którym miał świadczyć swoim nazwiskiem, autorytetem, czystością przekonań i czynów? Ktoś mu już o tym mówił... Nie mógł sobie przypomnieć, który oficer tak właśnie wyjaśniał konieczność uzyskania od niego zeznań nawet kłamliwych, k o n i e c z n i e kłamliwych. Jak długo nie kłamię, tak długo żyć będę — pomyślał. — Tylko tak długo.

Na biurku leżał stos zapisanych kartek i major przeglądał je stojąc. Zwróciwszy się do Szpakowatego kazał mu usiąść.

Szpakowaty przysunął bliżej taboret, lecz, zanim usiadł, poczuł piekielny ból w krzyżu. Major powiedział:

— Odczytam protokół, potem podpiszecie go.

Major czytał początkowo głosem podniesionym, czystym. Niebawem zjawiała się w głosie czytającego monotonia, niczym nie zakłócana przez długi czas. Głos majora płynął równomiernie, bez wzniesień, bez spadków, jak bezduszna, szkolarska recytacja, obliczona na pośpieszne odbębnienie wyuczonego tekstu. Taki też był ów tekst. Protokół zawierał jakieś strzępki własnej jego myśli, wypowiadanej kiedyś, lecz treść jej pozostała gdzieś na peryferii olbrzymiego elaboratu, który był tworem czyjejs dowolnej działalności. Ledwo wpadło mu w ucho jakieś sformułowanie, którego był autorem, a już zjawiono się nazwisko lub imię obce mu, nieznane, często wręcz nieprzyjemne. Całe fragmenty protokołu ujawniały tendencję w zamiarze wrogą, na razie ukrytą jeszcze, niepełną. Nieco później z zarysu insynuacji wyłaniał się pełniejszy

kształt zarzutu, oskarżenia. Wtedy wsłuchiwał się uważnie w tekst, bo oto odkrył w nim zdanie brzmiące niewinnie. Dopiero z dalszych wywodów wyłaniała się treść, pełna przerażającej dwuznaczności. Szpakowaty opadał z sił: czuł, że coś mu się rozpada w sercu, w umyśle. Wówczas przestawał nadążać za treścią i postanawiał śledzić jeden tylko wątek, ale wnet zaniechał tego. Każdy wątek gubił się niebawem w mnogości szczegółów, by zniecka zjawić się w innym obszarze czasowym, w strefie odległej, tak dalekiej i różnej od tej, z której brał swój początek, iż wydawało mu się, że o sprawie tej słyszy po raz pierwszy. Był zdumiony. Wiedział, że kiedyś taka sprawa była, lecz nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć, kiedy istniała, jak przebiegała, czym się skończyła. Ogarnęła go rozpacz. Wszystko mi się wymyka — myślał — wszystko, wszystko. Szukał ratunku w obliczu człowieka siedzącego naprzeciwko, w jego spuszczonej oczach, które ślizgały się po zapisanych liniijkach arkusza, w jego dłoniach opartych o biurko. Jedna uderzała rytmicznie, jakby wymierzała takt płynącemu zdaniu. Chyba dlatego — pomyślał — nie mogę złowić sensu, że tamten urywa zdania i zawiesza głos nie zgodnie z logiką i treścią tekstu, tylko w zgodzie z czasokresem, odmierzonym poruszającą się ręką. Szpakowaty przymknął oczy, nie słuchał. Nie będę już walczył — mówił sobie w duchu. — To jest bezcelowe i pozbawione sensu. Nie wygram tej walki, nie wygram... Z tych chaotycznych rozmyślań wyrwało go pełne gniewu:

— Wstać!

Słowa te padły w zupełnej ciszy. Wstał ociężale.

— Proszę podejść i podpisać protokół.

Szpakowaty uczynił krok naprzód i wyciągnął rękę. Drżała. Tamten podsunął pióro i wówczas Szpakowaty powiedział:

— Nie.

— Dlaczego?

— To nie mój protokół.

— Usiąść!

Szpakowaty odwrócił się, by sięgnąć po taboret.

— Nie tak! — usłyszał głos za sobą.

Szpakowaty odwrócił się i nierozumiejącymi oczyma spojrzał na majora.

— Nie tak! — twarz majora była spokojna. Nagle Szpakowatemu się wydało, że koło ust młodego oficera igra lekki uśmieszek.

— A jak?

— Odwróćcie taboret.

— Co?

— Nóżkami do góry!

Szpakowaty postawił taboret nóżkami do góry.

- Teraz siadajcie!
Zrozumiał. Zgroza przeszła mu serce.
— Siadać, powiadam!
— Jakże usiąść na nóżkach taboretu? — pytał z lękiem.
— Zdejmijcie spodnie i kalessony. Usiądźcie na jednej z tych nóżek.

Wlekli go ująwszy pod ramiona. Nogi zwisające bezwładnie uderzały o stopnie i odbijały się od nich ruchem rozluźnionych nożyc. Słyszał huk przesuwanego rygla, ale trzask ów usłyszał sercem, które zdawało się osuwać w głąb ciała. Trwało to długo, niezmiernie długo, jakby wewnątrz ciała posiadało przepastną głębię. Tuż nad głową majaczyła matowa szybka. Nagle zniknęły ramy okienka, szybka odpłynęła w dal, niezmiernie prędko, gwałtownie. Wtedy przymknął oczy. Pod powiekami przemknęła purpurowa łuna: matowa, nieruchoma głębia.

Było cicho. Chciał otworzyć oczy, lecz nie potrafił tego uczynić. Chciał je rozewrzeć siłą, bo oto zjawily się pod powieką nocne dale, przerażająco czarne, złowróżbne. Jęknął głucho. Zdawało mu się, że gdzieś go niosą: czuł kołysanie, szli z nim przez gaj, gdzie gałęzie chwiały się i szumiały drzewa. Bał się szumu, chwiania, cienia, który sunął nad jego głową.

Przyszły tygodnie wypełnione snem, majaceniem. W ciemne noce marzenia i widziadła obstępowały go szczelnie kręgiem, nie pozwalając, by sen został przerwany. Ta straż widm o twarzach ledwo przeczuwanych, nie widzianych nigdy, spełniała swe dobroczynne posłannictwo, przywołując obrazy gór, lasów, rzek, jakichś mieszkań, w których rozlegał się śmiech dzieci. Przez mgnienie oka przerażenie sięgało zimną dłonią po serce.

Był znów w mieszkaniu w Katowicach, gdzie dzieci ukryte za drzwiami śmiały się głośno, srebrzyście. Oczekiwał ukazania się kobiety, która wyglądała oknem, lecz nie zjawiała się. Drżał o nią i lękał się, czy nie przytrafiło jej się jakieś nieszczęście. Innym razem, w stanie półsnu i jawy, nabierał radosnej pewności, że po przebudzeniu się potrafi zanucić melodię usłyszaną przed chwilą: trapiła go — natarczywa, obłędna. Był tak pewien, że ją zapamięta, iż porzucał ten wątek, by łąwić następny. Był szczęśliwy. Dał się unosić sennym marzeniom, które go wiodły w daleki obszar. To nie trwa tak długo — tylko jedną chwilę, a może ułamek chwili... Nagle ogarnęła go rozpacz. Zapomniał. Uleciał wątek, który wydał mu się tak piękny i łatwy do zapamiętania.

Szukał człowieka, który nucił, i wtedy spostrzegł, że siedł w tłumie milczących ludzi. Spieszyli się. W pewnej chwili zaczęli biec. Ruszył wraz z nimi. Tamci zmierzali ku bramie domu w ulicy niezmiernie wąskiej i ciemnej. Dom stał nad brzegiem rzeki, w lustrze wody odbijał się chwiejnie obraz gmachu i tłum przyglądał się w ciszy tej rozchybotanej wodzie, w której tkwiły okna, drzwi, dach, zniekształcone ruchem fal. Nagle rozwarła się brama, tłum runął w głąb czeluści. Teraz ujrzał obok siebie biegnących starców, kobiety z dziećmi i niemowlętami. Idący przed nim zaczęli znikać mu sprzed oczu powolnym i łagodnym zstępowaniem. Ludzie schodzili do podziemia. Chciał się cofnąć, lecz nie mógł się oprzeć napierającym, którzy szli za nim i spychali go w dół, coraz niżej. Ruszył więc wraz z innymi, niebawem znalazł się w piwnicy. Było w niej dziesięć cel, po pięć z każdej strony korytarza. Po murze ciekła woda. To pewnie z tej rzeki... Przypomniawszy sobie, że dom stał nad jej brzegiem. Nagle dostrzegł, że drzwi cel stały otworem. W przejściu zdołał zauważyć, że w każdej z nich tkwił jeden więzień, odwrócony twarzą do ściany. Było zupełnie cicho i wówczas jeden z więźniów odwrócił się od muru i krzyknął ku idącym:

— Ratunku! Gestapo mnie uwięziło! — i wskazał palcem na niego.

Siedział dalej wraz z tłumem nie mogąc oderwać oczu od tamtego człowieka. Był to starzec, siwe włosy opadały mu w nieładzie na czoło, na oczy. Nad otworem rozkrzyczanych ust zwisały brudne kosmyki. Starzec krzyknął ponownie:

— Towarzysze! Dlaczego milczycie?

Szpakowaty przeraził się. Usłyszał teraz własny głos:

— Warski... Towarzysz Warski...

Idący za nim pchnęli go dalej, lecz on ciągle nie mógł oderwać wzroku od tamtej postaci. Ogarnął go śmiertelny lęk. Tam stała teraz kobieta, którą znał. Tkwiła pod murem, wysmukła, piękna, dumna, czarnooka, z pasemkiem czarnych włosów nad białym, wysokim czołem. W mroku lśniła bielą jej bluzka, spięta pod szyją ciemną broszką. Kobieta zmrużyła oczy i nie wiedział, co się w nich kryje: pogarda, zniechęcenie, duma, wyniosłość? Jeszcze nigdy nie widział tak zagadkowego spojrzenia u tej kobiety. I nagle zapragnął wiedzieć. Krzyknął:

— Towarzyszek Wero! Wero!

Kobieta uniosła dłoń i położywszy w milczeniu palec na ustach wiodła wzrokiem za odchodzącym.

— Ja śpię — powiedziała szeptem. — Nie budźcie mnie...

Lekarz, który go odwiedzał raz w tygodniu, badał tętno, pracę serca, milcząc przyglądał się ranie. Szpakowaty odczuwał upokorze-

nie bezwolności, nieudolności. Musiał leżeć na brzuchu, a gdy skończyły się oględziny, wartownicy, na rozkaz lekarza, odwracali go na grzbiet i poprawiali pod głową poduszkę. Szpakowaty unikał wzroku lekarza. Tamten opuszczał celę bez słowa.

W nocy niewidzialna ręka otwierała okienko. Ciągnęła stamtąd smułka woni, w której odkrył zapach ziemi, drzew, płynącej rzeki. Zdawało mu się, że słyszy śpiew ptaka, trzepot jego skrzydeł. Wreszcie którejś nocy zwałół się z łóżka i opierając się o ścianę dobrnął do uchylonego okienka. Ujrzał, jak kiedyś, dawno temu, płat kamiennego podwórze, fragment muru, który tonął w blasku księżycy. A więc minęła zima — pomyślał. Czuł wyraźnie zapach idący ku niemu od pół, od niewidocznego lasu. Było cicho.

Wiosna... Dziwił się niezmiernie, że zima minęła tak szybko. Jeśli jest wiosna, więc minął już rok... Jak szybko...

Nieco później zyskał całkowitą pewność, że jest już wiosna. Któregoś dnia kazali mu się ubrać. Było po śniadaniu, gdy wartownicy odsunęli z hukiem zasuwę i weszli do celi. Szpakowaty dźwignął ręce i stanął twarzą do ściany. Słyszał w celi ich kroki, oddechy. Podeszli do niego i nagle poczuł na czole i głowie ucisk chropawej materii. Nim zdołał ochłonać, zawiązali mu oczy, mocny węzeł ścisnął głowę. Kazali opuścić ręce i wzięwszy go pod ramiona ruszyli z nim ku schodom. Szli powoli stromymi schodami pod górę, usłyszał skrzyp jakichś drzwi, szcęk łańcucha, dźwięk klucza. Owionął go ciepły wiatr, pełen miłych, wiosennych woni. Przez materię opasującą szczelnie oczy, uszy, czoło łowił dźwięki, zapachy, blask dnia. Wszystko w przyrodzie było przytłumione i płynęło z nieogarniętego, odległego świata ciemności. Słyszał szum zapuszczanego motoru, poczuł zapach benzyny. Rozległ się rytmiczny warkot. Dokąd oni mnie zawiozą? I dlaczego nałożyli mi ten bandaż na oczy? Wtrącony w ciemność dnia, która mu towarzyszyła do tej pory w piwnicy, był zdany na pomoc czyjejś ręki. Ta dłoń ujmowała jego ramię surowo i obco. Prowadzący nie wiódł go, raczej popychał nieczule raz w lewo, raz w prawo. Pod stopą usuwał się żwir, noga zapadała się w piach.

— Pochylić się!

Pchnięty lekko, opadł na miękkie oparcie. Ktoś pomógł mu usadowić się należycie. Zatrzaśnięto drzwiczki, wóz ruszył. Otoczyło go milczenie, wyczuwalne sąsiedztwo ludzi, którzy strzegli ciemności jego oczu, nieświadomości jego myśli. Również spoza samochodu nie dobiegały żadne głosy. Niezmiernie go dziwiło, że nie słyszy sygnałów, normalnych dźwięków ulicznych miasta. Dopiero później, w czasie podróży, której początkowo nie umiał umieścić w obrębie znanej mu przestrzeni, pochwycił pierwsze odgłosy odległego miasta. Dzwoniły tramwaje, o szyny uderzały koła,

rozległ się okrzyk woźnicy... Potem te głosy znów ucichły, odpływały daleko i nagle zjawilo się głucho dudnienie. Tupot końskich kopyt rozlegał się na moście jak klaskanie. Znów łowił dzwonki tramwajów, sygnały samochodowe, głosy miasta.

Wkrótce potem usłyszał skrzyp bramy, samochód jechał powoli. W tej samej chwili wszystkie odgłosy oddaliły się i dobiegły go głuchym, przytłumionym echem. Wóz zatrzymał się, kazali mu wysiąść. Zatoczył się, czyjeś ręce go wsparły. W tej chwili zdjęto mu bandaż.

Dzień był słoneczny, na oczy opadło gwałtownie jasne, błękitne niebo. Szpakowaty stał na podwórzu otoczonym wysokim murem, który rzucał cień wybiegający aż po ścianę pawilonu o okratowanych okienkach. Drzwiczki samochodu stały jeszcze otworem. Gdy je zatrzaśnięto, ujrzał na tle białej, okrągłej tarczy znak czerwonego krzyża.

Był maj 1950 roku.

Szpakowaty przypominał sobie niejasno pawilon mokotowskiego więzienia, w którym go więziono po raz ostatni dwadzieścia lat temu. Wypuszczony na krótko z celi, już to poznawał układ korytarza, już to tracił orientację, korytarz wiódł bowiem do skrzydła nieznanego gmachu, którego wówczas tutaj nie było. Musiała to zatem być jakaś dobudowana część: istotnie, tynk na murze był tu jaśniejszy i odcinał się wyraźnie od starego gmachu. Tego chyba nie było tutaj — pomyślał, odczytując w przejściu numery cel nad okutymi drzwiami. W pewnej chwili zdawało mu się, że przypominał sobie numer pomieszczenia, w którym kiedyś siedział.

Dzień mijał za dniem. Cisza wypełniająca kłitkę, korytarz, cały gmach, była tak szczelna, iż wszelkie odgłosy dobiegające go o innej porze, niż ustalona dla odmykania drzwi w celu wyprowadzenia do ustępu lub podania posiłku, budziły niepokój, nakazywały być czujnym. Potem znów zalegała cisza, wracał spokój. Szpakowaty gotów był w każdej chwili wyjść naprzeciw hałasowi, okrzykowi, wezwaniu. Poczł się pewniejszy, gdy któregoś dnia zwrócono mu okulary. Lecz nie dano mu gazet.

Znał od lat to zajęcie więźniów, nie zmaczone niczym; liczenie. Liczył ziarenka wapna widoczne w kwadracie muru, który miał przed oczyma, gdy leżał na łóżku. Liczył poprzeczne linie cegły widocznej spod cienkiej warstwy zaprawy. Znał na pamięć ilość płytek betonu na podłodze. Zapytał o książki, wartownik odparł, że nie ma nic do czytania. Zagadnięty o spacer, zaśmiał mu się w żywe oczy.

— Spacer! — prychnął pogardliwie. — I dziewczynkę, co? Niebawem bezczynność i cisza zaczęły mu dokuczać. Nie chciał powiedzieć wartownikowi o pojawiających się coraz częściej bólach głowy, o bezsenności. Lękał się, że usłyszy gburowatą odpowiedź, zaskakującą brakiem logiki i dlatego tak bardzo pogardliwą. Leżał całymi dniami z przymkniętymi oczyma. Gdy je otwierał, widział niezmiennie ten sam szary, jednostajny płat sufitu. Pewnej nocy złowił jakiś szmer. Przez celę przebiegał suchy, cieniutki stukot: mysz! Ucieszył się. Usiadł w mroku na łóżku i wysilając wzrok wodził za niewidocznym stworzonkiem, za poruszającym się dźwiękiem. Serce biło mu szybko, niespokojnie, głośno: wypełnia je niezmierna radość. Drobnutki stuk urwał się nagle. Szpakowaty powstrzymał oddech, ręce złożył na kocu. Siedział jeszcze jakiś czas nasłuchując. Postanowił zostawić nazajutrz trochę okruszyn.

Następnego dnia nie zdołał sprawdzić, czy w celi była mysz. Wartownik, otworzywszy rano drzwi, ujrzał Szpakowatego opartego o łóżko bez ruchu. Jeszcze oddychał. Wezwany lekarz zbadał go nie ruszając z miejsca, po czym wzruszył ramieniem i poszedł. Opuszczając celę polecił, aby więzień zjawił się u niego następnego dnia.

Lekarz był wysoki, tęgi, o pełnej twarzy. Grube szkła okularów nie zdołały ukryć pogardy, widocznej w oczach tego człowieka odzianego w mundur wojskowy. Ja już gdzieś widziałem te oczy — pomyślał Szpakowaty. — One nie wróżyły nic dobrego ani przyjaznego. Lekarz wiercił się niecierpliwie. Nie ukrywał, że się spieszy.

— Numer?

— Numer celi? — zapytał Szpakowaty.

— Nie. Numer. — I niecierpliwie krzyknął: — Pytam o numer!

Szpakowaty nie rozumiał, o co chodzi. Lekarz powtórzył:

— Numer.

— Nie wiem, o jaki numer chodzi.

— O numer pytam. Więzień nie używa nazwiska. Więzień ma numer.

— Nic o tym nie wiedziałem.

— Nie wiedziałem — powtórzył opryskliwie. — Nie wiedziałem! Trzeba pamiętać! Numer pięć!

Szpakowaty stał oszołomiony. Tamten zapytał:

— Co jest?

— Przepraszam, czy ja jestem u lekarza?

— A u kogo? Pytałem już: co jest?
 — Jestem po dwóch zawałach.
 — Ja nie zwalniam z więzienia.
 Szpakowaty zamilkł. Spojrzał ku drzwiom, za którymi czekał wartownik.
 — Co jest? — powtórzył lekarz. — Ja nie mam czasu.
 — Czuję straszny ucisk w głowie...
 — Straszny — przerwał lekarz. — Czy numer pięć w ogóle wie, co jest straszne?
 — Mam bardzo wysokie ciśnienie. Głowa mi pęka.
 — To się założy obręcz. Zapiszę.
 Szpakowaty przyglądał się ręce kreślącej ołówkiem na kartce jakieś słowa.
 — Dostarczą — rzekł po chwili. — Zażywać i zgłaszać się co cztery dni.
 — Mam bardzo wysokie ciśnienie.
 — O tym lekarz wie lepiej.
 — Nie zostałem zbadany.
 — Przyniosę kiedyś aparat do mierzenia ciśnienia.
 — Kiedy?
 — Więzień nie ma prawa wydawać dyspozycji.
 — Nie mogę spać.
 — Wróg narodu może nie spać. Nie szkodzi.
 Wracał do celi powłócząc nogami. Opuściwszy głowę szedł powoli, bardzo powoli przez długi korytarz, mając przed sobą szary i zimny skrawek betonu. Wróg narodu — powtarzał w myśli — wróg narodu.

Skwarne lato gniołło upałem mury, dach pawilonu. W celi było duszno, okna nie otwierano nawet wówczas, gdy leżącemu beczynninie pot zalewał oczy. Otwór okienny normalnej wielkości, zasłonięty od wnętrza celi gęstą siatką, zaopatrzone był w szybę złożoną z szeregu szklanych pasm, ustawionych pod kątem; te pasma, zasłaniające pole widzenia, dopuszczały zaledwie trochę powietrza z zewnątrz. W nocy dochodziły przez wysoki mur głosy uspionego miasta, odległe echa, stłumione murami okalającymi pawilon. Łowił zgrzyt wozu tramwajowego, sygnał samochodu, daleki gwizd lokomotywy. Często w ciągu dnia zawisał w oddali głębokim buczeniem natarczywy głos samolotu. Dźwięk oddalał się i ginął za horyzontem, niezmiernie bliskim.

Z czasem poznał bliżej pawilon, którego nie było tutaj wtedy, gdy jako członek KPP przebywał w murach tego więzienia, skazany na długie lata.

Przez kilka miesięcy siedział w celi na parterze, potem na pierwszym piętrze. Przed zimą przeniesiono go na drugie piętro. Cele były wszędzie jednakowo małe, surowe. Z drugiego piętra zaczęto go prowadzić na trzecie, gdzie mieściły się pokoje oficerów śledczych. Szedł wtedy przez zamarły, milczący gmach, kryjący za każdymi drzwiami jakieś tajemnice. Na piętrze było dwadzieścia cel, czterech wartowników pełniło straż: każdemu z nich podlegało pięć cel. Gdy Szpakowaty ustalił prawidłowość tego rachunku, pojął, że jest właściwie stale pod obserwacją.

Szefem śledztwa była major, człowiek w średnim wieku, szczupły, o pewnych, pełnych energii ruchach. Mówił szybko, zdecydowanie, bez namysłu rozstrzygał sprawy, z którymi Szpakowaty się do niego zwracał. Poprosił o gazety — major odmówił. Po jakimś czasie ponowił prośbę wspominając o książkach — odmówił. Na pytanie: „dlaczego?” — uzasadnił odmowę wyższą racją. Szybkość, z jaką major racje te odnajdywał, zaskakiwała i dziwiła więźnia. Z czasem z racji tych urósł mur nie do przebycia. Major znajdował argumenty, z którymi trudno było dyskutować. Stale przypominał Szpakowatemu, że jako komunista powinien być zdyscyplinowany i karny. Szpakowaty milczał, wreszcie zapytał któregoś dnia, czy regulamin więzienny też jest wyrazem decyzji instancji partyjnej.

— Numer pięć kpi z porządków ustalonych przez władzę ludową.

— Ja się źle czuję bez książek. Muszę czytać, coś robić.

— Nie ma na to rady.

— Żądam zakończenia śledztwa.

— Nie znam sprawy.

— Tyle mówicie o partii, ciągle o partii. A partii nie jest chyba obojętne, że jej członek pozostaje od roku przeszło pod oskarżeniem i podejrzeniem.

— Nie wiem, o co numer pięć jest oskarżony.

— Ja też nie wiem.

— Więc czego chcecie?

— Chcę napisać list.

— Do kogo?

— Do KC.

— To wszystko?

— Chcę wiedzieć, co się dzieje w domu. Mam chorego syna.

— Dostaniecie atrament, pióro i papier.

List do KC był krótki. Szpakowaty pisał:

Z faktu, że tak długo przebywam w więzieniu, wynika, że istnieje nieufność do mojej minionej pracy partyjnej. W związku z tymi dowodami nieufności oświadczam, że nikt i nic nie zdoła zmienić faktu, iż pracowałem

w szeregach SDKPiL, KPP i PPR ofiarnie i uczciwie. To przekonanie nakazuje mi domagać się zwolnienia lub postawienia przed sąd, który wyjaśniłby bez reszty wysuwane przeciwko mnie zarzuty.

Major odebrał list. Szpakowaty powiedział:

— Chcę jeszcze napisać do domu.

— Do domu nie możecie pisać, ale postaram się dowiedzieć, co tam słychać, i dam wam znać.

Zaczął się okres wyczekiwania. Dni były już krótkie. Słońce oddalało się od muru, znacząc spóźnionym wykrojem blasku odmienioną porę roku. W południe cela tonęła w głębokim cieniu. Szła jesień. Deszcz bębnił cierpliwie o płytę podwórza. Rano, „przy śmieciach”, tak nazywano porę sprzątania celi, poprosił wartownika, aby go zameldował u szefa śledztwa. Następnego dnia wartownik zapytał: „Po co?” Przez kilka tygodni nie było odpowiedzi. Gdy Szpakowaty przypomniał o swej prośbie, wartownik odpowiedział:

— Szefa nie ma.

Nie ma szefa — powtarzał Szpakowaty, krążąc po celi. — Nie ma szefa. Cóż ma wspólnego obecność lub nieobecność szefa z odpowiedzią na list skierowany do KC? Kto śmie przetrzymywać odpowiedź KC? Nie wątpił, że na jego oświadczenie nadeszła odpowiedź. I cóż z tego, że nie ma szefa? Przecież jest ktoś w tym pawilonie, kto ma obowiązek doręczyć natychmiast odpowiedź KC na pismo skierowane do najwyższej instancji przez członka partii. Szpakowaty tracił cierpliwość. Stał przed zagadką, której nie umiał rozwiązać. Jak to jest możliwe, aby władze więzienne przetrzymywały pismo KC?

A jeśli KC nie odpisał? Ogarnęło go nagłe przerażenie. Że też nie pomyślał o tym do tej pory! Mogli w ogóle nie odpisywać i dlatego właśnie nikt mu nie wręczył nie istniejącej odpowiedzi! Oto prawdziwy powód, dla którego major unika rozmowy ze mną. I dopiero teraz pojął grozę sytuacji. Jeżeli KC nie odpisał, czy nie znaczy to, że jest przekonany o mojej winie? Ale w takim razie, na czym ta вина polega? Co mają mi towarzysze do zarzucenia? Dlaczego nikt mi o tym nie mówi?

Po kilku tygodniach, gdy spadł już pierwszy śnieg, major zjawił się ponownie. Szpakowaty zaniechał już rozmów z wartownikiem: o nic nie prosił, przekonany, że nikt nie pamięta o nim ani o jego sprawie. Szef powiedział:

— Syn jest zdrow.

Serce zabiło mu żywo. Nie mógł ukryć wzruszenia. Zapytał:

— Czy to jest pewne?

— Najpewniejsze.

— A żona?

— Też.

— Dziękuję. — Po chwili wahania dodał: — Czy wiecie, że nie ma jeszcze odpowiedzi na moje pismo do KC?

— Nie mogę wam nic o tym powiedzieć. Nie jesteście w mojej kompetencji.

— A w czyjej?

— Nie mogę wam powiedzieć.

— Dlaczego nie kończycie śledztwa?

— I na to przyjdzie czas.

— Kiedy?

— To się ustali.

— A kto to ustali? Od kogo to zależy?

Major opuścił celę nie rzekłszy ani słowa.

Pewnego dnia otworzono drzwi o nieprzewidzianej porze. Zapadał zmierzch. Wartownik wrzucił do celi siennik, prześcieradło, koc. Po chwili zjawiał się jakiś człowiek. Wartownik oświadczył krótko:

— Od dziś będziecie tu we dwójkę.

Przybyły stał przez chwilę oparty o ścianę. Był to człowiek wysokiego wzrostu, o szarej, ziemistej cerze i włosach przyprószonych siwizną. Od nosa ku kątom ust biegły dwie głębokie bruzdy, koło ust załamywał się grymas goryczy. Przez chwilę oczy nieznanego człowieka błędziły po celi, wreszcie przybyły odsunął się od ściany, podszedł do Szpakowatego i podawszy mu rękę wymienił nazwisko. Szpakowaty nie dosłyszał jego brzmienia. Zdawało mu się, że usłyszał coś, co brzmiało, jak Wukop czy Rukop. W odpowiedzi Szpakowaty wymienił swoje, po czym usiadł na łóżku.

— Nie ma miejsca na drugie łóżko — rzekł przybyły rozglądając się po celi. Zwrócił twarz ku Szpakowatemu, lecz ten nie odparł nic. — Będę musiał spać na podłodze. — Pochylił się i przesunął siennik, po czym poprawił go i nakrył prześcieradłem i kocem.

— Dawno tu siedzicie? — zapytał przybyły.

— Dawno.

Szpakowaty odpowiadał sucho, opieszale. Nie ukrywał swej niechęci. Chciał być nadal sam. Nowoprzybyły zakłócał porządek, na który składała się cisza, pora rozpamiętywać, rozmyślać. Kim był ten starzejący się człowiek? Wydawał mu się obcesowy, ponieważ jego pytania wypełniała nuta dopominania się o odpowiedź. Kto go upoważnił do zastosowania tego tonu? W sercu Szpakowatego zrodziły się jakieś niejasne podejrzenia, złe przecz-

cia. Postanowił mieć się na baczności. Nagle pomyślał, że niepotrzebnie przywołuje doświadczenia minionych lat. Przecież nie ukrywał niczego, wyjaśnił wszystko. Przebrnął w ciągu tego roku przez swoje życie, dwu-, trzykrotnie, zatrzymując się nad każdym szczegółem wymagającym wyjaśnień, jak przed stacją męki. Jeśli nie przysłali tutaj tego człowieka — rozważał — by wyciągnąć ode mnie jakieś tajemnice, obecność drugiego więźnia w celi mogła świadczyć o złagodzeniu warunków. Czyżby miało to znaczyć, że śledztwo zbliżało się już ku końcowi?

Tydzień mijał za tygodniem, lecz jego nie pytano o nic, nie wzywano więcej na trzecie piętro pawilonu, o którym wiedział teraz z całą pewnością, że w t e d y jeszcze go nie było. Upewnił go o tym przybyły, który twierdził, że też już kiedyś, dawno temu, siedział tu. W tym miejscu, gdzie obecnie stał pawilon, było podwórko, na które wyprowadzano więźniów na spacer.

Szpakowaty pozwalał mu mówić, a usłyszawszy, że przybyły już był kiedyś więźniem, zaczął bacznie nasłuchiwać. Uniósłszy głowę przyglądał się w milczeniu tamtemu człowiekowi. Dopiero teraz zauważył, że nie był stary, mógł mieć najwyżej czterdzieści dwa lub czterdzieści pięć lat. Głębokie bruzdy i szara cera sprawiły, że wyglądał znacznie starzej. Mówił ochoczo. Wyjaśnił, że od bardzo wielu miesięcy siedział samotnie, pozbawiony możliwości zamienienia z kimkolwiek paru słów.

— Nie dziwcie się, że na wasz widok zrobiło mi się rażniej.

— Nie rozumiem.

— Nie będę sam, a poza tym znam was. Z nazwiska. Wiem, kim byliście w partii. — Wukop czekał odpowiedzi, była mu potrzebna aprobata: nie zachęta do mówienia, lecz właśnie aprobata. Chciał wiedzieć, czy więzień siedzący na łóżku słucha, pragnie słuchać. Poznawszy we współwięźniu znanego działacza chciał go pozyskać dla wynurzeń i opowieści. Nie chodziło mu bowiem o samo mówienie, chciał być słuchany. Przechyliwszy głowę obserwował Szpakowatego. Ten ciągle milczał. Wukop przerwał swoją nieskładną gadaninę, lecz nie na długo. Po zgaszeniu światła, gdy się ułożyli do snu, podjął przerwany monolog.

— Muszę mówić, a wy milczycie. Widzę to. Zrozumiałem was od pierwszej chwili, gdy przyjeśliście milcząco moje przybycie. Wy milczycie, bo nie chcecie rozmawiać z obcym, prawda? Ale ja muszę mówić. Właśnie z wami, bo jesteście człowiekiem, o którym wiem bardzo wiele. — Szpakowaty czuł na sobie wzrok Wukopa, leżącego na sienniku. Tamten ciągnął dalej: — Ludziom, których znam, nie potrafię już niczego wyjaśnić. — Poprawił się na sienniku, zaszeleściła słoma, i uzupełnił: — Nie umiem nic wyjaśnić tym, których tu poznałem.

Znów zaszeleściła słoma. Na ciemnej ścianie, nieopodal łóżka, ukazał się ciemniejszy cień. Wukop siedział wpatrzony w stronę, gdzie spodziewał się obecności czujnych oczu milczącego sąsiada.

— Nie bójcie się — ciągnął w mroku człowiek siedzący na sienniku. — Nie będę was o nic pytał. Mnie tu nie przysłali po to, aby wyciągnąć od was jakieś wiadomości. Im trzeba wszystko powiedzieć samemu. Mają sposoby.

— Chcę spać — odparł Szpakowaty.

Tamten zapytał po chwili:

— Czy dlatego, że wspomniałem o metodach? Mogę o tym nie mówić. Ale jeśli jesteście jeszcze komunistą, to trzeba to milczenie przerwać.

— Przepraszam, ale ja naprawdę chcę spać.

— Dobranoc.

Galilei: Ich habe widerrufen, weil ich den körperlichen Schmerz fürchtete.

Andrea: Nein!

Galilei: Man zeigte mir die Instrumente.

B. Brecht

W nocy, musiało już być bardzo późno, nowoprzybyły obudził Szpakowatego: — Powiedźcie mi, dlaczego przerwaliście wtedy, gdy wspomniałem o tych metodach?

— Nie przerwałem.

— Nie chcieliście słuchać.

Szpakowaty nie odpowiedział. Tamten rzekł:

— Ja też jestem komunistą.

Szpakowaty przysłuchiwał się w milczeniu słowom Wukopa, który opowiadał o sobie po długich przerwach wypełnionych uporczywym milczeniem, trudnym do zniesienia. Zdarzały się dni, kiedy nie mówił nic, zamknięty w sobie, niewidzący. Leżał wówczas skulony na sienniku, odwrócony twarzą ku ścianie, zajęty jakimiś rozmyślaniami, w które Szpakowaty nie zamierzał się wdzierać. Wówczas starał się zachowywać tak, aby człowiek leżący na podłodze nie czuł jego obecności. Potem następowały godziny wypełnione opowiadaniem wydarzeń, w których Wukop uczestniczył. Były to nieraz historie zawiłe, innym razem niezmiernie proste, niegodne zapamiętania, lecz Wukop mówił o nich mimo to i Szpakowaty rozumiał ich sens. Znał tę skrupulatność podyktowaną chęcią odtworzenia każdego szczegółu, każdej błahej sprawy,

ponieważ w niej, w tej błahej, również można było doszukać się przyczyn, źródeł późniejszych postępów i czynów. Szpakowaty pozwalał mu mówić, przysłuchując się często niecierpliwie szczegółom, które wydawały mu się mało ciekawe. One bowiem oddalały go od sedna sprawy, zatrzymywały w połowie drogi.

Zdarzały się dni, gdy Szpakowaty chciał przerwać opowiadającemu i zapytać wręcz, jak się skończyła historia, w której Wukop uczestniczył, w ostatniej jednak chwili porzucał ów zamiar. Wydawało mu się, że mówienie o sobie stało się potrzebą serca tego człowieka.

Urodził się w Warszawie, z zawodu był piekarzem i mając lat piętnaście znalazł się, w 1922 roku, w szeregach ZMK. Niebawem okazało się, że jest świetnym mówcą, doskonałym organizatorem. Lubiany za odwagę, jasność umysłu, oddanie sprawie, stał się działaczem coraz bardziej znanym w kołach radykalnej młodzieży. Początkowo działał nielegalnie, następnie jednak, zwykłą koleją losu rewolucjonisty, zaczął się dekonspirować. Po pewnym czasie, po jawnych wystąpieniach na wiecach i masówkach, stał się znany również policji, zainteresowała się nim defa. Zaczęto go śledzić. Nie było to trudne zadanie dla wytrawnych szpicli: ustalili z łatwością, gdzie pracuje, gdzie mieszka ów mówca zdolny porwać tłum. Wukop był już wówczas członkiem KD, miał rozgłos w związkach zawodowych i wreszcie nadszedł moment, gdy krąg wokół niego zamknął się całkowicie. W ostatniej chwili wymknął się, ruszył na okręg i jako funkcjonariusz KC ZMK przewędrował pół Polski. Aresztowano go jako członka KC i po pięciu latach więzienia wrócił do pracy w szeregach KZMP. W tym czasie poznał dziewczynę, działaczkę młodzieżową, córkę górnik z Zagłębia. Ożenił się z nią, oboje nie przerwali pracy politycznej.

I oto w dniu 30 kwietnia 1935 roku, w przeddzień święta robotniczego, Wukop, przebywający w Łodzi jako okręgowiec, dowiedział się, że na 1 Maja przybywa do Warszawy jego żona, której nie widział od wielu miesięcy. W nocy więc z 30 kwietnia na 1 maja Wukop opuszcza Łódź, wyjeżdża do Warszawy, porzuca powierzony mu przez KC okręg i przybywa do stolicy. W kołach najbliższych ludzi wybucha skandal, towarzysze nie przyjmują żadnych wyjaśnień Wukopa o tym, że w dniu 30 kwietnia wszystkie przygotowania do manifestacji pierwszomajowej były już zakończone. Członkom KC KZMP chodzi o sprawę zasadniczą: za okręg, za wszystko, co się tam dzieje lub wydarzyć może, zarówno w przeddzień święta jak i w czasie manifestacji, odpowiada przed KC członek postawiony na okręgu: tam miał strzec i pilnować interesów organizacji. Wukop okazał się małoduszny, ale był to zarzut najmniej ważny. Członek kierowniczej instancji okazał się

człowiekiem nieodpowiedzialnym, niegodnym miana członka KC. Wówczas to, była połowa 1935 roku, oboje, Wukop i jego żona, zostali usunięci z szeregów KZMP.

Wukop, rozgoryczony, nie pojmujący w pełni wagi popełnionego przez siebie czynu, wraca do swego zawodu i otrzymuje zatrudnienie w piekarni, którą opuścił dziesięć lat temu. Tam zastaje dawnych kolegów oraz nieznanych piekarzy, wszyscy jednakże witają go tutaj jak bohatera, działacza, byłego więźnia, który cierpiał za sprawę proletariatu.

W tym miejscu opowieść Wukopa nie była dla Szpakowatego zupełnie jasna. Rozmyślał nad nią, lecz ciągle brakło mu odwagi, by zapytać, co sprawiło, że Wukop zaczął ponownie działać. Co to było? Odpływ rozgoryczenia, które wyniósł po ostatniej rozmowie z najbliższymi towarzyszami. Gdy mu oznajmili, że zostaje usunięty z szeregów KZMP, czy napór, jaki robotnicy piekarni wywarli na człowieka znanego z radykalnych przekonań, od którego zażądali, by występował w obronie ich interesów? Wukop nie wahał się długo. Mimo iż nie należał do partii, stanął wkrótce na czele lewicy związkowej, poparty przez robotników, których porrywał płomiennymi przemówieniami. Popierali go partyjni i bezpartyjni, był w dalszym ciągu uważany za komunistę, nie tylko dlatego, że znano go z uczestnictwa w ruchu komunistycznym, lecz głównie dlatego, że realizował linię partii.

W toku opowiadania Wukop rzekł do Szpakowatego:

— Wykonywałem zlecenia partii, strzegłem jej linii, mimo iż nie należałem do żadnej komórki KPP-owskiej.

— Po co mi o tym mówicie?

— Po co? Bo nie usłyszałem jeszcze od was, co o tym wszystkim sądzicie. Siedzę tu z wami piąty tydzień i ciągle nie wiem, dlaczego was trzymają.

— Co ma to do rzeczy.

— Mówiłem, że realizowałem linię partii, mimo iż nie byłem jej członkiem. Bo to wchodzi człowiekowi w krew, w serce.

— Robotnicy was pchali...

— Tak. Oni przyspieszyli mój powrót. Gdybym był niepotrzebny robotnikom, na nic by się zdały moje przekonania.

— A wtedy, ostatniego dnia kwietnia 1935 roku w Łodzi? Wtedy nie byliście potrzebni robotnikom?

Wukop zamilkł. Po kilku dniach uporczywego milczenia, którego Szpakowaty nie przerywał, Wukop powiedział:

— Wy macie dobrą szkołę.

Szpakowaty uśmiechnął się. Tamten ciągnął dalej:

— Wy wiecie, w którym miejscu można mnie zranić. Nie jak ten lekarz, który mnie oglądał po to, żeby znaleźć miejsce, gdzie

najlepiej bić i nie zranić. — Urwał, po chwili rzekł: — On też jest komunistą. On o sobie mówi: mnie tu partia postawiła.

— Chcecie mnie ustawić obok siebie? — zapytał Szpakowaty. Wukop, siedzący na sienniku, uniósł głowę.

— Wy nie mieliście nigdy w życiu żadnego trzydziestego kwietnia?

Szpakowatemu zrobiło się gorąco. Ten na sienniku mówił dalej:

— Ten trzydziesty kwietnia nie może za mną chodzić przez całe życie. Chciałem partii pokazać, że można jej zostać wiernym, nawet poza jej szeregami.

Szpakowaty poruszył się niespokojnie i powiedział, raczej do siebie:

— Inni powinni byli wam powiedzieć, że trzydziesty kwietnia przestał działać albo istnieć.

— Nie doczekałem się tego.

— Nie rozumiem.

— Na wiosnę 1937 roku wybuchł w Warszawie strajk piekarzy. Stałem na jego czele, tak chcieli piekarze, robotnicy i ja tego chciałem. Uważałem się za komunistę. Defa zaaresztowała komitet strajkowy, byłem w tym komitecie, trzymali nas kilka miesięcy, wreszcie puścili. Przy bramie więziennej czekały na nas nasze kobiety i tam, na ulicy, dowiedziałem się od mojej żony, że wprowadzono nas zwolniono, ale żaden z nas nie otrzyma nigdzie pracy. Poniosła mnie złość, a w domu ogarnęła mnie rozpacz. W mieszkaniu nie było niczego, żona się wyprzedzała. Przez kilka dni chodziłem za robotą. Na próżno! Wszędzie spotykałem się z odmową. Właściciele piekarni nie musieli mi objawiać swojej niechęci. Zнали mnie, byłem delegatem z ramienia związku, często pertraktowali ze mną u inspektora pracy, gdzie reprezentowałem interesy robotników. Odmawiali mi prawa do pracy, używając aluzyjnych napomknien. Mogłem się domyślić, że działa rozkaz wydany przez defę. Informacja żony była prawdziwa.

Nie wytrzymałem. Nie mówiąc nic żonie poszedłem któregoś dnia do defy, by zażądać wyjaśnień. Długo czekałem. Przechodzili koło mnie szpicle, większe i mniejsze pieski, i węszyli, oglądali na wszystkie strony. Sam im się nasunąłem, więc korzystali z okazji. Wreszcie wprowadzono mnie do Pogorzelskiego. — Wukop uniósł głowę i zapytał Szpakowatego:

— Zналиście Pogorzelskiego?

Szpakowaty przytaknął. Wukop mówił dalej: — Zapytałem go, jakim prawem nakazał właścicielom piekarni, aby mi nie dawali roboty.

— Bo pan organizuje robotników — odparł szef defy.

— Beze mnie robotnicy też potrafią się zorganizować.

— Ale z panem im to przychodzi łatwiej.
— Ja muszę żyć.
— My też. — Pogorzelski o mało się nie wściekł. — My też
— krzychał — chcemy żyć, a wy nam zagrażacie!
— Takie jest prawo walki klas. Pan mnie nic nie obchodzi.
— Uznaję to prawo! — wołał Pogorzelski. — Uznaję je i dla-
tego ja też walczę. Pan mnie nic nie obchodzi! — Pogorzelski
powtórzył moje słowa.

Wukop mówił:

— Wyszedłem stamtąd nie w najlepszym nastroju, sprawa
była przesądzona. Jakkolwiek nazwiecie postępowanie defy, zem-
stą czy walką, dla mnie sytuacja była fatalna. Nie miałem pracy,
nie było co jeść. Pozbawiony zajęcia, nie miałem nawet prawa
wstępu do lokalu związkowego: nie chciałem kompromitować kolegów,
szkodzić towarzyszom. Obijałem się, uciekałem z domu, nie mo-
głem znieść widoku głodnych dzieci. Po kilku miesiącach jednak
udało mi się gdzieś zahaczyć. Tam pracowałem do września 1939
roku.

— Długo — przerwał Szpakowaty.

— Wy też tak uważacie?

— Jak to też? — odparł.

— Znacie majora „Ryżego”? — Wukop nie spojrzał nawet na
Szpakowatego. — „Ryży” to taki pułkownik z baczkami, nie
wiem, jak on się nazywa w rzeczywistości, ale ja go tak przezw-
iałem. Otóż „Ryży” twierdzi, że tę robotę dostałem dlatego, że
wtedy, gdy poszedłem do defy zażądać wyjaśnień, miałem rzekomo
napisać odezwę, w której potępiłem partię, jej program i dzia-
łalność.

W celi zapanowała cisza. Szpakowaty siedział nieruchomo,
wpatrzony w twarz Wukopa. Widział zarys czaszki, owal znie-
kształcony w perspektywnym skrócie. Wukop objął ramionami
kolana, które z wysokości łóżka wyglądały, jakby zawisły nad
podłogą, pozbawione oparcia.

— Późnym latem 1937 roku zjawiła się w Warszawie taka
odezwa, napisana przez prowokatora — rzekł oschle Szpakowaty.
— Pamiętam.

— Ja nie miałem nic wspólnego z podobną odezwą.

— Kto to dziś wie?

— Autorstwo tej odezwy można przypisać każdemu.

Szpakowaty siedział w dalszym ciągu nieruchomo. Ten z dołu
wbiał w niego spojrzenie nieustępliwe, twarde. Powiedział:

— Gdyby wam przypisano autorstwo tej odezwy, nie mieli-
byście nic na swą obronę.

Szpakowaty chciał odpowiedzieć, ale milczał w dalszym ciągu. Zdawało mu się, że każde jego słowo poczytywane być może za próbę obrony. Nagle poczuł całą swoją bezbronność: co będzie, jeśli jutro „Ryży” postawi jemu ten zarzut, podobny w gruncie rzeczy do tego, jaki mu stawiał, twierdząc, że w 1935 roku wrócił z Moskwy do Warszawy, ponieważ pomógł mu w tym prowokator Leński? A jeśli ten człowiek siedzący na sienniku jest rzeczywiście autorem haniebnej odezwy, szkalującej partię? Szpakowaty przemierzył niespokojnie celę. Wukop siedział ciągle z opuszczoną głową.

— Nie wierzycie mi? — przerwał milczenie Wukop.

— Czy bardzo wam zależy na tym, aby właśnie mnie przekonać, że nie byliście autorem tej odezwy?

Wukop odparł po chwili:

— Chciałbym każdego przekonać o tym.

— Dlaczego? Boicie się?

— Tak — szepnął.

— Więc może dlatego kłamiecie?

— Boję się i nie kłamię. Bardzo się boję. — Wukop mówił ciągle szeptem.

— A wtedy?

— Co: wtedy? — Wukop wstał z trudem z siennika.

— Trzydziestego kwietnia.

— Trzydziestego kwietnia? — powtórzył. — To dla nich nieważne. Oni się tym nie interesują. Oni o tym w ogóle nie mówią.

— Oni? O kim wy właściwie mówicie: oni?

— „Ryży”, ci wszyscy ludzie nieznani mi z nazwiska — to „oni”. — Umilkł, po czym dodał: — Ale ja pamiętam. Tego ja nie zapomnę. — Nagle podniósł głos: — Dlaczego mnie nie sądzą za rzeczywisty błąd, dlaczego chcą mnie sądzić za winę niepopelnioną?

— Uspokójcie się. Krzykiem niewiele zrobicie. Kto krzyczy, niekoniecznie musi mieć rację.

— Tak — szepnął Wukop. — Może macie słuszność. I tak nie wyjaśnię wszystkiego.

Po kilku dniach uporczywego milczenia Wukop zaczął znów opowiadać o swym życiu. Szpakowaty chłonał tę opowieść, która powoli, dzień za dniem odsłaniała jakiś nowy, nieznany obszar, pełen gmatwaniny, zawiłych spraw. Szpakowaty nie spuszczał oczu z oblicza Wukopa, zaintrygowany, podniecony. Chwilami zdawało mu się, że wbrew woli, mimo swej niechęci odkrywa jakieś luźne

miejsca, dziury, przez które mógłby się przedrzeć z łatwością, by sięgnąć i uchwycić watek, złożony ze zmyślenia, fantazji, kłamstwa, drobnego oszustwa. Chciał to uczynić raz i drugi, już czuł satysfakcję, radosne podniecenie człowieka, który chwytą kogoś w momencie, gdy tamten dopuszcza się niecnego, haniebnego czynu, lecz w ostatniej chwili pusta przestrzeń wypełniała się zniechęcającą nieoczekiwaną treścią, przerażającą, potworną prawdą, od której niesposób uciec. Nie chcę być sędzią — mawiał wówczas w duchu — nie chcę. Byś sam nie był sądzony? — podpowiadał sobie myśl przekorną, pełną goryczy. — Ja się nie boję sądu — odpowiadał niewidzialnemu przeciwnikowi.

A ten? — Spojrzał na Wukopa. Znów leżał na sienniku twarzą odwrócony do ściany, milczący. Jaką tajemnicę ukrywa w sercu, w głowie pokrytej siwym włosem? Ma zaledwie czterdzieści pięć lat i jest zupełnie siwy — pomyślał Szpakowaty. — Jakże musiał mieć przeżycia, które go zrujnowały i ostrym rylcem przeorały twarz?

Szpakowaty źle sypiał w dalszym ciągu. Proszki zalecone mu przez lekarza przyniosły początkowo ulgę, z czasem przestały jednak działać. Znów pojawił się ucisk w głowie. Nocą wiercił się na posłaniu, wzdychał, jęczał. Dopiero nad ranem zapadał w dręczący widziadłami i majakami sen.

— We wrześniu 1939 roku — podjął Wukop któregoś dnia swe opowiadanie — opuściłem Warszawę. Miasto stało się dla mnie niebezpieczne, znało mnie tutaj mnóstwo ludzi. Żyda, właściciela piekarni na Stawkach, zamordowali w biały dzień, na ulicy, piekarnię zamknęli, potem znów ją otworzyli. Poszedłem na Białystok, tam spotkałem znajomych, towarzyszy, którzy mi oświadczyli, że nie mam nic do szukania na terenach, gdzie władzę sprawują robotnicy i chłopci.

— Ta odezwa? — mruknął Szpakowaty.

— Dlaczego pytacie? Gdybym napisał kiedykolwiek taką odezwę, nie poszedłbym tam, gdzie przebywali towarzysze szkolowanej rzekomo przeze mnie partii. Dlaczego tego nie rozumiecie?

— A więc znów trzydziesty kwiecień?

— Tak.

— I co?

— Towarzysze nie chcieli mnie widzieć.

— Mówili wam o tym?

— Mówili.

— I co radzili?

— Abym wrócił.

— I wróciście?

— A co miałem robić? Wróciłem, mimo iż wiedziałem, że

każdy mały szpik może mnie wydać, sygnąć. Szedłem zatem wraz z innymi ludźmi, nieznanymi. Byli tam jacyś kombinatorzy, przemysłowcy, faceci, którym się nie podobały porządki sowieckie i woleli porządek ustanowiony przez Hitlera. Pod wieczór natknęliśmy się na posterunek radziecki, który nas zatrzymał. Zapadał zmierzch, dął ostry, mroźny wiatr. W oddali, za rzeką, stali hitlerowcy. Wracałem tam po to, aby się ukryć... Jeszcze w drodze postanowiłem, że natychmiast po skontaktowaniu się z żoną opuszczę Warszawę, aby się zadekować. Tymczasem jeden z sowieckich żołnierzy, młody chłopiec, zaczął mówić o Polsce w sposób, który mi się wydawał obelżywy. Wszyscy Polacy zdaniem młokosa, byli odpowiedzialni za to, co Piłsudski robił w 1920 roku, kiedy ja miałem trzynaście lat. Wszyscy Polacy byli odpowiedzialni za to, co Piłsudski robił po 1926 roku, kiedy ja już byłem członkiem KZMP i szedłem do więzienia z rozkazu tegoż Piłsudskiego, ponieważ występowałem w obronie Związku Radzieckiego. „Polska była drańska i pańska” — mówił ów żołnierz chętnie. Wówczas zapytałem go, czy czytał pracę Lenina o zagadnieniach narodowościowych.

— A ty skąd wiesz o tym? — zapytał żołnierz.

— Jak to „skąd”? Czytałem.

— W Polsce?

— W więzieniu.

— A ciebie za co trzymali w więzieniu?

— Za robotę komunistyczną.

Wszystkich puszczono, widziałem, jak przeszli most, udając się ku posterunkom hitlerowskim, a mnie zatrzymano. — Wukop zamilkł, twarz mu poszarzała jeszcze bardziej. — Odesłano mnie do Brześcia, do twierdzy. Siedziałem tam, aż się zjawili hitlerowcy. — Znow zapanaowała cisza. Szpakowaty zapytał półgłosem:

— Dlaczego nie mówicie?

— Nie bardzo wiem, jak wam to wyjaśnić, ale wydawało mi się bardzo dziwne, że zamknięto mnie, gdy wyszło na jaw, że byłem komunistą. — Urwał i wnet uzupełnił: — Polskim komunistą, więzionym przez burżuazję, o której ów żołnierz wyrażał się z taką pogardą.

— Mówiliście, że was trzymano aż do napaści hitlerowców na Związek Radziecki.

— Ja wiem, co mam sądzić o hitlerowcach. Wypuścili mnie z twierdzy, bo mnie tam zastali jako więźnia władz radzieckich, ale następnego dnia zamknęli mnie jako Polaka. Już byłem w drodze do domu, gdy mnie zatrzymali i zawlekli do Białej Podlaskiej. Nie byłem zresztą sam. Oni zbierali po drogach, po szosach, na

ulicach ludzi przybyłych tu z dalekich stron i wieźli ich do prowizorycznego obozu. W czasie transportu wypisywaliśmy na skrawkach papieru nasze nazwiska i adresy, te kartki wyrzucaliśmy nieznacznie, licząc na to, że któraś z nich jednak dotrze do bliskich nam ludzi. I tak rzeczywiście się stało. Dowiedziałem się o skuteczności tej korespondencji owego dnia, gdy u wartownika, który strzegł naszego obozu, zjawiła się moja żona. Gdy okazała dokumenty oraz zaświadczenia, że jestem jej mężem i pochodzę z Warszawy kazano jej zaczekać.

Była niedziela, przebywaliśmy wraz z innymi rodzinami w przepelnionym baraku. Podobno przyrzeczono zwolnienie tych osób, które mogły się wykazać, że mają rodzinę i dom, jednak z powodu niedzieli nie było komendanta, który mógł zdecydować o losie zatrzymanych. I ta niedziela zaważyła fatalnie na moim losie. W ciągu dnia, kiedy to wyczekiwaliśmy pojawienia się dowódcy czy szefa, rozmawialiśmy o różnych sprawach, o minionych przeżyciach: przecież nie widziałem żony dwa lata. W poniedziałek zwolniono rzeczywiście tych więźniów, na których czekał ktoś z rodziny, a w kilka dni później, już po powrocie do Warszawy, przeczytałem w gazecie, wydawanej przez hitlerowców w języku polskim, korespondencję. W korespondencji tej, pochodzącej z Białej Podlaskiej, wychwalano wielkoduszność hitlerowców, którzy przywrócili wolność Polakom, więzionym przez władze sowieckie. Ten elaborat podpisany był moim imieniem i nazwiskiem...

W celi było już ciemno i Szpakowaty nie wiedział, czy Wukop specjalnie wybrał nocną godzinę, aby nie widać było jego twarzy, czy też przypadek zrządził, że ostatnie słowa opowieści rozlegały się w mroku. Zapanowała cisza. Jak nikłe echo wdarł się przez mury i zamknięte okno daleki stukot pędzącego tramwaju. Mury powtórzyły echem dudnienie, które urwało się nagle, jakby zduszone olbrzymią falą ciszy, płynącą z przestworzy nocy.

Wukop zasnął. Szpakowaty przewracał się z boku na bok, niespokojny. Bolała go głowa. Usiadł, znów się położył. Oddychał z trudem. Przez chwilę było mu lżej, lecz niebawem wrócił ostry ból, który — biegnąc od lewego barku poprzez serce — drążył ciało nieustającym cierpieniem.

— Wukop!

Szpakowaty dzwignął się i nasłuchiwał. Tamten spał, więc zawołał ponownie:

— Wukop!

Zaszeleściła słoma, na ciemnej ścianie ujrzał zarys postaci w białiznie.

- Co się stało? — zapytał wystraszony.
- Nic, nic. Powiedźcie mi — Szpakowaty zniżył głos — czy byliście członkiem partii?
- Członkiem partii? — powtórzył ten na ziemi. Jego głos drżał. — Dlaczego pytacie?
- Chcę wiedzieć.
- Po wojnie nie byłem w partii.
- Szpakowaty położył się.
- Czuliście się winnym...
- Nie, skądże! — W głosie Wukopa wyczuł lęk. — Skądże!
- Co wam wpadło na myśl?!
- A więc chcieliście zniknąć, utonąć, żeby o was zapomniano.
- Nie, nie! — Jego szept był gorący, stłumiony. — Ja nie miałem się czego bać. Ja nie napisałem tej korespondencji...
- Szpakowaty leżał z zamkniętymi oczami i nie słuchał tego, co mówił Wukop. Głos człowieka siedzącego na sienniku dobiegał go z niezmiernej dali, jak przez gruby mur, który tłumi dźwięk, zniekształca słowo. Wiedział, że ten na podłodze coś mówi, lecz nie rozumiał słów. Gdy zapanowała cisza, Szpakowaty zapytał:
- Nie ciągnęło was do partii? Nie ciągnęło was po wojnie do roboty?
- Ciągnęło, chciałem, żeby towarzysze wybaczyli ten trzydziesty kwiecień...
- A ta antyradziecka odezwa z 1937 roku? — przerwał mu Szpakowaty.
- O tym, że ja byłem rzekomo autorem tej odezwy, dowiedziałem się dopiero w 1950 roku, w „piekiełku”.
- Gdzie?
- W „piekiełku”. Nie znacie „piekiełka”?
- Nie wiem, co to jest.
- Cela w podziemiach więzienia, daleko od miasta, gdzieś na odludziu.
- Nie wiem — szepnął Szpakowaty. — Nic nie wiem.
- Rok temu „Ryży” oświadczył mi w „piekiełku”, że ja napisałem tę odezwę.
- A ta korespondencja z Brześcia?
- Przechowałem tę gazetę przez całą wojnę, a 18 stycznia, w dzień po wyzwoleniu Warszawy, poszedłem do towarzyszy, których znałem z roboty partyjnej i którzy weszli do miasta z wojskiem, i pokazałem im tę gazetę...
- Wy pokazaliście gazetę towarzyszom? — przerwał Szpakowaty.
- W dniu 18 stycznia pokazałem im tę gazetę i zapytałem, co mam robić.

Szpakowaty wypatrywał w mroku, ale nie zdołał dostrzec rysów twarzy. Tamten siedział oparty o ścianę z głową zwróconą ku górze.

— Towarzysze powiedzieli mi, że do partii nie mogę wstąpić, a w pięć lat później, w 1950 roku, urosłem do roli wroga klasy i narodu. „Ryży” zarzuca mi, że napisałem tę korespondencję z 1941 roku oraz tamtą odezwę z 1937 roku.

— Jakże ma dowody?

— Istnienie tych dwóch druków.

— Dlaczego „Ryży” nie przypisuje mnie autorstwa tych dokumentów, tylko wam?

Wukop wstał. Szpakowaty widział teraz postać w białym opartą o ścianę. U stóp Wukopa, jak czeluść, czernił się koc. Nie odrywając rąk od ściany Wukop zapytał:

— Czy wszystko, co „Ryży” wam zarzuca, jest prawdziwe?

— Nie wiecie, co mi zarzuca.

— Nie wiem. Ale wy powinniście wiedzieć, czy wszystko, co wam zarzuca, jest poparte dowodami.

— Nie wiem.

— Więc kto ma rozstrzygnąć? — Głos Wukopa stał się surowy, nieustępliwy. Powtórzył głucho: — Kto?

— Sąd.

— Nie, nie! — Wukop oderwał się nagłym ruchem od ściany.

— Nie! Nie! Żaden sąd niczego nie rozstrzygnie... Ja już rozstrzygnąłem.

Zapanowała straszliwa, dźwięcząca cisza. Szpakowaty wpił palce w koc: bał się krzyku, głosu, chciał, aby ta cisza trwała długo, najdłużej. Była znośniejsza od wszelkiego dźwięku, słowa.

— Ja się przyznałem.

Wukop dyszał ciężko. Stał ciągle oparty o ścianę; jego korpus podany naprzód zdawał się chwiać, groził upadkiem.

— Ja się przyznałem — powtórzył głucho. — Ja się przyznałem. Podpisywałem wszystko, wszystko. Żaden sąd już niczego nie rozstrzygnie.

Wukop mówił coraz ciszej, jego głos zamierał, nikł. Nagle przypadł do łóżka Szpakowatego. Jego oddech był świszczący, urywany:

— Słuchajcie, ja nie wiem, o co was oskarżają, nie wiem, czego od was chcą, ale jeśli jesteście komunistą i potępiać mnie, to potępcie również tamtych. — Szpakowaty ujrzał w mroku uniesione ramię, zwrócone ku drzwiom celi. — Potępcie również tamtych! Jeżeli ja przyniosłem partii szkodę, to oni przynoszą większą. To nie są komuniści...

— Nie wy będziecie o tym orzekali — odparł twardo Szpakowaty.

— Nawet jeśli jestem niewinny?

— Dla mnie jest również ważny trzydziesty kwietnia...

— Jeszcze?

— Ciągle!

— A tamte...

— Przyznaliście się. Sami powiedzieliście.

Wukop pochylił się. Szpakowaty ujrzał blisko ciemny kształt głowy, oczy błyszczące w mroku. Wukop szeptał:

— Staliście dziesięć dni w karczerze nago, bez jedzenia, bez powietrza, robiąc pod siebie i tonąc we własnym gównie? Własny kał przeżerał wam skórę, mięśnie, ścięgną aż po nagą, gnijącą kość? Byliście kiedyś bici, kopani? — Zaczepnął powietrza i ciągnął dalej: — Ja może jestem winny, może. Przypuśćmy, że wasze podejrzenia wobec mnie mają jakiś cień racji, ale tamci to nie komuniści. — Wukop dławił się, dusił własnymi słowami.

— Wy nie macie prawa nas sądzić.

— Nie byliście w „piekielku”.

— Byłem.

— Mówiliście dziś w nocy, żeście tam nie byli.

— Byłem, ale nie wiedziałem, że to się tak nazywa.

— Ile tam było cel?

— Dziesięć. Pięć po obu stronach korytarza.

— I nie bili was?

— Nie.

Wukop cofnął ręce. Powiedział głucho:

— Przyznaliście się bez bicia.

— Nie.

— Więc was nie bili... — Mówił z namysłem, niepewnie. Zamilkł. Po chwili dodał:

— A więc ja kłamię?

— Może.

— Nigdy nie słyszeliście krzyku?

— Słyszałem.

— To może ja krzyczałem?

— Nie wiem.

Wukop znów zbliżył twarz do twarzy Szpakowatego.

— Nie wiecie — powiedział złowrogo. — Nie wiecie, bo nie chcecie wiedzieć. A potem jest to. — Ramieniem zakreślił w mroku szeroki ruch. — Wolicie milczeć, bo wam się zdaje, że więzienie kompromituje ideę.

— Nie wy będziecie prawili morały na ten temat.

— Bo mam za sobą trzydziesty kwietnia?

- Dlatego też.
- To sądzicie! Sądźcie za trzydziesty kwietnia, za wrzesień warszawski w 1935 roku, za czerwiec w Brześciu 1941 roku. A mnie wolno ocenić bestialstwo i domagać się sądu.
- Wolno.
- Ale wy nie chcecie tego uznać. Bo tak każe ślepa dyscyplina.
- Tam, gdzie jest ślepotą, kończy się dyscyplina, tam wszystko się kończy.
- Więc może nareszcie powiecie, kto krzyczał w „piekiełku”?
- Szpakowaty milczał ukryty w ciemności.
- Siedziałem kiedyś na taborecie — ciągnął dalej Wukop.
- Na jednej nóżce odwróconego taboretu.
- Znam — szepnął Szpakowaty.
- Znam, lecz mimo to twierdzicie, że nic nie wiecie. I nie macie nazwy dla tego bestialstwa!
- Nie mam.
- Już go i tak nie powstrzymacie! Nigdy! Ono nas zaleje, utopi, zdławi. Bestialstwo nie zna granic, różnic. Nie rozstrzyga winny czy niewinny. Dlatego jest bestialstwem...

Obudził się w mrocznej celi, w której stało kilka łóżek. Było tu cicho i pachniało z lekka apteką, ziołami. Szpakowaty przymknął oczy, chciał sobie przypomnieć, jak to się stało, że znalazł się w celi tak obszernej, kiedy tu przybył i dlaczego. W głowie czuł zamęt, nie pamiętał nic. Chwilami zdawało mu się, że w tym miejscu, gdzie spoczywa głowa, łóżko przechyla się powoli, powoli i wówczas wpijał palce w siennik, lękając się, że runie na kamienną podłogę. W takich chwilach sufit tkwił nad nim ukośnie, blisko oczu; chciał wyprostować ramię, by dotknąć ręką płaszczyzny, lecz nie umiał tego uczynić. Innym razem zdawało mu się, że słyszy dochodzący z dala nikły, stłumiony śpiew. Była to pieśń usłyszana po raz pierwszy. Nucili ją dzieci, które szły rażno. Innym razem ujrzał blisko czyjąś twarz. Kobieta ubrana była w białe fartuch, pochylała się nad nim i wtedy widział jej spokojne oczy, o wyrazie ociężałym, zmęczonym. Kobieta dotknęła jego ręki, czoła, nasłuchiwała bicia serca. Lekka pajęczyna włosów muskała wtedy jego czoło, policzek.

— Kim pani jest? — szepnął.

Tamta nie słyszała jego głosu i to go zmartwiło. Słyszał doskonale każde swoje słowo. Przecież mówił tak wyraźnie, głośno, tymczasem nieznaną kobietą nie zwracała na niego uwagi. Powtórzył:

— Kim pani jest?

Odeszła, nie odezawszy się ani słowem. Chciał krzyknąć za nią, zawołać, lecz jej już nie było. Ale kobieta przychodziła coraz częściej. Już wiedział, że nie jest zjawą senną. Widział, jak się poruszała, odczytywał w jej oczach zaniepokojenie.

— Kim pani jest?

— Lekarką.

Zaprzeczył ruchem głowy.

— Tak — powiedziała głośno i uśmiechnęła się. — Jestem lekarką.

Szpakowaty odpowiedział uśmiechem.

— To chyba nie jest prawda — szepnął. — Tu był lekarz. Znałem go, byłem u niego.

— Tego lekarza już nie ma.

— Ach tak! Miał mi zbadać ciśnienie krwi.

— Kiedy to było?

— Nie pamiętam, może rok temu, może półtora roku temu.

Lekarka uśmiechnęła się.

— Chce pan, żeby tamten lekarz wrócił?

— Nie! — odparł przerażony. — Nie! Dlaczego miałby wrócić?

— Niech się pan nie niepokoi. Panu potrzebny spokój.

— Czy ja tu zostanę?

— Na razie tak. Tu jest izba chorych.

— Więc jestem chory?

— Pan b y ł chory.

— Kiedy będę mógł wstać?

— Musi pan leżeć. Długo. Będą panu podawali lód. Musi go pan trzymać na głowie.

— Ach, tak.

— Chciałam panu powiedzieć, że nie będzie pan sam.

— Dlaczego?

— Mam jeszcze jednego chorego, którego muszę tu umieścić.

— Proszę.

— Ale musi pan zachować spokój, całkowity spokój.

— To jest trudne.

— Ja wiem. Ale proszę o to. Musi pan zachować spokój.

Nazajutrz przybył jakiś chory, a w dwa dni później następny, lecz żaden z nich nie przebywał długo w tej celi zamienionej na izbę chorych. Ludzie ci byli po jakichś zabiegach, niewielkich operacjach. Wystarczył im kilkudniowy pobyt tutaj, pod opieką lekarki, aby mogli wrócić do swych zbiorowych cel. Pobyt w izbie chorych wywoływał ich gniew: byli podnieceni, skorzy do kłótni. W celach, w których przebywali od lat, mieli swoje zajęcia, naukę,

bliskich, do których się przywiązali. Bez nich trudno im było radzić sobie z czasem.

Przez izbę chorych przewijali się różni ludzie; przeważnie milczeli, ukrywając swoje tajemnice przed obcymi. Więźniowie, spotykający się tutaj, nie znali się i to sprawiło, że nie było wśród chorych takich, którzy by skorzy byli do wynurzeń. Kogóż wreszcie mogły interesować losy człowieka nieznanego, który przybył tu na tydzień lub dwa, po czym znikał na długie lata w którejs z cel pawilonu, wraz ze swym utrapieniem, zgryzotą i klęską?

Szpakowaty nikogo o nic nie pytał. Leżał spokojnie na swoim łóżku, przyglądając się w milczeniu temu korowodowi ludzi. Niektórzy z nich, skazani na dłuższy pobyt w izbie chorych, przerywali czasem milczenie, zwracając się do któregoś z obecnych z jakimś zgoła nieobowiązującym pytaniem.

Szpakowaty, przebywający tu najdłużej, udzielał informacji o trybie urzędowania lekarki, o tym, kiedy przychodzi, jak często zmienia opatrunki. Był to zazwyczaj wstęp do rozmowy, która początkowo toczyła się opornie. Wystarczyło jakieś nic nie znaczące słówko, sformułowanie na pozór niewinne, aby rozmowa się urywała. Wtedy zapadało milczenie, trapiące wszystkich ciężarem, i nikt nie był skory do przerwania ciszy, w której drzemały nie dające się przewidzieć ani przeczuć spięcia i konflikty.

Tak było, gdy w izbie chorych zjawił się były starosta sanacyjny, który kiedyś, przed laty, urzędował w jednym z miast Kielecczyny. Był to obecnie człowiek wystraszony, godny politowania, trzęsący się. Swego czasu biernie wykonywał rozkazy, ani nazbyt gorliwy, ani nazbyt rozsądny. Wolał jeździć na polowania, grać w karty, a nade wszystko strzec żony, która — jak mówił — była urocza, pojętna i miała powodzenie.

Szpakowaty przyglądał się mu, nie bardzo rozumiejąc tych ludzi, którzy wywlekli byłego starostę z jakiegoś biura, gdzie pracował, aby mu przypomnieć, jaki urząd sprawował przed wojną. Miasto, w którym kiedyś sprawował władzę, tonęło w brudzie i smrodzie, ale teraz — mówił z przekąsem — jest jeszcze brudniejsze...

Innym okazem był administrator jakiegoś majątku, człowiek niemłody, który w czasie okupacji przenocował w zabudowaniach dworskich oddział NSZ, choć innym razem znalazły u niego schronienie oddziały AL-u, jakaś radziecka grupa partyzancka.

— Panie — mówił — czy ja ich miałem legitymować?

Szpakowaty przyglądał się tym ludziom niezdolny pojąć, czego od nich chcą, po co trzymają ich przez długie miesiące i lata, bez śledztwa, bez rozprawy sądowej. Zaczął drażnić, pytać, nieustępliwie, surowo. Po wielu dniach wychodziło na jaw, że zarówno były

starosta, jak i były administrator, mieli wśród swoich znajomych, jeszcze z okresu studiów czy nawet z ławy szkolnej, takich, którzy w późniejszych latach uczestniczyli w ruchu rewolucyjnym. Wydobycie tych znajomości z dna pamięci zaciążyło na ich sprawach, na ich losie. Oficerowie śledczy domagali się wyjaśnień dotyczących tamtych ludzi, pragnęli wiedzieć, gdzie byli, co robili. Na próżno! Były starosta od trzydziestu lat nie utrzymywał żadnego kontaktu ze swymi dawnymi kolegami. Były administrator od dwudziestu kilku. Mimo to owe znajomości, na które powołał się nieopatrzenie, stały się punktem wyjściowym dla podejrzeń, insynuacji, konfliktów.

— Panie! — mówił były starosta. — Ja nawet nie pamiętam o istnieniu tego człowieka. Dopiero gdy miałem odpowiadać za wszystko, co sanacja wyczyniała, wyłowiłem z przeszłości wspomnienia, fakty, ludzi, na których mógłbym się powołać i oprzeć. Pomyślałem sobie, że mnie uratuje koleżeństwo z komunistą, no i wsiąknęłam.

Przez izbę chorych przewijali się byli sanatorzy, ludzie z delegatury rządu londyńskiego, katolicy, komuniści, AK-owcy, Żydzi. W tym stanie rzeczy trudno było uniknąć dyskusji, która wybuchła gwałtownie, zniechęca, wiedzona początkowo ukradkiem, od niechcenia, przy użyciu słów cierpkich i gorzkich. Pod ich powierzchnią wzbierała tajona, tłumiona wrogość, gotowa wybuchnąć każdej chwili. Przez jakiś czas uczucia te wyładowywały się w jakimś pojedynczym, zgryźliwym, ostrym słowie, potem padało słowo bardziej dosadne, takie, które oświeślało całą sytuację jak nagły błysk reflektora.

Szpakowatego nie drażniła dyskusja. Denerwowało go i niecierpliwiło milczenie, przerywane kąśliwą uwagą, zjadliwym docinkiem, wielogodzinnym duszeniem w sobie odpowiedzi, która musiała być gwałtowna i ostra. Odwlekał ten moment, sam przeciągał strunę milczenia, gdy mu się zdawało, że wraz z ciszą pęknie mu serce. Stawał do starcia z zajadłym i zaciekłym przeciwnikiem politycznym, sam będąc więźniem władzy i ustroju, którego bronił.

Tamci atakowali władzę i rząd, który ich osadził w więzieniu. Nie ukrywali swej wrogości, uzasadniając ją doświadczeniem osobistym, własnym losem, losem klasy, z której się wywodzili. Używali słów gorzkich i ostrych, ujawniali wrogość, zwykłą klasową wrogość.

Szpakowaty milczał, tamci obserwowali go, wyczuwając w nim oponenta. Gdy milczenie się przedłużało, cofali się pełni obaw, ukrywając swoje myśli, poglądy, pragnienia. Nie na długo. Nieraz przybywali tacy, którzy znali Szpakowatego z nazwiska, słyszeli o jego działalności, pamiętali, jaką rolę odgrywał w partii, w ruchu

robotniczym. Przypominali mu to dyskretnie, nie chcąc drażnić. Chcieli go raczej pozyskać, usłyszeć słowo poparcia, aluzję dogadującą ich myślom, zamiarom. Szpakowaty siłąc się na spokój, podejmował rozmowę, która już po chwili ujawniała wzajemną wrogość, nieprzejednaną i ostrą.

— Co wy tu gadacie! — mówił jeden z nich usiadłszy na łóżku. — Co wy tu gadacie! Jakie racje ludzkie, moralne, społeczne, wysuwacie w obronie rządu, który was, starego działacza, komunistę, trzyma w więzieniu?

— Nie wysuwam żadnych racji. Zaszła po prostu omyłka.

Tamten wybuchnął krótkim śmiechem.

— Tak nie mówi działacz, polityk. Ja rozumiem, że mnie trzymają, ale dlaczego uwięzili was?

— Tłumaczę wam: to pomyłka.

— Pomyłka może być popełniona w stosunku do wroga, nieznajomego, obcego, można wadliwie lub wręcz fałszywie określić stopień przewinienia, wagę przestępstwa, ale nie można popełniać omyłek w stosunku do towarzysza partyjnego.

— Historia uczy, że to możliwe.

— Czy chcecie, żebym ja dalej rozwinął tę myśl? — zapytał sarkastycznie członek delegatury rządu. Był to mężczyzna o twarzy morsa, z siwym, obwisłym wąsem. Zza szkieł błysnęły przebiegłe oczka.

— A róbcie sobie, co chcecie!

— Robiłbym, ale wiem, że nie będę odpowiadał za to, co robię, tylko za to, co się komu wydaje potrzebne.

— Nie rozumiem — rzekł Szpakowaty.

— Nie wierzę wam. Gdy mówię o czymś, na co nie możecie znaleźć odpowiedzi, wówczas powiadacie, że nie rozumiecie.

— Ja naprawdę nie rozumiem — zapewniał Szpakowaty swego oponenta.

— Moja znajomość z czasów uniwersyteckich z jednym z obecnych przywódców ma zaważyć na wyroku przeciwko niemu.

— To też polega na pomyłce.

— Dziwna jest wasza interpretacja faktów, bardzo dziwna. Czasami wydaje mi się, że to ja hołduję metodzie marksistowskiej, a nie wy. Tam, gdzie potrzebna analiza polityczna, wy mówicie o pomyłkach albo, co brzmi jeszcze śmieszniej, wdajecie się w analizę psychologiczną. To, co wy nazywacie pomyłką, ja nazywam po prostu fałszerstwem.

— Nie umiem tego rozstrzygnąć. Nie znam tej sprawy.

— A swoją znacie?

— Chyba tak.

— Chyba. — Członek delegatury rządu mówił powoli, do-

bitnie. — Chyba, chyba... Ostrożni jesteście, bardzo ostrożni. Zawsze się zaopatrzycie w takie zastrzeżenie, które potem, w dialektycznym procesie ocenicie zapewne jako dalekowzroczność...

— Dalekowzroczność? — przerwał mu Szpakowaty.

— A jak to nazwiecie? Ostrożnością?

— Nie zabawiam się w odnajdywanie nazw. Mnie interesuje zagadnienie, jego słuszność lub niesłuszność.

— Więc dlaczego was trzymają? Odpowiedzcie. Oto problem — powiedzcie teraz, jaki on jest: słuszny czy niesłuszny?

— Ja jestem nieważny.

— Nie powiem wam, co chciałem powiedzieć przedtem. Nie chcę was obrażać. Ale to, co powiedzieliście, jest przeciwne naturze ludzkiej. To ohydne, aby człowiek sam siebie kładł jak nawóz pod orkę historii.

— Ja tego też nie robię.

— Robicie. Nawet nie zdajecie sobie sprawy z tego, co robicie. Jesteście w tym kraju, z tą swoją postawą, albo desperatami, albo Don Kichotami.

— Wysoko nas cenicie.

— Nie jestem idiotą, który uważa, że sprawa socjalizmu w Polsce, to kwestia importu niepotrzebnego artykułu.

— Ho, ho!

— Nie kpijcie, nie kpijcie. Wasza obecność za kratą, świadczy o pewnej nieprawidłowości, żeby to delikatnie określić.

— Czy to znaczy, że wasza obecność tutaj — zapytał Szpakowaty ubawiony — odpowiada pewnej prawidłowości?

— To nie żadna prawidłowość. Taki stan, który sprawia, że komunista i jego przeciwnik przebywają w jednej celi, jest absurdem!

— Ale chyba nie za to samo przewinienie?

— A jeśli nawet tak jest, to co z tego? Oskarżyciel jest ten sam.

— To nas nie zrównuje w naszych ideach i dążeniach.

— Nie. Dopóki jeszcze w ogóle potrafimy dążyć do czegośkolwiek.

— Przecież tłumaczę wam, że to omyłka.

— Czy w moim wypadku również?

— Może też.

— A jeśli nie? — Delegat rządu urwał. Spojrzawszy szelmowsko na Szpakowatego zapytał: — Moglibyście mnie sądzić?

— Zapytajcie siebie, co zrobilibyście ze mną, gdybym był waszym więźniem.

— Nie umiem na to odpowiedzieć.

— A ja umiem — odparł Szpakowaty. — Za caratu byłem na zesłaniu, w okresie dwudziestolecia przesiedziałem siedem lat...

— A teraz? — przerwał mu delegat.

Szpakowaty nie odpowiedział. Delegat dodał:

— Już wam powiedziałem, że w tym kraju komuniści mogą być albo desperatami, albo Don Kichotami.

— Nie będę zwalczał waszej teorii — powiedział Szpakowaty. — Jest tak samo bzdurna jak wiele innych teorii. Pożyjemy, zobaczymy.

— Bardzo bym chciał żyć, długo żyć.

— Życzę wam tego z całego serca. Zobaczycie, jaki ten kraj będzie. Zobaczycie.

— Jakoś nie podajecie terminu — zaśmiał się członek delegatury rządu — już prawie tak jak szef śledztwa, który mi nie może powiedzieć, kiedy zakończy śledztwo i kiedy stanę przed sądem.

Pewnego dnia lekarka stwierdziła, że Szpakowaty jest już zdrow. Powiedziała mu z uśmiechem:

— Pożegnamy się. Wypiszę pana i po uzyskaniu zgody administracji zostanie pan przeniesiony.

— Dobrze, bardzo dobrze. Dziękuję pani, pani doktor.

— Ale to jeszcze potrwa trochę — powiedziała lekarka.

Od kilku dni leżał w izbie chorych Aron Szklarz, Żyd, stary komunista, z zawodu blacharz, urodzony w Biłgoraju, tamże przeszkolony w tak zwanej szkole życia. Szklarz od dwóch lat przebywał w innym skrzydle pawilonu. Aron był komunistą od najmłodszych lat, znanym w mieście i okolicy, wielokrotnie aresztowanym, kopanym i bitym.

Aron Szklarz rozpoczął swój życiorys zgodnie z nigdzie nie pisanim, lecz powszechnie stosowanym przykazaniem. Powoli jednak Szpakowaty spostrzegł, że to nie jest życiorys jednostki, lecz całej warstwy, grupy społecznie określonej, nie pozbawionej pewnych odrębności narodowych, przyzwyczajęń, nawyków.

Były w tym opowiadaniu rzeczy zaskakujące, dziwne, urzekające swą obcością, naiwnością. W opowieściach Szklarza widać było wyraźnie piętno swoistych jakichś rysów, wywołujących dobrotliwy uśmiech wyrozumiałości i akceptacji. Szpakowaty znał Żydów, rzadko jednak spotykał się z proletariatem małomiasteczkowym, tym, który tkwił na peryferiach ruchu. Ci ludzie mówili po polsku z chłopską, stali właściwie na pograniczu typowych zajęć wiejskich i rzemiosła, które w sposób bezpośredni zaspokajało potrzeby wsi, małego osiedla, gromady. Inni byli Żydzi-robotnicy, których znał z pracy w ruchu rewolucyjnym. Urodzeni

w Warszawie, Łodzi, Zagłębiu Dąbrowskim, nie wnosili z sobą do ruchu żadnych odrębności ani nawyków. Pamiętał kłopoty MOPR-owe niektórych miast, gdy więźniowie Żydzi, nie przyzwyczajeni do smalcu wieprzowego, nie mogli przez długi czas korzystać w pełni z wałówek. Kłopotów tych nie było ani w Warszawie, ani w Łodzi, ani w Katowicach lub Sosnowcu. Ale pamiętał również i inne wydarzenia. Kiedyś w rozmowie ze Szklarzem wspominał o nich. Otóż na wiecach bundowskich i poalej-syjonistycznych występowali w roku 1919 z ramienia KPRP dwaj robotnicy, Polacy: Korus i Kronberg, wychowani na Pawiej i Dzikiej. Ci rdzenni Polacy przemawiali do robotników żydowskich po żydowsku. Nikomu nie wpadło na myśl, że to nie są Żydzi...

Szklarz z kolei opowiadał:

— „Aron, dlaczego ty nie wyjeżdżasz?” — pytali mnie Polacy, towarzysze z mojej komórki. — „Cokolwiek się stanie, od razu ciebie ciągną, wyjeżdż!” — „Dokąd ja pojedę?” — odpowiadałem im. — „Mnie tu nędza przywiązała i ani rusz pojechać dalej nie mogę. — „Dlaczego inni mogli?” — pytali towarzysze i przytaczali nazwiska ludzi, którzy opuścili miasteczko w różnych okresach czasu. — „Wyjechali” — odpowiadałem im — „i co? Nędza została ta sama. Nie pojedę”. — „Aron, oni będą cię zamykać”. — „Mnie będą zamykać wszędzie, gdzie nie ma socjalizmu”. — Ale przyszedł wrzesień 1939 roku i musiałem porzucić dom, bliskich, narzeczoną, towarzyszkę Ruchlę, działaczkę młodzieżową, i poszedłem do Białegostoku. Niebawem jednak wróciłem, by zabrać swoich, i ciemną nocą, pod koniec października, ruszyliśmy całą gromadą. Przybyliśmy do Białegostoku szczęśliwie. Dorośli dostali pracę, zorganizowałem ich w grupę, która pracowała na kolei. Wszyscy byliśmy młodzi, zdrowi. Zostałem tragarzem kolejowym. Dopiero później, gdy znaleźliśmy się w głębi Związku Radzieckiego, w dalekiej Samarkandzie, w kołchozie, przestałem być tragarzem, najzwyczajniej dlatego, że tam nie było kolei, ani dworców, ani ładunków. W ten sposób wróciłem do mego dawnego zawodu. Nazywam się Szklarz, ale jestem blacharzem. I przydał się ten blacharz w kołchozie. Pracowałem, dobrze się nam żyło. Towarzyszka Ruchla zaawansowała z narzeczonej na żonę i żeby nie być wyjątkiem urodziła mi dziecko.

Ale muszę się cofnąć wstecz. Do mojej Ruchli, gdy jeszcze była narzeczoną, przystawiał się inny towarzysz partyjny, wiecie, jak to w życiu bywa. Był to poważny człowiek, sekretarz naszej komórki, ale towarzyszką Ruchlę wołała mnie. Otóż ten towarzysz Antoni znalazł się razem z nami w Białymstoku, a gdy się dowiedział, że chcemy się pobrać, strasznie się rozgniewał i powiedział

w złości: „Pożałujecie tego”. I na tym się skończyło. Na pogróżki nie zwracałem uwagi, przecież byliśmy członkami jednej partii i naszym celem była rewolucja socjalna w Polsce i na całym świecie.

— A ten Antoni? — przerwał Szpakowaty — to nie Żyd?

— Polak rdzenny z dziada pradziada. Ale to nieważne, bo — jak wam wiadomo — towarzyszu, my, komuniści, nie oceniamy wartości człowieka według przynależności narodowej.

— I wyobraźcie sobie, towarzyszka Ruchła obecna moja żona, miała brata, Joska, który był członkiem grupy młodzieżowej, ale Jasek po 1937 roku, pamiętacie, po procesach, przeszedł do trockistów. Wiecie, jak to było z trockizmem. Jak ktoś mówił, że nie wierzy, żeby Bucharin, Radek, Zinowiew byli agentami imperia-
lizmu, to od razu nazywano takiego trockistą. Jasek uważał, że coś tam nie jest w porządku, więc niech sobie uważa. Rewolucji światowej nie może przynieść szkody to, że Jasek — krawiec z Biłgoraja, inaczej ocenia działalność niektórych polityków, wywodzących się z międzynarodowego ruchu proletariackiego. Ja sam, a także moja Ruchła, jako karni członkowie partii nie mieliśmy politycznie nic wspólnego z oceną Joska. Byliśmy nadal członkami partii i służyliśmy jej wiernie aż do rozwiązania, a po rozwiązaniu nie stanęliśmy ani razu po stronie tych, którzy składowali Związek Radziecki.

W tym stanie rzeczy znaleźliśmy się na terenie Związku Radzieckiego. Jak wam już powiedziałem, wszyscy nasi pracowali, żyliśmy nieźle, Związek Radziecki uratował nas od zagłady. Gdy wyrwaliśmy się z Białegostoku, jakoś się ta cała rodzina rozbiła: ja z Ruchłą znaleźliśmy się w Samarkandzie, inni gdzie indziej, a Jasek gdzieś przepadł i do dnia dzisiejszego nie mamy o nim żadnej wieści. Wojna się szczęśliwie skończyła i faszyzm został rozbity w jego gnieździe, wróciliśmy więc w 1946 roku jako repatrianci. Ale nie do Biłgoraja. Nasz transport skierowano do Szczecina, tam otrzymałem robotę, znów na kolei. Człowiek się przywiązał do szyn, do ruchu, wiecie, jak jest. Z początku pracowałem jako tragarz, a później w moim zawodzie, jako blacharz.

Zgłosiłem się do partii. Poszedłem do niej jako wierny jej członek, miałem do tego prawo. Powiedziałem sobie: ty, Aron Szklarz, jak tyś mógł być bity i kopany za należenie do partii, kiedy była nielegalna, to tobie wypada, abyś był przy niej, gdy za to nie biją i nie kopią. Bo, proszę was, jak się skończyła nędza, która mnie kiedyś przywiązała do Biłgoraja, to powinienem być oddać wszystkie moje siły partii, która tę nędzę zwalczała. Tak sobie myślałem. Wstąpiłem również do związku zawodowego kolejarzy, bo taki jest obowiązek świadomego członka partii, aby

należał również do swojej organizacji związkowej. Pracowałem, aż któregoś dnia, wyobraźcie sobie, już nawet nie pamiętam, u kogo się narodził ten pomysł, zaproponowano mi, abym ja, Aron Szklarz, blacharz z Biłgoraja, tragarz z Białegostoku, kołchoźnik z Samarkandy — objął odcinek kolei w Szczecinie. Rozumiecie taką mądrość? Radziłem się Ruchli co robić, pytałem znajomych, towarzyszy, ale nikt nie umiał poradzić. Wtedy zwołałem zebranie wszystkich blacharzy, ilu ich było, i powiedziałem im takie słowa:

— Towarzysze i koledzy blacharze. Mnie chcą zrobić naczelnikiem odcinka, mam ja to wziąć, czy nie wziąć? Bierz, Szklarz, jak dają! — krzyknęli. — A pomożecie mi? — zapytałem jak przystało na świadomego robotnika. Koledzy krzyknęli jak jeden: — Pomożemy! — Odpowiedziałem im: — Towarzysze, dziś nie te czasy, że jak mówią: „bierz!”, to ja powinienem powiedzieć: „daj!” Obcy ci nie daje, to wspólna własność i nic sobie brać nie możesz, bo to nie twoje. Wszystko należy do ludu pracującego. Ale jeżeli mówicie, że pomożecie, to pamiętajcie: dajecie proletariackie słowo i nie Aronowi Szklarzowi przyrzekacie, tylko sobie, bohaterskiej klasie robotniczej. — Weź, Szklarz, pomożemy. — To było w 1948 roku i po roku ten odcinek, dzięki naszej pracy, z gorszego zrobił się lepszy i dostaliśmy sztandar przechodni. Nie lipny, tylko za prawdziwe osiągnięcia, wszyscy to widzieli. A na zjeździe dyrekcji zostałem wyróżniony, gratulowano mi. Bo musicie wiedzieć, że przedtem był na tym odcinku inżynier, ale ten sobie nie radził. A tu przychodzi Aron Szklarz i było dobrze. Bo nie rozumieli, nie wiedzieli, że jak się ludzie wspólnie przyłożą do roboty, to mogą zrobić wszystko. I tamten inżynier by robił to samo, albo jeszcze lepiej, lecz cóż z tego, skoro nie potrafił pozyskać sobie ludzi. O tym, jak tam było, mówił mi tu niedawno jeden kolejarz, który siedział ze mną w celi. On tam jeździł, to on wie, jak było na różnych odcinkach. Niedawno przypomniał mi, jak tam było w Szczecinie.

— To znajomy wasz? — przerwał znenacka Szpakowaty — ten kolejarz?

— Nie, gdzie tam. Tu go poznałem. On siedzi za to, że jakiejś kobiecie powiedział, jak na jakiejś stacji ubowcy „zdjęli” z pociągu jej męża.

Szpakowaty zaniemówił. Ostatnim wysiłkiem woli opanował wzburzenie.

— Gdzie to było?

— Co?

— To zdejmowanie z pociągu.

— Zdaje się w Katowicach.

— I ta kobieta też z Katowic?

— Nie, ona mieszkała w Warszawie i jej mąż też był z Warszawy.

— I co wam jeszcze mówił?

Szklarz spojrział na Szpakowatego.

— Co was tak interesuje ten kolejarz? Kobieta go pytała, więc powiedział. Czy to znów taka ważna tajemnica?

— Nie, nie, oczywiście, to nie żadna tajemnica.

— No więc, jedźmy dalej. Minął jeszcze jeden rok... — Szklarz zauważył, że Szpakowaty myślą jest nieobecny, więc urwał i zapytał: — Mam dalej mówić?

— Tak, tak, towarzyszu, mówcie, a jakże.

— Więc minął jeszcze jeden rok i nasz odcinek otrzymał pierwsze miejsce w skali krajowej. Dyrekcja zachodziła w głowę, ludzie nie mogli zrozumieć, jak to się stało. A to było całkiem zwyczajnie: wszyscy nasi ludzie uważali, że ten odcinek jest nasz, wspólny, że jak dali słowo proletariackie, to je trzeba dotrzymać. I wszystko było dobrze. Od nas wychodziły najlepsze remonty, najtańsze, wzrosła wydajność w skali krajowej, nasze naprawy trwały krótko. A w rok później, na zjeździe ogólnopolskim, po gratulacjach powiedziałem: „Towarzysze i koledzy, za rok, jeśli przyjadę to nasz odcinek będzie najlepszy, albo w ogóle nic z tego nie wyjdzie”. — I po roku znów dostaliśmy nagrodę i te de.

A o moim towarzyszu Antonim z Biłgoraja wiedziałem, że po wojnie repatriował się także, wrócił do miasta rodzinnego i tam pracował. Znów został sekretarzem organizacji partyjnej, tym razem partii działającej legalnie. I ja może bym wrócił do Biłgoraja, gdyby nie to, że hitlerowcy wszystkich Żydów wymordowali, wyrznęli. Nie chciało mi się wrócić do tak smutnego miejsca z żoną i dziećmi. Bo już mieliśmy dwoje. I oto tak się zdarzyło, że w jednej z ankiet, nawet nie wiem w której, bo było ich bardzo wiele — ale to nieważne — a we wszystkich pisałem prawdę, powołałem się na dawnych towarzyszy i wspominałem również towarzysza Antoniego. Bo co w tym złego, że ludzie się znali od tylu lat? Urodzili się w tym samym domu, razem pracowali, razem się narażali, obydwóm podobała się jedna i ta sama idea... Więc wspominałem, że znam go od tylu to a tylu lat. I był spokój.

Widocznie Antoni zapytany o mnie napisał, że mnie zna. I wiecie, co napisał? Że byłem przed wojną trockistą.

— Niemożliwe — przerwał mu Szpakowaty.

— A dlaczego właściwie? — Aron siedział oparty o ścianę i uśmiechał się ironicznie. — Na jakiej podstawie twierdzicie, że to niemożliwe?

— To w każdym razie podłe.

— Nie wiem, mnie nazwa nie obchodzi. Bo i cóż z tego, że

ja się zgodzę na tę waszą nazwę albo wy na moją? Jest takie żydowskie przysłowie: ta sama Jenta, tylko inaczej ubrana.

— Nie rozumiem.

— Nieszczęście jest nieszczęściem, obojętne, czy wynika z połości, nienawiści czy głupoty.

— Słucham was dalej.

— Po tamtej opinii wezwano mnie do KW, do komisji kontroli partyjnej i zaczęto pytać, żeby wy badać, czy byłem trockistą, czy nim nie byłem. Szukałem ludzi, dowodów, przytaczałem nazwiska osób, które mogłyby poświadczyć, że nigdy nie odstępowałem od partii, że nawet po jej rozwiązaniu pozostałem jej wierny. Antoni chodził do rodziny Ruchli, rozmawiał z jej bratem, Joskiem, on wie, jak było — tak oświadczyłem członkom komisji. Niech tylko prawdę powie, to cała rzecz się wyjaśni.

— A wy skąd wiecie, że o Antoniego chodzi? — zapytali zdziwieni członkowie komisji. — Co wam na myśl wpadło?

Wtedy ja im powiadam:

— Jak to co mi wpadło na myśl? On nam się odgrażał jeszcze w Białymstoku...

Powolałem w związku z tym kilku świadków, członków partii żyjących po dziś dzień, między innymi pierwszego sekretarza KW, pochodzącego z Biłgoraja, którego znam od dzieciństwa. I uciszyło się. Zdawało się, że sprawa przebrzmiała. Człowiek miał swoje kłopoty, pracę zawodową, partyjną, w domu również nie było lekko, jak to w życiu bywa. I w końcu jednak, nieoczekiwanie, aresztowano mnie. Kpili ze mnie, bili mnie i drwili i to bardziej bolało niż bicie. Czytali mój życiorys, w którym było o tym, jak się piałem, jak ze zwykłego blacharza w małym miasteczku, dzięki ofiarnej pracy i pomocy dobrych towarzyszy, doszedłem wreszcie do czegoś w życiu... A wiecie, jak to wszystko teraz sobie wytłumaczyli? Że się dobrze maskowałem! Oszczędność, przodujące miejsce, szybka robota odcinka, zespołowa praca — to wszystko osiągnąłem dzięki maskowaniu się. Wróg się maskuje — chcieli mnie przekonać, inaczej wyłapałibyśmy wszystkich. Tylko dzięki temu może działać całymi latami. Mnie podawali jako przykład.

— Towarzysze — tłumaczyłem im. — Jaki ja jestem wróg? Mnie nędza i głód biły od dzieciństwa, mnie bili w defie, partia o mnie wszystko wie, jaki ze mnie wróg?

— Musi istnieć wróg i wróg musi działać. Ty jesteś wróg.

— Dlaczego ja? Może rzeczywiście istnieje wróg, ale dlaczego ja nim jestem?

— Byłeś trockistą!

— Nigdy nie miałem nic wspólnego z trockizmem.

— Są tacy, którzy dobrze pamiętają.

— To mi ich pokażcie.
— Ech, ty bestio przekłeta. Dać ci świadków? A sam nie pchałeś się wszędzie, żeby szpiegować?
— Gdzie ja się pchałem?
— Obsługiwałeś zebrania partyjne u lekarzy?
— Obsługiwałem.
— A po co tam chodziłeś?
— KW mnie posyłał.
— KW? Ty przecież nie umiesz mówić po polsku, żydowska mordo!

— Spytajcie towarzyszy z KW, po co mnie posyłał. Ja wiem, że źle mówię po polsku i ja nie chciałem obsługiwać tej organizacji. Zapytajcie towarzyszy z KW.

— A bo to oni lepsi od ciebie? Oni wiedzieli, kogo posyłać do tych pierdolonych inteligentów.

— Towarzysze — powiadam — tam rzeczywiście się śmieli z mojej polszczyzny i mieli rację.

— Śmieli się?

— Tak.

— Ale tyś na to nie zważał. Musiałeś tam być. Wszędzie musiałeś być. U lekarzy, na zjazdach dyrekcji, w Warszawie.

— Nie, nie musiałem.

— Musiałeś. Szpieg musi być wszędzie i wróg musi działać w masach. — Szklarz odsapnął, po chwili mówił dalej:

— Następnie znalazłem się w „piekiełku”, lecz nawet i tam nie chciałem się przyznać. Nie mogłem się przyznać.

— Czego chcieli jeszcze? — zapytał Szpakowaty. Siedział na łożku. Pod przymkniętymi powiekami miał obraz tamtych cel.

— Żądali ode mnie ordynarnie, abym się zadeklarował jako trockista, inaczej świata nie zobaczę. A ja ciągle im wyjaśniałem, jakie jest tło sprawy — że to zemsta, bo Ruchla kochała mnie, a nie Antoniego. Dawałem nowych świadków i nawet nie wiem, czy ich przesłuchiwali. — Nam potrzebna polityka — mówili — ty nam nie pieprz historii o miłości. My musimy mieć trockistów, pojmujesz, a nie romanse!

Zwróciwszy się do Szpakowatego Szklarz powiedział:

— Słuchajcie, wy jesteście stary towarzysz, byliście kiedyś członkiem KC, powiedzcie mi, po co im był potrzebny ten mój trockizm?

— Dokładnie wam nie powiem, wiem tylko, że na Węgrzech oskarżają niektórych członków z kierownictwa o zdradę i trockizm.

— Przecież ja nie jestem członkiem kierownictwa...

— Ale potrzebni są trockiści. Widocznie i u nas montuje się taki proces.

— Nie rozumiem. A jeśli na Węgrzech byli trockiści, czy to znaczy, że i u nas muszą być?

— Cóż ja wiem? Nie mam gazet od bardzo wielu miesięcy, od lat.

— A może to historia przeciwko Żydom — członkom partii? — pytał Szklarz.

— Ja nie jestem Żydem a siedzę z wami w jednej celi.

— Tak, ale...

— Co ale? Może podejrzewacie tych ludzi o antysemityzm?

— Ja nie podejrzewam. Ja bym się bał rzucić takie podejrzenie na członka partii. Skądżeby się wzięli w szeregach robotniczej partii antysemitów? Przecież to niemożliwe!

— Słusznie uważacie. I jak się skończyła ta wasza sprawa? — indagował Szpakowaty.

— W czasie jednego z takich przesłuchań, wiecie, na piętrze „piekiełka”, oficer śledczy, zdenerwowany tym, że odmawiam przyznania się do trockizmu, zwymyślał mnie od skurwysynów i dał w twarz. Złapałem taboret, który stał odwrócony nóżką do góry, żebym na niej usiadł, i taborem huknąłem tego oficera. Ten się wywrócił, taboret się rozleciał.

Aron zamilkł. Rozmowa wyczerpała go, był blady. Skulił się i przykrył kocem. Szpakowaty nie pytał więcej. Chciał sobie przypomnieć twarz konduktora, który stał u wyjścia wagonu, gdy wraz z dwoma pracownikami urzędu bezpieczeństwa opuszczał peron, ale w żaden sposób nie potrafił wywołać z pamięci rysów tego człowieka. Aron poruszył się i rzekł:

— Potem zabrali mnie z „piekiełka” i przenieśli tutaj. Wątrobę mi leczą. Pewnie, że tu lepiej niż w „piekiełku”, ale ciągle jeszcze wzywają i żądają, aby podpisać protokół. Ale ja żadnego nie podpiszę.

— Dlaczego? — spytał Szpakowaty bezwiednie.

— Jak to dlaczego? Ja kłamstwa nie podpiszę. Mnie tak uczyli w partii, że wobec towarzyszy nie należy posługiwać się kłamstwem.

Aron opowiadał dalsze szczegóły swego życia, mające zaświadczyć, że kłamstwo nie popłaca ani w życiu osobistym, ani społecznym. Mówił głosem beznamietnym, zachowując powolny tok, tak powolny, że aż denerwujący. To pewnie dlatego — rozważał Szpakowaty — że pochodzi z małego miasteczka, gdzie wszystko było pierwszoplanowe, nie umie więc odróżnić rzeczy ważnych od mniej ważnych. Lecz mimo to słuchał go uważnie. Było w opowieściach Arona coś, co urzekało i zmuszało do zastanowienia. Szpakowaty spostrzegł dopiero po dość długim czasie, że odnajduje swoisty smak tych historyjek, dykteryjek, przypowieści, anegdot, w których

ożywała mądrość o cechach nie spotykanych już, zachowanych jedynie w środowiskach małomiasteczkowych. Wy tłumaczenie przyczyn tego stanu wydawało mu się teraz nieistotne, nieważne. Szpakowaty posiadał dostateczną wiedzę, by przeanalizować i odkryć źródła zacofania, dziwactw, graniczących z zabobonem. Spotkanie z tymi przejawami wydawało mu się zabawne. Mnóstwo powiedzeń, określeń, porównań, opowiestek radowało go.

Mądrość i wiedzę o życiu Szpakowaty czerpał od wielu lat z książek, czasopism, dzieł specjalistycznych, rzadko z bezpośredniego zbliżenia z ludźmi, różnymi ludźmi, odmiennymi nie tyle poglądami, ile charakterami, usposobieniem, reakcjami uczuciowymi. Olbrzymie rzesze ludzkie, masy pracujące, klasa robotnicza, chłopstwo — wszystkie te pojęcia zaczęły z biegiem czasu odnosić się do grup o określonej świadomości, zróżnicowanej psychice, lecz o jednakowych poglądach politycznych, identycznych dążeniach klasowych, ujętych w formuły klasyków, w nie dające się zbić tezy. Kolejność partyjnych zjazdów i konferencji określała nie tylko bieżące zadania polityczne, taktyczne, lecz również postępujący wzrost świadomości ludzkiej. W pracach naukowych, w cyfrach, w wykazach, w zestawieniach statystycznych mieściło się wszystko: dane o stanie zatrudnienia i bezrobociu, dochodzie narodowym i rabunkowej gospodarce kapitalistycznej, cyfry śmiertelności i zachorowań, określenie roli kapitału finansowego i wzrostu dochodów koncernów. W ramach tych wykazów układało się życie olbrzymich ludzkich rzesz, wyzbyte osobistych, indywidualnych cech, dążeń, pragnień, marzeń. Rozumowanie Szpakowatego uwzględniało entuzjazm mas w dążeniu do rewolucji społecznej, ale ani przez chwilę nie czuł rozgoryczenia ludzi, ich żalu i smutku, gdy reakcja, nie przebiegając w środkach, tłumiła krwawo każdy wolnościowy ruch. Po klęsce, po odpływie fali, gdy szeregi cofały się unosząc rannych, potrafił w odpowiedniej chwili wznieść okrzyk: „Zawrzyć, towarzysze, ciaśniej szeregi!” — ale nie dostrzegał wśród tłumu tych, którzy stracili najbliższych i szli obok z obliczem pełnym bólu i cierpienia. Nie widział jednostek.

Obecnie, gdy do końca dobiegały relacje Arona odnoszące się do ostatnich miesięcy, a ich miejsce zajęła opowieść o dalszych latach, Szpakowatego dręczyć zaczęły powoli utrapienia, których początkowo nie umiał określić. Słuchając opowieści Szklarza, Szpakowaty coraz częściej spoglądał z nietajoną niechęcią na współtowarzysza.

— Ja wiem, kim jesteście — powiedział Szklarz — i dlatego mówię. Gdyby tu był z nami ten sanacyjny starosta albo ten londyński pułkownik, to ja bym o tych rzeczach nie mówił.

— Nie rozumiem, towarzyszu Szklarz — odparł Szpakowaty mimo iż dobrze wiedział, o co mu chodzi.

— Ja bym nie chciał, aby nasi wrogowie się cieszyli z tego, co ja mówię.

— Ciągłe nie rozumiem.

— Ja powiem wam o rzeczach, o których powinniście wiedzieć jako komunista, jako były członek KC. Ale tamci nie muszą o tym wiedzieć, bo śmieliby się z nas.

— Tajemnica partyjna?

— Żadna tajemnica. Wszyscy o tym wiedzą, tylko partia, zdaje się, nie wie.

— O czym mówicie?

— O nędzy, o głodzie, o bezprawiu.

— Bezprawie? Co wy nazywacie bezprawiem?

— Trzymanie ludzi za mordę.

— Nic o tym nie wiem.

— Nie wiecie — Szklarz pokiwał głową smętnie. — Wierzę wam. Na pewno nie wiecie. Gdybyście wiedzieli i mimo to robili to, co robi partia, to ja bym znalazł inną nazwę dla takich rzeczy. Rzecz w tym, że partia zawodzi.

— Nie pozwolę!

Szklarz spojrział zdumiony na Szpakowatego.

— Możecie nie pozwolić. Ale tu nie zamkniecie mi drzwi, tak jak to robią w bardzo wielu zakładach pracy, aby zatrzymać ludzi na zebraniu.

— Nikt nie dał nikomu takiego uprawnienia.

— Wy o tym nie wiecie, wam to niepotrzebne. Ale KW tak kazał i KD tak kazał, a organizacje partyjne wykonywały.

— Po co?

— Po co? — powtórzył Szklarz. — Po to, żeby szerzyć rozgoryczenie.

— To nie jest program działania partii.

— Ale takie były wyniki.

— Szkalujecie partię.

— Możliwe. Ale wy mi nie dajecie przeciwwargumentu. Masy są rozgoryczone.

— Nie macie rozeznania.

Szklarz zerwał się z łóżka.

— Wy go nie macie! Wy u góry! Was od trzech lat trzymają i nawet nie wiecie za co!

Szpakowaty nie odparł nic. Słuchał w milczeniu słów, od których chciał uciec.

— Mogą was trzymać jeszcze całymi latami. Już ja tu siedzę dwa lata bez sprawy.

— Wolę siedzieć dziesięć lat bez sprawy, aniżeli dwa lata z wyroku sądowego Polski Ludowej.

— A ja wybieram te dwa lata, ale z wyroku! Dziesięć lat, ale z wyroku! Ja chcę wiedzieć, jako komunista, jako członek partii, czym zaszkodziłem partii, sprawie, klasie robotniczej, państwu! Zawiniłem, to sądźcie, jeśli jestem niewinny — wypuście!

Dlaczego on się buntuje? — rozważał Szpakowaty, a ja przyjmuję bezwzględnie każdy fakt i akceptuję w milczeniu każdy mijający miesiąc, każdy rok? Czyżbym się bardziej poczuwał do winy aniżeli ten robociarz, który przyszedł z warsztatu, bezpośrednio od ludzi i wie o Polsce więcej niż ja? Dlaczego ja niewiele wiem o zarobkach, o nędzy, o głodzie, o posunięciach graniczących ze zbrodnią, o działalności, która ośmiesza partię i naraża ją na szwank?

A jeśli Szklarz kłamie? Nie chciał go pytać, bał się słów, argumentacji, wiedzy życiowej Szklarza. Czuł, że domaganie się wyjaśnień wzmoże wrogość i gorycz. Który z nas jest tym głupcem lub kłamcą? — rozważał, nie mogąc długo w nocy zasnąć. Jeśli ten człowiek ma rację, wówczas wnioski, jakie wyciągnąłem z kłamliwych faktów, sfałszowanych cyfr, zniekształconych wiadomości, mogą być śmieszne i groźne zarazem. Czy za to przebywam w więzieniu? Czy za to mnie tu trzymają? — pytał siebie rozpaczliwie. — Więc dlaczego mi nie powiedzą tego, dlaczego nie rozprawiają się ze mną? W toku śledztwa ani razu nie wspomniano o sprawach, które mogłyby naprowadzić na wnioski tego rodzaju. Czyżbym padł ofiarą oskarżenia równie kłamliwego jak to, które sprawiło, że i Szklarza trzymają tutaj bez sądu? Nagle zaczął patrzeć na niego innymi oczyma. Zapytał:

— Słuchajcie, towarzyszu Szklarz, czy na wolności mówiliście również tak, jak mówicie tutaj ze mną?

Tamten się zachnął.

— Co wy? Ja tylko tutaj i tylko z wami mogę mówić tak swobodnie.

— Więc ukrywaliście przed partią to wszystko, o czym myśmy tu mówili?

— Ja nic nie ukrywałem. Partia nie chce wiedzieć.

— Mieliście obowiązek mówić.

— Do czasu. Tylko do czasu.

— Do jakiego czasu?

— Aż nie zaczęli zamykać za gadanie. Ja mam żonę i dwoje dzieci.

— To tchórzostwo.

— To się u nas nazywa dyscyplina partyjna.

— Kpicie!

— Z siebie trudno kpić. Partia kiedyś poniesie odpowiedzialność przed masami.

— Wy nie możecie o tym nic wiedzieć.

— Aha! Tylko wy, członek KC, może o tym wiedzieć... Wyście zjedli wszystkie rozumy... Ale obudzicie się kiedyś i nie zdążycie umyć zaropiałych oczu, zobaczycie.

— Mówicie jak wróg.

— Możecie ze mną nie mówić. Mogę milczeć. Nie będziecie słuchali i znowu wam się wyda, że wszystko jest w porządku. Można zastosować taką metodę i spać sobie spokojnie.

— Dajecie fałszywe światło.

— Nie. Spróbujcie za pięćset złotych zarobku kupić prawdziwy chleb, prawdziwe buty, prawdziwą koszulę na grzbiet...

— Jesteśmy biedni, mamy jeszcze sporo braków.

— Ja wiem o tym, wiem lepiej od was, jaka u nas bieda. Ale my tej biedy nie usuniemy, dopóki będziemy karmić masy kłamstwem. Dlatego są im potrzebni między innymi trockiści.

— Im? O kim wy właściwie mówicie? Kto to są oni?

— Zobaczycie, zobaczycie! Jeśli w tym kraju urządzi kiedyś jakiś proces, podobny do tego, o którym mówicie, że szykowali na Węgrzech, to za nędzę tego kraju będą winni trockiści, ja, Aron Szklarz, Jasek Rozen, i Szlama Lewenstein. Zauważcie, wszyscy oskarżeni mają żydowskie imiona i nazwiska.

— Ja nie mam żydowskiego imienia ani nazwiska a też siedzę w więzieniu, w jednej celi z wami.

— Żeby usprawiedliwić cudze zbrodnie.

— O tym nie możecie wiedzieć.

— Żeby na was zwalić czyjeś przestępstwo.

— O tym nie możecie wiedzieć! — Głos Szpakowatego rwał się, serce biło mu mocno. Tracił dech.

— Żeby skompromitować polskich komunistów.

— Dosyć!

Szpakowaty zwał się z łóżka i ruszył ku drzwiom. Szedł pośpiesznie, wyciągnawszy drżące ręce, wreszcie oparł się całym ciałem o futrynę. Oddychał z trudem. Wniósł ręce i zaczął nimi walić w drzwi rozpaczliwie, szybko, w popłochu. W judaszu ujrzał oko spoglądającego niemo.

— Czego? — rozległ się głos na korytarzu.

— Zabierzcie mnie stąd! Zabierzcie! Ja chcę do celi! Zabierzcie mnie z tego szpitala. Jestem zdrow!

Pobyt w izbie chorych przedłużał się. Przybyli jacyś nowi: więźniowie z wyrokami, ludzie pogodzeni z losem, i tacy, którzy

nie rezygnowali z walki o oczyszczenie nazwiska z fałszywego zarzutu, krzywdzącego aż po grób. Szklarz przeniósł się do kąta. Między nim a Szpakowatym stało kilka łóżek. Zajęli je chorzy, którzy znów wypełnili celę swoim oddechem, głosem, odorem ropiejących ran. Przynosili tu swoje choroby i rojenia, marzenia senne i widzenia zrodzone w malignie. Bredzili, szeptali, konali.

— Puśćcie mnie do celi!

Szpakowaty ponawiał to żądanie, podniecane ciągłymi zapewnieniami lekarki, że czeka tylko na zgodę administracji: dawno już złożyła odpowiedni wniosek, lecz jest bezsilna. Za każdym razem, gdy opuszczała celę, żegnała się z nim, wyrażając nadzieję, że za następną bytnością tutaj już go nie spotka.

— Bardzo bym tego pragnął — odpowiadał znużonym głosem, bez wiary w skuteczność zabiegów lekarki. Tracił panowanie nad sobą.

Od kilku dni leżał w izbie chorych człowiek konający i to go wytrąciło do reszty z równowagi.

Szpakowaty stał przy drzwiach, lecz już nie uderzał pięścią. Czekał, ciągle czekał na szefa, który się nie zjawiał, natomiast na prośby jego przychodziła lekarka. Była powolna, łagodna, matczyzna i bliska, z tą słodyczą w oczach, która mu przywracała spokój. Lekarka powtarzała swoje: właściwie został już wypisany, ale przeniesienie musi jeszcze uzgodnić z administracją. Minęło dalszych kilka dni, jęki konającego dobijały go, wreszcie stracił cierpliwość i znów zaczął walić w drzwi.

Szklarz leżał w odległym kącie i przyglądał się w milczeniu tej scenie. W jego oczach zapalił się ironiczny ogień. Uciekasz, bracie — pomyślał — uciekasz od jęku, ciasno ci tutaj i niewygodnie w tym smrodzie i zaduchu... Uciekasz od tego spotkania twarzą w twarz z ludźmi, ich marnym życiem, za które i ty ponosisz jakąś tam część winy.

A ja nie? — pomyślał Szklarz. — A ja, mały, nic nie znaczący człowiek, nie zajmujący żadnego miejsca w hierarchii partyjnej i państwowej, nie ponoszę żadnej winy za to, co się dzieje? Milczałem, gdy ludzie głodowali? Milczałem. Ja komunista, milczałem. Pomagałem tłumaczyć na opak. Wbrew rozsądkowi nie przeczyłem, że to, co jest ciemne, nie może być jasne, nawet w epoce budowy komunizmu. Tłumaczyłem. Byłem wielkim działaczem, operowałem cyframi, które wydrukowano w *Notatniku agitatora*, tymczasem każda kobiecina, której kazaliśmy utrzymywać dom, rodzinę, dzieci za pięćset, za osiemset złotych, wiedziała, że kłamie, że cyfry są nieprawdziwe. Była mądrzejsza ode mnie, nie przyjmowała kłamstwa. Ona pozostała głodna, ale ja byłem śmieszny. Czy człowiek ośmieszony może jeszcze być politykiem, czło-

wiekem liczącym na posłuch? Mniejsza o poważanie, głupstwo, ale posłuch, posłuch! Jak przeprowadzić masom, skoro ci, którzy przewodzą, nie mają posłuchu. Milczałem tchórzliwie, bo się bałem, a Szpakowaty milczał, bo nie wiedział, i ja mu wierzę, że nie wiedział. Mógł nie wiedzieć, oj, mógł nie wiedzieć. Jak nam kazali robić trzydzieści sztuk na miesiąc, według planu, a robiliśmy tylko osiemnaście, bo na tyle nas stać, na tyle dawali nam surowca, to co? To nasze sprawozdanie podawało, że wykonaliśmy tych trzydzieści sztuk, zaplanowanych gdzieś daleko, bez naszej wiedzy i bez naszej zgody. A jeżeli podobnie było w węglu, stali, zbożu, cukrze, w hutach i pegeerach, to w końcu na czym, na jakich rzeczywistych cyfrach, na jakich sprawdzalnych zasobach budowaliśmy dobrobyt w tym kraju? Mnie nie oszukają w generalnej dyrekcji, bo jak oni mówią, że przekroczyli plan, to ja wiem, że ta cyfra przekroczonego planu opiera się na takich samych jak nasze, to znaczy na danych wyssanych z palca. No, to jak zrobić ten porządek? Z kim? Każdy się boi, każdy ma żonę, dzieci. Ale ja nie jestem „każdy”. Ja jestem stary komunista, członek partii, i moim obowiązkiem jest walczyć do upadłego. Tak mnie uczyli i taki mój obowiązek. Ale jak go wypełnić, jeżeli taki sam stary komunista obcina mi ręce i nogi fałszywym oskarżeniem i to tylko dlatego, że Ruchla kochała mnie, a nie jego. Możliwe, że jego kiedyś potępia, powiedzą o nim, że jest złym człowiekiem, ale czy on jest w ogóle jeszcze komunistą? Jeżeli się okazał człowiekiem małego ducha, czy można go jeszcze nazywać komunistą? Bo komunista to przecież nie tylko człowiek, który broni interesów klasy robotniczej, dąży do rewolucji i dyktatury proletariatu. Czy człowiek o takich dążeniach może być jednocześnie gadem, który czyha na czyjeś życie i poniewiera czyjeś dobre imię?

A ja? Czy ja nie robiłem nigdy żadnej podłości, żadnego świństwa? Jakie mam prawo sądzić Antoniego? To, że on mnie skrzywdził? Czy to znaczy, że nie każdy ma prawo sądzić Antoniego za jego postępek? A gdyby Antoni skrzywdził Szpakowatego, a nie mnie, czy ja nie miałbym tego prawa? Myślę, że miałbym, nie dlatego, że mnie je dała jakaś instancja albo władza, ale dlatego, że w partii powinien panować duch wspólnoty, jedności. I nie tylko w sprawach zasadniczych, ale również w sprawach moralności. Przecież mówimy, że istnieje moralność proletariacka...

Szklarz spojrział ku Szpakowatemu: leżał na łóżku z przymkniętymi oczyma, lecz widać było, że nie śpi. Na jego twarzy nie było spokoju.

Duch jedności — rozważył Szklarz dalej — ale za jaką cenę? Jeżeli rozmowę między towarzyszami o sprawach partii uważać

można za szkalowanie partii, lub jeśli po latach czyjeś słowo lub zdanie nazwie się trockizmem, to co wtedy? Powiesz o kimś „trockista” i człowiek gotów. Albo powiesz o kimś „szpieg” i już wędruje do więzienia.

Konający człowiek, który od kilku dni zabierał Szpakowatemu resztki spokoju, jęczał i bredził. Z otwartych ust toczył się bełkot niepojęty dla nikogo — bulgot tonącego człowieka. Umierający miał twarz podłużną, bladą. Czarne, gęste włosy zstępowały niesforne na czoło, na policzki. W nocy zrywał się z łóżka i biegł ku niewidzialnym drzwiom, które w imaginacji chorego stały otworem, z widokiem na pola, lasy. Konający widział odsłonięty krajobraz i biegł ku niemu potępieńczo, szaleńczo, za każdym razem uderzając głową o mur. Odwracał się ku celi i wtedy widzieli jego czoło, a na nim czarne włosy zlepione śmiertelnym potem. Ta twarz była straszna.

Szpakowaty odwracał oczy z odrazą i rano znów wołał przez drzwi, aby wartownik zameldował go u szefa.

— Jestem zdrow! — krzyczał — zupełnie dobrze się czuję! Niepotrzebnie zajmuję łóżko.

Wartownik odpowiadał stereotypowo:

— Już zameldowałem, szef przyjdzie.

— Kiedy?

— Nie wiem. Sprawa jest służbowa.

Szef nie przychodził, przedłużała się udręka. Konający rzeził. Inny chory, przybyły tutaj niedawno, milczał uporczywie, wpatrzony bez przerwy w sufit mrocznej celi. Nic o nim nie wiedzieli, nie zamienił z nikim ani jednego słowa. Jego milczenie było zacięte, wreszcie przestali zwracać na niego uwagę. Po kilkunastu dniach, w nocy, gdy obowiązywał zakaz mówienia, tamten zaczął nagle opowiadać. Szept o nieznanym brzmieniu rozległ się w celi wypełnionej bełkotem konającego. Obcy głos przebijał się przez rzeżenie.

Szpakowaty słuchał tej opowieści ze ściśniętym sercem, wstrząśnięty. Człowiek milczący do tej pory był technikiem, synem górnika. Pochodził z Krakowa, tam pracował, był wieloletnim członkiem KPP, miał za sobą życie bogate w doświadczenia bojowe, posiadał głęboką wiedzę. Chory mówił początkowo oschle, zachowując ton obiektywnej relacji, jak wówczas, gdy się toczy opowieść o życiu układającym się warstwami, od daty do daty. Dopiero później zaczęło się drażnienie, przebijanie przez każdą warstwę oddzielnie. Były tam okresy łatwe i trudne, ciemne i gęste od spraw zawikłanych i tragicznych, były tam obszary, przez które

opowiadający kroczył jak piechur dobrze przygotowany do marszu. Temu człowiekowi zarzucano współpracę z defą.

Szpakowaty usiadł i wodził wzrokiem po łózkach. Nie widział twarzy, ale znał rysy ludzi słuchających w milczeniu. Spośród wszystkich twarzy przerażała jedna: twarz konającego. Wymykała się woli, opanowaniu, oczy płonęły w niej obłędem i przestraszeniem, wpatrzone w miraż, w nieniknące, otwarte drzwi, które nie istniały. Szpakowaty nie dowiedział się nigdy, dlaczego trzymano tego człowieka, jaka rzeczywista zbrodnia odebrała mu rozum, pozbawiła zmysłów, gnała ku murom, w których nie było wyjścia. W kącie leżał Szklarz oskarżony o trockizm, nieco bliżej technik z Krakowa, prawiący głęboko o pięknie, o literaturze, życiu, nauce. Już miał wyrok: dostał piętnaście lat za współpracę z defą, od czego się odżegnywał całą mocą swej wiary w możliwość wyjaśnienia tragicznej pomyłki. Wczoraj zajął w celi ostatnie wolne łóżko inżynier, były PPS-owiec, który wrócił do kraju z Londynu natychmiast po zakończeniu działań wojennych. Aresztowano go w noc sylwestrową, na przełomie lat 1948-49, gdy szedł na zabawę. Od czterech lat czekał na sformułowanie zarzutu. Na próżno! Nikt tego nie uczynił do tej pory.

Budził się dzień. Konający rzeził. Z kubła szedł gęsty smród. Szpakowatego drażniło spojrzenie Szklarza. Mimo woli spoglądał w jego stronę i chwycił to zimne, kpiące spojrzenie. Dziś zrobię porządek — pomyślał. — Muszę z tym skończyć, nie będą tu trzymali zdrowego. Lekarka nie pokazywała się od kilku dni, chorych wyprowadzano do ambulatorium, gdzie ich badano, zmieniano opatrunki. Wartownik zapytany, czy powiedział szefowi, iż Szpakowaty chce z nim mówić, odparł jak zwykle, że zameldował już. Na zapytanie, kiedy szef przyjdzie, warknął krótko:

— Nie wiem.

Szef śledztwa przybył nieco później. Szpakowaty, ujrawszy go, usiadł na łóżku wpatrując się w przybyłego wyczekująco. Tymczasem tamten nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi i ruszył ku łóżku, na którym leżał konający. Pochyliwszy się obserwował twarz umierającego: zakryły ją zlepione włosy. Szef odwrócił się i powiedział wartownikowi, by sprowadził fryzjera. W celi zapanowała cisza, wówczas Szpakowaty rzekł:

— Zgłaszam się do szefa i proszę, by mnie zabrano stąd. Już jestem zdrow.

— Więc czego chcecie?

— Chcę do celi.

— Proszę bardzo. Chętnie to uczynię, ale lekarka nie pozwala.

— Jak to? — zapytał Szpakowaty i nagle urwał. Czy miał powiedzieć, że wie od lekarki, iż czeka tylko na zgodę administra-

cji, by go stąd zabrano? Oni nie chcą, abym tam wrócił — pomyślał. — Oni chcą, abym tu zgnił w tym smrodzie lub postradał zmysły.

Nagle Szpakowaty usłyszał głos Szklarza:

— To nieprawda, że lekarka nie pozwala. Ona pozwala, tylko wy się nie zgadzacie. — Cisza była zupełna, Szklarz mówił dalej: — Lekarka uważa towarzysza Szpakowatego za zdrowego i już go wypisała.

— A wy? — zwrócił się szef do Szklarza.

— Co ja?

— A wy jesteście już zdrowsi?

— O tym lekarka decyduje, nie ja.

— Tak myślicie?

— O zdrowiu decyduje lekarz. Tak myślę.

Szpakowaty wtrącił:

— Nie wiem, co lekarka powie, ale ja tu, w tej ciemnicy nie będę. Czuję się dobrze. — Zwróciwszy się do Szklarza rzekł: Mnie wasza pomoc niepotrzebna. Poradzę sobie.

Zjawił się fryzjer, szef wskazał mu wzrokiem konającego i rozkazał:

— Ostrzyc.

Fryzjer zbliżył się do łóżka konającego, pochylił się i uniósł jedną ręką głowę. W drugiej ręce błysnęła maszynka. Zaczął strzyc. Głowa konającego przetaczała się w dłoni fryzjera bezwolnie, omdlewając. Szpakowaty zaniemówił. Szklarz odwrócił się do ściany. W ciszy, poprzez szczęk maszynki strzygącej włosy, rozlegał się bełkot. Wówczas inżynier, przebywający tu od niedawna, rzekł:

— Mogliście nam zaoszczędzić tego widoku. My mamy małe dolegliwości, niewielkie schorzenia. Tyle dni trzymacie człowieka konającego między ozdowieńcami...

Szef odwrócił głowę i wbił wzrok w inżyniera.

— Milczeć! Tu człowiek umiera! — I po chwili dodał: — Że też nie umiecie uszanować majestatu śmierci!

Fryzjer kończył szybko robotę. Zgarniał czarne, ostrzyżone włosy do rozwartej dłoni, po czym odemknął kubeł i wrzucił je do środka. Puszczona pokrywa opadła z hukiem. Przez izbę wionął upalny zaduch. Stanąwszy w drzwiach szef powiedział do Szpakowatego:

— Przeniosę was do innej celi.

A nieco później wezwano Szklarza do kancelarii. Już nie wrócił. Jeszcze tego samego dnia wartownik zabrał z celi jego buty, ręcznik i mydło.

Cela, w której znalazł się Szpakowaty, była widna, jasna, czysta. Po wielomiesięcznym pobycie w izbie chorych, wypełnionej wiecznie smrodem, jękiem, denerwującymi rozmowami, poczuł się nagle jak człowiek, który uzyskał nareszcie wymarzony urlop. Niebawem, pozostawiony sobie samemu, zaczął na nowo trapić się sprawami, które w zbiorowej celi nabierały mniejszej wagi. Wydawało mu się, że przeniesienie z izby chorych do tej widnej, obszernej celi jest oznaką triumfu, jaki odniósł w starciu z szefem śledztwa. Postanowił zatem w dalszym ciągu nalegać, przypominać.

Rozmyślał coraz częściej o Szklarzu, z którym się rozstał bez słowa. Obudziły się wyrzuty, które być może nie istniałyby, gdyby mu podał rękę na pożegnanie. Ale czy mógł wiedzieć, że wezwany do kancelarii, nie wróci więcej do izby chorych? Może Szklarz znów zobaczy owego kolejarza, który powiedział kilka lat temu Marii o tym, co zaszło na dworcu w Katowicach? Nie ulegało wątpliwości, że słowo nieopatrznie wypowiedziane przez Marię wówczas, gdy mu pozwolili zadzwonić do domu, sprawiło, że zamknięto niewinnego człowieka. Dopóki Szklarz przebywał w izbie chorych, dopóty Szpakowaty nie zastanawiał się, co chciałby przekazać kolejarzowi, gdyby go Szklarz ponownie spotkał. Obecnie, gdy okazja została zaprzepaszczone, Szpakowaty nie mógł sobie darować, że nie opowiedział Szklarzowi o tym wydarzeniu. Jak to naprawić, jak to wyjaśnić?

Wobec Szklarza czuł teraz coś, co nazwałby żalem; był przekonany, że szef zabrał go z celi bez zgody lekarki, dlatego tylko, że stanął w jego obronie. Miał więcej odwagi ode mnie — rozważał — zarzucił szefowi wręcz kłamstwo. Było bowiem rzeczą bezsporną, że lekarka informowała szefa o stanie zdrowia Szpakowatego i na pewno poleciła, aby go zabrano z izby, w której niepotrzebnie przebywał z chorymi. Jeszcze się łudził, że spotka kiedyś Szklarza i w przejściu szepnie mu, że czuje się wobec niego winny, więc przeprasza go i żałuje zarazem, iż z jego powodu spotkała go represja. Tymczasem Szpakowaty nie spotykał Szklarza, nie mógł spotkać nikogo. Ilekroć otwierano drzwi celi, aby go wypuścić na korytarz lub do ustępu, zapalały się jednocześnie na wszystkich piętrach czerwone światła ostrzegawcze, sygnalizujące wartownikom obecność więźnia poza celą: wtedy nie wypuszczali nikogo więcej... W tych warunkach spotkanie z kimkolwiek było wykluczone. Pytanie wartownika o los Szklarza pozbawione było sensu — nie odpowiadałby i tak. Szpakowaty dał więc spokój.

Teraz, gdy pozostawał sam, obudziła się z niezmogłą siłą tęsknota za domem. Zaczęły go niepokoić ciemne, budzące grozę przeczucia, że oto Piotr znów zachorował. Wyobrażał sobie, że nastąpiło to wówczas, gdy okrutny ból uciskał mu głowę i zda-

wało mu się, że czaszka pęknie. Widział z bliska bladego, wyczerpanego cierpieniem chłopca: przymknięte oczy rzucają niepokojąco głęboki cień na policzki. Jeszcze widzi go oddychającego, widzi wznoszącą się i opadającą klatkę piersiową, ale wie, że utajone, ukryte cierpienie, żadnym znamieniem zewnętrznym nie znaczone, trawi i niszczy mózg syna. Nagle słyszy rżenie, bełkot, taki sam, jak...

Szpakowaty miotał się po celi. Godzinami krążył po przekątnej aż do bólu w nogach, aż do zawrotu głowy. Znikąd nie ma pomocy — powtarzał w duchu. — Znikąd. Wszyscy zawiedli: towarzysze, przyjaciele, znajomi. Nikt poza nimi nie mógł mu pomóc. Wiedział, że mają wszędzie dostęp, nie muszą przewyżczać nadmiernych przeszkód, by dotrzeć bez narażenia się na zarzut ingerencji w nie swoje sprawy, do ludzi, którzy by mogli odpowiedzieć na pytanie, co się dzieje z byłym członkiem KC, starym towarzyszem, zasłużonym działaczem rewolucyjnym. Jeśli oni nie mogą tego uczynić, jeśli oni nie mogą nic wskórać, by śledztwo zakończyło szybciej — co to wszystko może znaczyć? Czy to, że się lękają, lub nie chcą pytać, że wolą się odsunąć od podejrzanego, zanim wyrok skazujący przypieczętuje ich ostrożność? Ale oni nie wiedzą — rozważał — nie wiedzą, że nie będzie żadnego wyroku, nawet sentencji wyroku. Oni nie wiedzą tego, co ja wiem! Czy nie dlatego trzymają mnie jeszcze? Oni nic nie wiedzą! Lecz jeśli mimo to potępilli mnie i odsunęli się ode mnie, Marii i Piotra?

Wszyscy wiedzieli więcej ode mnie — rozmyślał. — Wszyscy. Szklarz, technik z Krakowa, inżynier — wiedzieli więcej, każdy z tych ludzi wiedział wszystko, tylko ja jeden nie wiedziałem nic. Czy tylko ja jeden? — Nagle pojawił się, że nie o zwykłą ludzką wiedzę chodzi. Zawsze byli ludzie mniej i więcej doświadczeni. Teraz jednak chodziło o coś ważniejszego, o coś najważniejszego, mimo iż ów technik znalazł niewinną nazwę, sprowadzającą kształt niebezpieczeństwa do rozmiarów niewielkich. Technik, stary komunistą, mówił o szczelinie. O szczelinie istniejącej między masami a władzą...

To dobre określenie — myślał teraz z goryczą — szczelina! To nawet mniej niż szpara — mniej czy więcej? — Całymi dniami dręczyła go myśl, że w gruncie rzeczy nieistotny jest spór zarówno o kształt jak i rozmiar tej szczeliny. Najważniejsze było jej istnienie, jej charakter. Czyżby masy pracujące były rzeczywiście przeciwno swojej władzy?

- Dajcie gazety — zwrócił się pewnego dnia do wartownika.
- Zamelduję przełożonym.
- Zameldujcie, ale szybko. Nie mogę być bez gazet.
- Zamelduję, że wam się spieszy. Szef na pewno uwzględni.

Szpakowaty o mało nie zaklął. Wreszcie zjawił się szef i oświadczył, że nie dostarczy gazet.

— Nie jesteście w mojej kompetencji.

— A w czyjej?

— Nie wiem.

— I pewnie nie wiecie — zakpił — w jakim kierunku idzie oskarżenie!

— Nie wiem. Merytorycznie nie wiem.

— I to może długo jeszcze tak trwać?

— Nie wiem.

Już chciał wyjść, gdy nagle zwrócił się do Szpakowatego:

— Postaram się, żebyście otrzymali do wiadomości sankcję prokuratorską.

— Co mi to da?

— Nie wiem. Może jakieś ułatwienia.

— Ja nie mam wiadomości z domu. Obawiam się o los syna, kiedyś chorował bardzo ciężko.

Szef przechylił z lekka głowę i zmrużywszy oczy rzekł z uśmiechem:

— Chcecie mnie podejść jak Żyd.

— Co? — Szpakowaty nie rozumiał.

— Żydzi też mnie podchodzą tym argumentem: że to niby chcą wiedzieć, co się dzieje w domu, że to niby tam ktoś choruje.

— Czy uważacie, że ja kłamię? — Szpakowaty dotknął dłonią policzka. — A poza tym, czy uważacie, że u Żydów członkowie rodzin nie mogą chorować? Nie rozumiem was, zupełnie was nie rozumiem. — Szpakowaty rozłożył ręce.

— To taki żydowski wykręt.

— Co to znaczy? Co to znaczy żydowski lub polski wykręt?

— Polacy nie znają takich wykrętów jak Żydzi.

— Ciągłe nie rozumiem. Powiedzcie dokładnie, o co wam chodzi.

— Głupstwo — szef machnął ręką. — Taki Szklarz, na przykład, który się wtrąca w nie swoje sprawy.

— Co z nim?

— Po co się wtrącał?

— On postąpił jak towarzysz, jak komunista.

— Przecież to trockista. Zapewniam was, że to trockista. Po co się wtrąca między towarzyszy? Kiedy rozmawiam z wami, to on powinien milczeć. Ten trockista nie ma prawa zabierać głosu, bo ja wiem, do czego on zmierza.

— Do czego?

— Do tego, żeby nas, członków partii, poróżnić i skłócić.

Był początek grudnia. Dzień wstawał mroźny. Przez chwilę blask słoneczny igrał na szybie, potem okno zasnuła pomroka. O tej właśnie godzinie wyprowadzono go na spacer. Był to pierwszy spacer po kilku latach. Kończył się rok 1953. Za trzy miesiące — pomyślał — miną cztery lata od chwili, gdy opuściłem dom.

Szpakowaty przestał już prowadzić rejestr miesięcy. Zbliżający się koniec roku przypomniał mu, że niebawem zamknie się po-każny okres: już liczył teraz lata. Był jak skazaniec, którego mijający czas nie przybliża do kresu. Niepotrzebna staje się wówczas owa drobiazgowa rachuba z przyszłością, której nie określa ani czas, ani klasyfikacja prawna. Również ten spacer nie wypełniał obszaru czasu. Nie przybliżał do daty wyznaczającej zmianę w trybie życia. Ładną ci wyznaczili drogę — pomyślał z goryczą, krążąc w kółko po małym, zamkniętym placu. — Masz sześćdziesiąt i cztery lata, doczekasz się władzy ludowej i twoja władza dała ci okazję, abyś poznawał w bardzo szczególnych warunkach ludzi, wydarzenia, problemy. Nie ma co, świetny sposób!

Pomyślał o „Starszym panu”, o jego doświadczeniu i wiedzy. Czy jeszcze redaguje ten swój gruby, poważny miesięcznik? „Starszy pan” urzędował w pałacyku, dokąd wpuszczano po okazaniu legitymacji i wręczeniu przepustki, którą na telefoniczne zlecenie sekretariatu redakcji wypełniał młody, żwawy człowiek, odziany w welwetową marynarkę i wysokie buty z wpuszczonymi do cholew szerokimi bryczesami.

— Po co ciebie tutaj tak pilnują? — zapytał go kiedyś Szpakowaty.

— Żebym ja wiedział! Może jestem taki cenny. Jeszcze by mnie ktoś uprowadził. — Roześmiał się i dodał: — Jakaś dziewczuszka mogłaby mnie uwieść.

— Siedzisz tu jak w twierdzy. Kiedy redagowałeś „Trybunę” i „Młot”, każdy mógł do ciebie przyjść. Przecież myśmy zabiegali o to, aby robotnicy odwiedzali redakcję swego tygodnika.

„Starszy pan” rozkładał ręce:

— Inne czasy, inne pieśni.

Co „Starszy pan” wie o Polsce, o ludziach, o nastrojach? Do redakcji nikt nie ma dostępu, do domu wraca późno. Rano od nowa zaczyna się dzień w strzeżonym pałacyku. Czy też wpuścili Marię do niego? Nie wątpił, że również u niego, u tego starego przyjaciela, szukała pomocy i rady. Lecz co ona mu mogła powiedzieć? Co wiedziała, biedna? Gdyby „Starszy pan” mógł powiedzieć teraz z nim, ze Szklarzem, z „Ryżym”, właśnie z „Ryżym” i tymi wszystkimi ludźmi z „piekiełka”, z tymi z piwnicy i z tymi z piętra...

Wezwano go ze spaceru. Na korytarzu płonąła czerwona żarówka, drzwi stały otwarte. W celi ujrzał młodego, nieznanego człowieka. Był to oficer w randze porucznika.

— Przyniosłem sankcję prokuratorską, proszę podpisać.

— Nie wiem, o co chodzi.

— Jesteście oskarżeni na mocy dekretu z dnia 22 stycznia 1946 roku.

— Nie znam brzmienia tego dekretu.

— Dekret mówi o działaniu na szkodę partii.

— Nic o tym nie wiem, jakoby partia miała się obwarowywać dekretami.

— Nie przybyłem tutaj, aby prowadzić z wami dyskusję. Mam uzyskać podpis stwierdzający przyjęcie sankcji prokuratorskiej.

— Przez cztery lata nikt nie sformułował oskarżenia, jakobym miał działać na szkodę partii.

— Nic na to nie poradzę. Mam jedynie uzyskać podpis.

Szpakowaty milczał, wstrząśnięty. Nagle poczuł się ogromnie zmęczony. To pewnie po tym spacerze — pomyślał. — Po tylu latach... — Przeniósł wzrok na twarz porucznika. Była spokojna. Milczenie przedłużało się.

Oficer zapytał:

— Czy podpiszecie? To nie żaden protokół ani dokument mogący zaciążyć.

— Chciałbym przynajmniej poznać treść tego dekretu. Śledztwo przeciwko mnie nie zostało jeszcze zakończone, jakże więc sankcja prokuratorska może zawierać zarzut działania na szkodę partii?

— Mam wam tylko przedstawić dokument.

— Dobrze, a czy podpisanie tego dokumentu przyspieszy zakończenie śledztwa? Przez tyle lat przebywałem w zamknięciu bez sankcji, mogę więc nadal rezygnować z jej posiadania.

— To zwykła formalność.

— Proszę o pióro.

Później, po dwu nocach pełnych udręki i całodziennego szamotania się, zażądał pióra i papieru.

Wartownik zwlekał, chodził pytać, znów wracał, indagował: „A po co? A na co?” Wreszcie przyniósł żądane przedmioty.

Szpakowaty natychmiast zasiadł, rozdygotany, do zredagowania pisma, wyjaśniającego w formie protestu, że cofa swój podpis złożony w chwili słabości i nie przyznaje się, jakoby kiedykolwiek działał na szkodę partii. Zarzut taki uważa za bezpodstawny, do-

maga się zakończenia śledztwa, bowiem dopiero wówczas będzie można określić charakter wysuwanych przeciwko niemu zarzutów. W konkluzji domagał się kategorycznie zakończenia tej przezwlekłej sprawy.

Szpakowaty odczytał swoje pismo raz i drugi. Już miał złożyć podpis, lecz nim to uczynił, uzupełnił protest uwagą: „W sprawie tej miałbym sporo do wyjaśnienia”.

To ostatnie zdanie napisał po licznych skreśleniach w tekście, który go nie zadowalał. Już to wydawał mu się oschły, już to zbyt rozwlekły, przegadany i obciążony mnóstwem wątków, które pozwalały bądź odwlekać załatwienie sprawy, bądź kluczyć, by zawoalować właściwy cel protestu. Rozważając w dalszym ciągu tę sprawę, doszedł do wniosku, że pismo zawiera cechy donosu, który obciąża jego samego. Wczoraj podpisywał sankcję, dziś podpis swój cofa... Czy przez zgłoszenie protestu nie wręczał właściwie dowodu, który zupełnie niedwuznacznie świadczył przeciwko niemu? Znow się rodziły wątpliwości.

Wątpliwości.. dotyczące czego? — zapytywał siebie, gdy siedział wpatrzony w zapisaną kartkę papieru. Wszystko mu się gmatwało, tracił cierpliwość, wymykały mu się wątki, argumentacje, które były tak jasne w chwili, gdy zasiadł do pisania. Teraz pierzchły, gdy się zjawiały ponownie, wydawały mu się załgane, nieprawdziwe. Oni powiedzą — pomyślał — że to obłudna argumentacja. Nie musiałem podpisywać tej sankcji, nie było nacisku... Tak, rzeczywiście, obecnie nie było już nacisku. Po długim pobycie w izbie chorych, po tygodniach wsłuchiwania się w rżenie konającego człowieka... Nie — powiedział sobie — nie wyciągaj, bracie, tego trupa, aby usprawiedliwić moment twej słabości czy głupoty, obojętne, jak to nazwiesz. Rób, co możesz, aby zaprzeczyć zarzutom, jakobyś działał na szkodę partii. I wtedy wpadł na pomysł, by w zakończeniu dopisać słowa: „... miałbym sporo do wyjaśnienia...”.

Wiedział, że nie ma nic do wyjaśnienia, ale przejrzał już całkowicie grę. Kończył się czwarty rok pobytu za murami, wszyscy już o nim zapomnieli, lub nie chcieli wiedzieć. W całej tej sprawie nie było nic z tego, co przez długie lata zwykł był nazywać pryncypialnością, zasadą komunistyczną, partyjną. Uprawiano jakąś ponurą i bzdurną igraszkę. Czy miał ulec? Czy miał nadal bezwolnie poddawać się tym nie kończącym się zabiegom? A co będzie, jeśli zapytają, co ma jeszcze do wyjaśnienia? Co im wówczas powie? Nic im nie powiem — rozważał gniewnie. — Przede wszystkim niech przyjdą, niech przestaną przysyłać tych gońców po potwierdzenie odbioru sankcji.

Szef śledztwa zjawił się następnego dnia. Wraz z nim przybył nieznany człowiek w cywilnym ubraniu. Mam cię — pomyślał Szpakowaty — dałeś się złapać, teraz pogadamy. Normalnie dobiżałem się, prosiłem, wzywałem, lecz przychodziłeś kiedy ci się podobało, a teraz pośpieszyłeś się. — Nagle ogarnął go lęk: przecież za chwilę spytają, co oznaczają zagadkowe słowa o wyjaśnieniach, których do tej pory odmawiał. Ale już było za późno.

— Czytałem wasz protest — powiedział szef.

— Domyślam się. Chyba dlatego przyszliście.

Szef spróbował się uśmiechnąć.

— Chciałbym wiedzieć, kiedy skończycie śledztwo.

— Proszę — szef wskazał cywila, który stał w pobliżu. — Towarzysz major poprowadzi wasze śledztwo i zakończy je.

— Kiedy? — spytał Szpakowaty gniewnie.

— W ciągu roku.

— Dziękuję. W kwietniu miną cztery lata od chwili mego aresztowania a teraz stwarzacie mi świetną perspektywę. Jeszcze jeden rok śledztwa. Czy rzeczywiście trzeba pięciu lat, aby skonstruować akt oskarżenia? Przecież to znaczy, że nie macie nic przeciwko mnie! — Szpakowaty starał się mówić cicho, lecz nie mógł zapanować dłużej nad sobą. Tamci mu nie przeszkadzali. Poblady i wyczerpany, podszedł ku oknu. Był rozdygotany, błądy.

— Chciałem wam powiedzieć — rzekł nowoprzybyły — że będziecie mogli otrzymywać z domu paczki.

— Dziękuję. Ja chcę napisać do domu.

— Na razie nie będziecie mogli pisać. Ale otrzymacie paczkę i potwierdzicie rodzinie odbiór przesyłki.

— A co ze śledztwem?

— Już wam powiedziałem. Zakończymy je, zapewniam was, że je zakończymy. — W głosie przybyłego zabrzmiała nuta przeproszenia. — I książki otrzymacie.

— A gazety?

— Gazet nie możecie otrzymywać.

— Od trzech lat nie mam żadnych wiadomości. Nie wiem, co się dzieje na świecie.

— Przyjdzie czas na gazety, zapewniam was.

Zapanowało milczenie. Zaczyna się — pomyślał. — Teraz zaczną pytać o to, co mam jeszcze do wyjaśnienia. Postanowił, że od razu wyzna temu sympatycznemu majorowi, że nic nie miał na myśli, że uwaga końcowa znalazła się w proteście tylko po to, aby spowodować natychmiastowe przybycie szefa, co też zostało osiągnięte...

A tymczasem przybyli nie pytali o nic. Ich milczenie zaniepokoiło Szpakowatego. Cóż by to wszystko miało znaczyć? Nie

wątpił, że owo zakończenie właśnie sprowadziło tutaj obu tych ludzi. Niebawem obaj opuścili celę, nie postawiwszy ani jednego pytania.

Sprawa wydała się Szpakowatemu zagadkowa. Zaczął wokół niej snuć przypuszczenia, doszukując się w milczeniu majora treści, których odgadnąć nie mógł. Co się stało? — rozważał. — Oto zgłaszam chęć składania wyjaśnień, tymczasem major zachował się tak, jakby nie czytał mego protestu lub co najmniej tak, jakby zapomniał o jego treści. Czy miał mu o tym przypomnieć? Wszak protest odniósł skutek — przyszli natychmiast, przyrzekli dostawę paczek z domu, ich odbiór będzie mógł potwierdzać na kartce, przeznaczonej dla Marii, otrzyma książki... Po cóż więc przypominać o propozycji, której nie mógł spełnić, która go trapiła — jak się okazało — zupełnie niepotrzebnie?

Śledztwo rozpoczęło się ponownie. Codziennie po śniadaniu sprowadzano go z pierwszego piętra do pokoju na parterze, gdzie już czekał na niego major. Rozmowy ciągnęły się do obiadu, następnie do czwartej po południu. Krążyły one wokół życiorysu Szpakowatego i przebiegały bez dającego się uchwycić systemu, bez wyraźnie wytkniętego celu. Tak jakby nie zmierzały do niczego. Dla majora życiorys Szpakowatego nie przedstawiał żadnych tajemnic ani niejasności; nie było w nim ciemnych punktów, zażyłości. Major znał życiorys doskonale, więc z czasem Szpakowaty porzucił obawy, że rozmówca zaskoczy go jakimś nieoczekiwanym, podchwytliwym pytaniem, słowem. Major przyjmował zeznania Szpakowatego jak relację, odtwarzającą wiernie bieg wydarzeń i wypadków. Młody człowiek pisał z rzadka, częściej zaglądał do akt leżących na biurku. Widać było, że kontroluje przełotnie to, co usłyszał przed chwilą, z tym, co spisano na arkuszach w różnych okresach. Wiedział, że wielogodzinne rozmowy nie mogą już wniesić nic nowego do śledztwa. Czasem major odczytywał tekst napisany kiedyś przez Szpakowatego i pytał, czy nie zamierza nic zmienić. Wówczas budziła się czujność. Teraz zapyta o to nieszczęsne zdanie, napisane niedawno. Ale nie nastąpiło żadne pytanie.

W protokołach, odczytywanych mu obecnie, poznawał własne słowa, całe zdania, zwroty. Powoli odtwarzał w pamięci atmosferę, która mu towarzyszyła w czasie spisywania tych arkuszy. Jedne napisane zostały w zacisznym domku z oknem otwartym na las i wydmy piachu, drugie, gdy pozbawiono go już wszelkiej nadziei...

Protokoły, spisywane teraz przez majora, były inne. Prowadzący śledztwo nadawał im charakter mowy obrończej, w której przyjazny, przychylny człowiek precyzował w korzystnym świetle

nawet i te sprawy, które wymagały dodatkowych wyjaśnień. Mimo to Szpakowaty przyjmował ze spokojem również te fragmenty. Wiedział, że w jego życiorysie nic się nie da podważyć. Zaskoczyła go jedynie przychylność, z jaką major przyjmował jego zeznania. Okazało się niebawem, że wszystko, co stwarzało do tej pory okazję do odwlekania śledztwa, stało się obecnie nieistotne, mało ważne. Czy dlatego, że człowiek formułujący teraz protokół jak prawnik, chciał mu pomóc, czy też dlatego, że pragnął w sposób podstępny, przebiegły zyskać jego zaufanie, by w jakiejś sposobnej chwili uderzyć znienacka i gwałtownie?

Co to wszystko miało znaczyć? Pragnienie wyświeatlenia prawdy czy zamaskowania ukrytych celów, których poprzednicy majora, mało inteligentni i chamscy, ukryć nie mogli czy też nie chcieli? I dlaczego nie pyta, dlaczego w dalszym ciągu przemilcza owo fatalne zdanie, którym niejako deklarował chęć złożenia dodatkowych zeznań? W sercu Szpakowatego zrodziła się trwoga. Do czego ten człowiek zmierza? Czy nie lepiej było, gdy miał do czynienia z tymi, którzy nie ukrywali niczego i mówili wręcz, że żądają, by składał fałszywe zeznania i obciążył siebie i innych nie istniejącą winą? Wiedział, że przed tamtymi trzeba było mieć się na baczności: nie ukrywali swych zamiarów. Ale jak postąpić wobec człowieka, który uspił jego czujność, uspokoił, a więc uczynił bezbronnym?

Kim jest ten major i dlaczego jest inny od tamtych, których znał do tej pory? Nie znalazłszy wyjaśnienia, porzucił spekulacje dręczące i niepokojące i zaczął dążyć od nowa, doszukując się zmiany postępowania nie w charakterze czy dobrej woli nieznanego, tylko w strefie zagadnień wykraczających poza krąg waleńwów osobistych tego lub innego pracownika służby śledczej. Czy nie tak należało spojrzeć na zmianę stosunku władz do mnie? — rozważał. — Jeśli tak jest w istocie, gdzie należy szukać źródła, przyczyn tych zmian? — Nagle pojął, że ów szczęśliwy rzekomo chwyt, owa wzmianka w proteście o tym, że „miałby sporo do wyjaśnienia”, minęła bez echa, ponieważ jego gotowość składania zeznań nie miała już najmniejszego wpływu ani na spieszne przybycie szefa i majora, ani na rychłe podjęcie na nowo śledztwa. Nawet nikt nie zwrócił uwagi na to zdanie, tak jasno sformułowane, tak nęcące, tak wymowne... Nikt o nic nie pytał, nikt nie przejawiał najmniejszej chęci uzyskania nowych wyjaśnień.

Był tego pewien, bo oto rozmowy z majorem dobiegły już końca. Jeszcze się łudził, że konieczność podyktowana chronologią sprawy, iż na zakończenie major jednak spyta o te „dodatkowe wyjaśnienia”, lecz prowadzący śledztwo nie spytał o nic. Szpakowaty był zdruzgotany. Wiedział, że nikt mu nie wyjaśni przyczyn

zmiany. Raz tylko, po okresie długotrwałych rozmów, które już przestały budzić niepokój i lęk i dlatego zapewne tak zaprzętny umysł, major pozwolił przewertować Szpakowatemu tygodnik leżący na biurku. W „Stolicy” Szpakowaty znalazł artykuł oraz zdjęcia z placu budowy „Pałacu Kultury i Nauki imienia Józefa Stalina”. Szpalty tygodnika wypełnione były słowną i fotograficzną relacją o gigantycznym przedsięwzięciu. Szpakowaty był zaskoczony, zdumiony, poruszony do żywego tekstem, planszami, widokiem nieznanego miejsca. Nie ukrywał swych uczuć.

— Nic nie wiedziałem — szeptał. — Nic nie wiedziałem.

— Skądże mogliście wiedzieć? — odparł major i sięgnął po tygodnik.

— Ile zmian! Ile zmian! — szeptał Szpakowaty. — Nic nie wiem. Nie poznam chyba miasta — mówił pobladły.

— Bardzo dużo się zmieniło w ciągu tego okresu, bardzo dużo. Wielu rzeczy nie poznacie.

Nagle Szpakowaty powiedział:

— Weźcie mnie kiedyś, majorze, samochodem do miasta. Pokażcie Warszawę, miejsce budowy, pałac...

Major stał oparty o krzesło. Jego spokojna twarz drgnęła.

— Zabrać was? — mówił powoli. Spojrzał na Szpakowatego i rzekł: — A po co? Skąd wiecie, że nie będziecie wśród zaproszonych na otwarcie Pałacu?

Zapanowało milczenie. Major wsunął tygodnik do teczki. Zabierał się do odejścia.

— Jeśli mi stwarzacie takie perspektywy... — Szpakowaty urwał. Po chwili rzekł: — Pozwólcie mi napisać do domu. Przeczucie mi mówi, że tam się zdarzyło coś bardzo złego.

Major odparł:

— Postaram się to załatwić. Widzicie, to nasze ostatnie rozmowy. Może mi się uda.

— Bardzo was proszę.

Po kilku dniach Szpakowaty znów przypomniał sprawę listu.

— Przyrzekłem wam i załatwię — odparł major.

Było to następnego dnia. Rozmowa dobiegała końca, już dawno minęło południe. Major zamykał teczkę wypełnioną dokumentami.

— Mam dla was dobrą wiadomość.

Szpakowatemu serce zabiło żywo. Nie mógł opanować wzruszenia.

— Możecie napisać do domu. List wręczycie mi osobiście, najlepiej jutro. Za dwa dni wezwę żonę do ministertwa, tam go przeczyta i prześle wam odpowiedź. Ja wam ją wręcę.

W oczach Szpakowatego pokazały się łzy. Ręce mu drżały, więc oparł je o brzeg biurka. Następnie major wezwał szefa śledztwa i polecił mu, aby podano do celi, po szóstej, pióro, atrament i papier.

— Czy wolno mi dużo napisać?

— Możecie pisać bez ograniczenia. Przygotujcie list na jutro. Tylko o śledztwie i sprawie ani słowa.

— Rozumiem.

Szpakowaty pisał pośpiesznie, z zapartym tchem, niespokojnie, ledwie powstrzymując rozbieganą dłoń. Chciał od razu napisać o wszystkim: chciał skreślić pełny wizerunek, zdać całkowitą relację o sobie, o uczuciach i stanie zdrowia, o kształcie tęsknoty, nękającej aż do bólu, zwłaszcza teraz, gdy wolno mu było pisać. Niebawem zdania zaczęły mu się gmatwać. Pragnął jednocześnie wiedzieć, co się dzieje w domu, i uprzedzając niejako to, co go intuicyjnie dręczyło, zamierzał wpłynąć uspokajająco na Marię. Dlatego tracił dużo czasu na właściwy dobór słów, które musiały być oględne i dopuszczające zarazem domysł, aluzję.

Wspomniał o liście napisanym do KC w czerwcu 1950 roku, streścił go, zawiadamiając, że w piśmie do towarzyszy donosił, iż nic nie zmienia faktu, że pracował w szeregach SDKPiL, KPP i PPR uczciwie i ofiarnie, lecz pismo to z niewiadomych przyczyn pozostało bez odpowiedzi. Czy Maria przypadkowo nie wie o losie tego listu? Może spyta o tę sprawę „Starszego pana”. Najlepiej będzie, jeśli mu pokaże niniejszy list. Może się wypowie na temat tak długiego przetrzymywania go bez śledztwa, a raczej bez określenia zarzutów. Szpakowaty prosił, aby Maria pozdrowiła bardzo serdecznie „Starszego pana”. Po powrocie będzie miał szereg uwag co do stylu pracy redakcji, którą „Starszy pan” pewnie jeszcze kieruje. Szpakowaty ważył teraz każde słowo. Chciał, aby „Starszy pan” odczytał w zdaniach przeznaczonych dla niego treści, które mogłyby nasunąć wątpliwości lub obudzić podejrzenia. Szpakowaty znał go doskonale i wierzył, że „Starszy pan” pojmie ukryty, ironiczny sens, zawarty w uwadze o „pracy redakcji”. „Starszy pan” chyba zrozumie istotną treść tego zdania. Redagując gruby, poważny miesięcznik, ten wszechwiedzący i wszystkoogarniający człowiek mógł przez cztery lata nie wiedzieć, gdzie się podziewa przyjaciel, stary partyjny towarzysz, długoletni współpracownik jeszcze z czasów SDKPiL... Tylko tyle mógł wykoncytować Szpakowaty: „Starszy pan” nie wiedział, co się stało. Gdyby wiedział, pomógłby Marii wyrwać go stąd. Zarzut działania na szkodę partii musiałby się okazać niedorzeczny, wręcz prowokacyjny.

O sobie Szpakowaty pisał niewiele. Wspomniał o dolegliwościach, które już minęły. Nie wspomniał natomiast o wielomiesięcznym, dwukrotnym pobycie w izbie chorych ani o tym, gdzie przebywał, zanim dostał się tutaj. Wszystkie te sprawy były już nieważne, najgorsze miał za sobą. Śledztwo dobiegało końca i to w atmosferze tak odmiennej od tej, jaka towarzyszyła początkom, że mógł bez wahania napomknąć o szybkim zakończeniu całej tej „historii”. Użył tego słówka, by umniejszyć wagę wydarzenia; chciał nawet dodać: „dziwnej”, następnie „ohydnej”, lecz zrezygnował z oceny, zostawiając ją na okres późniejszy. Na koniec wyraził zdanie, że przez cały czas nie opuszczało go uczucie, niemal pewności, że sprawiedliwość musi zwyciężyć; ostatnio przekonał się, że postępował słusznie darząc władzę ludową zaufaniem: ona nie ukarze niewinnego.

Szpakowaty odczytywał powoli zapisane kartki. Czynił to wielokrotnie, uważnie. List nie był jeszcze skończony. Trzeba było napisać ostatnie zdania, te, które zawierają zwykłą myśl najserdeczniejszą, lecz zdań tych nie potrafił sformułować. Męczył się. Nie chciał ujrzyć słów, bez których nie mógł zakończyć listu, i chciał je zarazem widzieć, ponieważ na nie oczekiwał odpowiedzi. Już po napisaniu imienia, u dołu, dodał jeszcze to jedno zdanie, krótkie, jakby je chciał widzieć poza obrębem treści, na innej płaszczyźnie. Jeżeli Maria zechce, dostrzeże je. Jeśli się okaże niepotrzebne, oddali od siebie, jako niebyłe, nie napisane. Zdanie to brzmiało: „Intuicyjnie czuję, że Piotr nie żyje. Gdyby było inaczej, wybac mi tę myśl”.

Następnego dnia major pożegnał się ze Szpakowatym. Przyjawszy od niego list, powiedział:

— Nasze rozmowy skończone, ale jeszcze się nie żegnamy. Za dwa dni wrócę z odpowiedzią i wówczas się rozstaniemy.

— Ale nie na zawsze — odpowiedział Szpakowaty, uśmiechając się.

— O nie. Oddam wam list od żony. Następne nasze spotkanie nastąpi na wolności.

Majora już więcej nie widział. Minął dzień, drugi i trzeci. Stary człowiek, podniecony, niespokojnie wyczekiwał u drzwi celi z uchem przywartym do desek. Nasłuchiwał, ciągle nasłuchiwał. Łowił ciche szmery, dźwięki, odgłosy, ich echo. To trwało godzinami, przez cały dzień. Czasami zadźwięczał jakiś metaliczny brzęk, innym razem zdawało mu się, że słyszy skrzyp butów... Był pewien, że ktoś się zbliża, wówczas cofał się od drzwi, aby wchodzący nie widział napięcia, które niebawem znów się pojawiało

na twarzy Szpakowatego. Pierwszego dnia był spokojny, drugiego jeszcze się łudził, trzeciego, wyczerpany do cna, przyrzekł sobie, że nie będzie pukał ani pytał. Drżał z obawy przed okrutną wiadomością. Po co pytać? — mówił do siebie. — Po co? Czy nie lepiej żyć w niewiedzy? — Ale gdy minęła godzina, o której wyprowadzano go zazwyczaj z piętra na dół, zapukał. Przybyłemu wartownikowi powiedział, że czeka listu. Major przyrzekł przynieść z domu odpowiedź, właśnie minęły dwa dni...

— Jak mi podadzą, to zapukam.

— Chcę, żebyście zapytali, może zapomnieli w kancelarii.

— Nie wolno pytać.

— Ja was proszę, to bardzo pilna sprawa. Obawiam się, że mój syn umarł. Mieli mi napisać z domu...

— Nie mogę.

— Zapytajcie, może będzie okazja.

Nasłuchiwał w dalszym ciągu. W pawilonie, na pozór cichym, działy się sprawy tajemne, niepojęte. Dom nie był wcale cichy: wypełniały go szумы, dźwięki, odgłosy, już to cichnące, już to wzbierające szmerami niewiadomego pochodzenia. Zbliżały się do drzwi i oddalały, by rozwiać się nagle, budząc w sercu popłoch i żal. Nie mógł pojąć, co to wszystko mogło znaczyć. Czyżby go oszukał ten młody człowiek, który — jak się zdawało — śpieszy mu z pomocą, na co wskazywało jego zachowanie, sposób formułowania zdań w protokole, ocen? Początkowo nie dopuszczał do siebie tej myśli, potem, pełen goryczy, czynił sobie wyrzuty, że był łatwowierny i ufał w uczciwość tamtego człowieka.

Dlaczego major tak postąpił? Po co? Czyżby aż tak daleko sięgała podłość ludzka, owa chęć wykpienia, poniżenia? Jakież by to było ludzkie, gdyby mu wręcz odmówił i wyjaśnił, że nie może zabierać listu. Jakież by to było proste... Kazał pisać list, którym mu przybliżył dom, rodzinę, wolność na odległość dwu dni, po których miała nadejść odpowiedź. Dlaczego mu nie odmówił przyjęcia listu? Jeszcze go pożegnał z tym solennym zapewnieniem, że niebawem wróci...

Chodził z kąta w kąt, osowiwały, bezsilny w złości, rodzące się wtedy, gdy nabierał pewności, że go oszukano. Jaki cel przyświecał ludziom, którzy to uczynili? Po co to zrobili?

Przestał jeść, znów zjawiły się uporczywe bóle głowy, niedowład lewej ręki. Ból nagły i gwałtowny, towarzyszący silnemu skurczowi, przeszywał na wylot okolice serca. Tracił oddech. Któregoś dnia wartownik ujrzał go leżącego na podłodze. Zjawiła się lekarka. Był nieprzytomny, gdy go wyniesiono z celi.

Izba chorych mieściła się obecnie w innym skrzydle: nie była ani tak ciemna, ani tak cuchnąca, jak poprzednia. W dużej, widnej

celi panował porządek zbliżony do tego, jaki istniał w normalnej szpitalnej izbie. Usunięto kubel, zaduch ustąpił mdłym zapachom szpitala. Szpakowaty szukał wzrokiem znajomych, Szklarza, pułkownika z delegatury rządu, lecz nikogo nie znał tutaj. Zapytał od niechcienia, czy wśród chorych nie ma przypadkowo kolejarza, pracownika PKP. Nie, nie było żadnego kolejarza. Na najbliższym łóżku spoczywał człowiek skory do rozmówek. Chętnie opowiadał o sobie, ból wątroby nie przeszkadzał mu w snuciu opowieści. W więzieniu przebywał od listopada 1952 roku.

— To znaczy, że jesteście tutaj blisko półtora roku? — pytał Szpakowaty.

— Tak. A pan?

Szpakowatego zaskoczyła ta forma.

— O, zupełnie niedawno. Teraz się kończy luty. Za dwa miesiące minie pięć lat.

— Co?

— No, tak. Od dziewiątego kwietnia 1949 roku do dziewiątego kwietnia 1954 roku mamy pięć lat.

— Z wyroku?

— Jeszcze nie.

— To tak jak ja.

— Chyba. A dlaczego pana zamknęto?

Nieznajomy machnął ręką.

— Szkoda gadać.

— Może jednak?

— To mało ciekawe. Historia z czasów okupacji.

— Ciekawe... Ja też znam takie historie.

— Panie, gadać nie warto! Gdzieś na początku 1944 roku przyszedł do mnie z ogłoszenia w gazecie jakiś człowiek i wynajął u nas pokój. Człowiek jak człowiek. Zameldował się, komorne płacił regularnie, nikomu nie wadził, więc niewiele mnie obchodził. Aż pewnego dnia, panie! — nie uwierzy pan! Zobaczyłem u niego w pokoju broń!

— Nie!

— Jak pragnę wolności!

— I co?

— Poprosiłem go wtedy grzecznie, panie tego, pan jesteś z organizacji, a mnie życie miłe, proszę, niech pan sobie wynajmie pokój u kogoś, co lubi zorganizowanych.

— I?

— Niedługo trwało, przeszedł tydzień czy dwa i tamten sobie poszedł.

— No, więc wszystko w porządku — powiedział Szpakowaty obserwując sąsiada.

— Wyobraź pan sobie, w listopadzie 1952 roku przychodzi do mnie UB i zabiera mnie bez dania racji. Z początku nie mówili o co chodzi, ale teraz to wiem. Tamtego zdaje się trzymają za grubszą chryję, ale w swoim życiorysie podał, że kiedyś mieszkał u mnie, więc mnie wzięli za frak, że to niby przechowywałem wroga Polski Ludowej! A ja skąd mogłem wiedzieć, co to za człowiek? A poza tym, czy ja go przechowywałem? Wynajął mieszkanie z ogłoszenia, więcj mnie nie obchodziło.

— I dlatego pana trzymają?

— Co to? Nie znasz pan dekretu o faszyzacji życia państwowego?

— Nie.

— No dekret... — Tamten zarecytował dekret z 22 stycznia 1946 roku o odpowiedzialności za klęskę wrześniową i faszyzację życia państwowego... Szpakowaty zbladł, tamten to spostrzegł, więc zapytał: — I co się pan dziwisz?

Szpakowaty opadł na pościel. Przypomniał sobie: o tym dekrete mówiła sankcja prokuratorska, którą podpisał kilka tygodni temu.

— Co zrobiliście ze mną? — zapytał komendanta szpitala.
— Zgłoszcie mnie do szefa śledztwa.

— Co się stało?

— Oskarżacie mnie o faszyzację kraju! Mnie, starego komunistę!

— Jestem komendantem szpitala i nic nie wiem. Zresztą nadeszła dla was sankcja na dalsze trzy miesiące. Jest u mnie w kancelarii.

— Nie podpiszę. Niczego podpisywać nie będę!

— Odeślę więc sankcję z adnotacją, że odmawiacie podpisu.

— Róbcie, co chcecie. Ja tego nie podpiszę.

W tym czasie doręczono mu paczkę zapowiedzianą przez majora, który zabrał list. Teraz znów obudziły się nadzieje. Przetrząsając zawartość paczki, Szpakowaty szukał kartki, lecz listu nie było. Wykładał wszystko powoli, jeszcze się łudził. Paczka pochodziła niewątpliwie z domu, zawierała ulubione suchary, kawałek piernika. Szpakowaty stał oniemiały.

— Co się pan martwisz? — powiedział gadatliwy sąsiad.
— Przyjdzie list, ja panu mówię.

Szpakowaty nie odpowiedział. Znów mnie nabrano — pomyślał. — Major wykonał tylko część polecenia, tę najmniej ważną: zorganizował dostawę przesyłki, lecz zawiodły zupełnie zabiegi o uzyskanie wiadomości z domu. Komu potrzebne są te suchary

ki, kawałek ciasta? Szpakowaty rozglądał się bezradnie po celi. Ogarnęła go rozpacz. Tam już nie ma nikogo — pomyślał. Już nie ma żony, syna... Został jedynie ktoś, znający zwyczaje domu, jego upodobania. Zdawało mu się, że odkrył nagle straszną tajemnicę: każdy list stamtąd, nie pisany ręką Marii lub Piotra, musiałby ujawnić tragiczną prawdę. Tylko dlatego nie napisano do niego ani słowa. Dopiero po powrocie z izby chorych do celi zaczął ponownie domagać się rozmowy z szefem. Przybył. Rozmowa była krótka, pełna wrogości i pogroźek. Szpakowaty niecierpliwił się.

— Spójrzcie — pokazywał pudełko — to mi przysłali jacyś obcy ludzie. Ja już nie mam nikogo... — Nagle odwrócił się do szefa śledztwa. — Dlaczego? — Szef patrzył zdumiony. Szpakowaty powtórzył: — Dlaczego?

— Uspokójcie się, postaram się dowiedzieć.

— Przyrzekliście mi doręczyć odpowiedź na mój list.

— Przyrzekaliśmy.

— A więc jak nazwać to, co robicie ze mną? Mija pięć lat, jak mnie trzymacie, i nawet nie wiem jeszcze, o co mnie oskarżacie. To oskarżenie o faszyzację kraju, to bzdura, kłamstwo! Nie mogliście wyszukać nic innego? — Po chwili dodał szeptem: — A teraz nie mam już rodziny.

— Postaram się uzyskać wiadomości.

— Kiedy?

— W ciągu dwóch dni.

— Na pewno?

— W ciągu dwóch dni wszystko się wyjaśni.

— Na pewno?

— Dam wam odpowiedź.

Po kilku dniach dręczącego nasłuchiwania, w porze najmniej oczekiwanej, wezwano go do kancelarii komendanta szpitala. Szpakowaty szedł pośpiesznie, nie oglądając się na wartownika, który ledwo mógł nadążyć za idącym. Po co mnie wzywają do kancelarii komendanta szpitala? — rozważał. — Nie zamierzają chyba przejąć mnie z powrotem do izby chorych, czuję się zupełnie dobrze...

W kancelarii komendanta ujrzał szefa śledztwa i lekarkę. Sercem Szpakowatego szarpnęła trwoga. Lekarka była poważna, patrzyła na Szpakowatego bez uśmiechu. Jej twarz wydała mu się surowa. Teraz spostrzegł, że jej spojrzenie było mroczne.

Słowa lekarki nie miały sensu. Mówiła zresztą niepełnymi zdaniami. Nie kończąc jednej myśli, wracała do przerwanego zdania. Niepokój Szpakowatego rósł coraz bardziej. Szef milczał.

— Pan był kiedyś w Sztokholmie — mówiła lekarka. — Profesor Olivercrone to jedna z największych sław, *eine Kapazität*, jak mówią Niemcy. — Lekarka nie czekała odpowiedzi, wiedziała, że nie zaprzeczy temu twierdzeniu, najbanalniejszemu pod słońcem, więc ciągnęła dalej, wyrażając jeszcze inny pogląd, powszechnie znany. Mówiła o fachowej wiedzy słynnego chirurga, lecz jednocześnie rzuciła słówko o ograniczoności wiedzy ludzkiej, która może wiele dokonać, lecz nie umie jeszcze rozwikłać wszystkich zawiłych spraw. Powtórzyła z naciskiem: — Wszystkich zawiłych spraw.

Szpakowaty przerwał jej.

— Dlaczego pani mi o tym mówi? — I nagle zdziwił się brzmieniem swego głosu. Jak wtedy — pomyślał — gdy mnie „Ryży” zawiózł na Koszykową i pozwolił zadzwonić do Marii. Co się dzieje?

— Ach, dlaczego! Do profesora Olivercrone ludzie jeżdżą z najcięższymi przypadkami, nieraz z beznadziejnymi. Często nawet on nie znajduje już ratunku.

Szpakowaty zwrócił się do szefa:

— Widzicie, mam poważne powody do niepokoju. Dlaczego nie chcecie mi ułatwić uzyskania wiadomości z domu?

Nie podnosząc oczu szef odparł:

— Niestety, wasze przypuszczenia co do syna były prawdziwe.

— Prawdziwe? — powtórzył głucho.

Lekarka pomogła mu usiąść. Nie wypuszczała z dłoni jego ręki.

— A żona? Co z żoną? — Szpakowaty spojrzał na szefa niewidzącymi oczyma.

— Muszę dopiero sprawdzić.

— Co wy możecie jeszcze sprawdzać, skoro nie było odpowiedzi na mój list.

— Może zaginął? Może nie został doręczony?

— Czy to możliwe?

— Mógł się gdzieś zapodziać. Napiszcie drugi, ja go doręcę.

— Napiszę, ale do KC.

— Po co macie pisać do KC? Napiszcie raczej do generalnego prokuratora. Przecież KC was nie więzi. I do domu też napiszcie.

— Tak. — Lekarka uśmiechnęła się blado i przytaknęła głową. — Tak, proszę napisać. Niech pan nie traci otuchy. Takie pismo może teraz odnieść skutek. Proszę spróbować.

Pismo do Generalnego Prokuratora było obszerne, poświęcone całkowicie sprawie zasadniczej: bezprawnego przetrzymywania go

przez pięć lat z górą bez dowodów winy, bez sformułowania zarzutu. Szpakowaty, pisząc obszerny memoriał, nie wdawał się w szczegóły, pominął milczeniem bieg wydarzeń, kolejność przedziwnych insynuacji, które bądź czyniły z niego agenta defy, bądź szpiega. Interesowała go jedna kwestia, ta mianowicie, jak to jest możliwe, że przetrzymuje się w więzieniu bezpodstawnie niewinnego człowieka? W konsekwencji, niedopuszczalność takiego posunięcia jest nie łamaniem prawa, lecz przejawem braku prawa. Wywód ten zajął w piśmie Szpakowatego sporo miejsca: dowodził, że łamać można coś, co istnieje. Czyżby więc zupełny brak prawa stał się normą w państwie rządzonym przez lud?

Szpakowaty przeczytał memoriał raz i drugi, nie bez satysfakcji. Jego argumentacja wydawała mu się bez zarzutu, nie dająca się podważyć. Głównie dlatego, że nie wdawał się w ocenę tego lub innego faktu: pominął milczeniem metody śledztwa, sposób wymuszania zeznań. Postąpił tak bynajmniej nie dlatego, iż skłonny był przypisywać te praktyki samowoli urzędników i pracowników różnych instancji. Te wszystkie haniebne zjawiska były w jego ocenie już tylko efektem, wynikiem procesu bardziej podstawowego. Skoro można było bezprawnie trzymać niewinnego człowieka, wszystkie zjawiska towarzyszące temu faktowi nie mogły nosić cech praworządności. Jednakże najwięcej kłopotu sprawiło mu sformułowanie ostatnich, końcowych zdań.

Do czego zmierzam? Czego żądam? Po co pisałem ten długi elaborat? O co mi chodzi?

Początkowo chciał napisać, że żąda, aby go natychmiast wypuszczono na wolność, lecz wnet porzucił tę myśl jako dziecinną, niegodną komunisty. Nie tego będę żądał od tych ludzi! Nie tego! O nie! Może by nawet tego pragnęli, ale ja zażądam dowodów, niech je okażą, niech je przedłożą, niech jawny, publiczny proces obnaży te wszystkie praktyki. Nagle cofnął rękę.

Jawny proces? Publiczny? Żeby nasi wrogowie mogli się przyjrzeć tej straszliwej ranie? Wrogowie nasi przecież na to tylko czekają, więc ja mam być motorem takiego procesu? Komu to przyniesie większą korzyść? Nam czy im? Ale jeśli odstąpię od tego żądania, czy nie będzie to oportunistem? Czy domaganie się sądu nie jest starą, polską cechą, zwaną pieniactwem? I na co ten upór? Wystarczy chyba zwrócić uwagę na istnienie takich wypadków, aby przestały się dziać, powtarzać... Od czego przekonywanie, pouczanie, prostowanie mylnych poglądów, praktyk, działań? Porzucił tę myśl, natomiast z całą mocą podkreślił, że domaga się natychmiastowego zakończenia śledztwa i okazania wszystkich dowodów. Od tego nie odstąpię, tego dopiąć muszę — rozważał. Memoriał zamykało zdanie, w którym wyraził prośbę,

aby wydano z depozytu jego rzeczy: walizkę, płaszcz, ubranie. Moja żona — pisał — pozostała bez środków do życia, te rzeczy są jej porzebne. Jeśli je otrzyma, spienięży przedmioty i w ten sposób uzyska jakieś środki finansowe.

List do żony napisał szybko, bez zastanawiania się: nagliła go niecierpliwość, niepokój. Nie tłumił bólu, nie szukał słów. Już wiedział, wszystko wiedział. Lekarka miała go przygotować do spokojnego przyjęcia wiadomości o śmierci Piotra. Jego zgon był wynikiem niewiedzy wybitnych uczonych... Jeśli tak znakomity specjalista, jak szwedzki profesor, nie mógł pomóc, kogóż mogła obciążyć śmierć Piotra? Nikt nie ponosił za nią winy...

Szpakowaty pisał:

Najukochańsza Mario! Moja najdroższa! Zostałem poinformowany, że nasz Piotr poszedł za Jurkiem, i tym razem, jak przy śmierci Jurka, nie było mnie przy Tobie. Znow tak się złożyło, że sama jedna musiałaś przyjąć ten cios. W 1935 roku, gdy towarzysze dowiedzieli się o tragicznej śmierci Jurka, umożliwili mi powrót z dalekiej Moskwy do Ciebie. I pierwsze łyż, po trzech dniach skamienienia, uroniłaś w moich ramionach. Obecnie jestem pozornie tak bliski Ciebie, a faktycznie nieosiągalny: każde z nas pozostaje oddzielnie. W naszym wspólnym nieszczęściu nie masz przy Sobie nikogo bliskiego, kto by jeśli nie czynem, to słowem przyniósł Ci ulgę. A zresztą o jakiej tutaj uldze można mówić? Piotr, nasza nadzieja i duma — w grobie, a mąż od pięciu przeszło lat uwięziony. Wiem, moja kochana, że w nieszczęściu Twoje schorzałe serce opiera się ciosom, ale wiem również, że takie nieszczęścia mogą złamać. I oto teraz, w każdej sekundzie naszego życia, drzę o Ciebie. Wszystkie moje myśli towarzyszą Tobie, tak bardzo chciałbym już być z Tobą. Straszного ciosu, który nas dotknął, już nie odwrócę, ale największe nieszczęście łatwiej jest znieść we dwoje niż samemu. Mario! Staraj się pomimo wszystko i na przekór wszystkim pamiętać, że każdy proces ma też i swój kres.

Kochana! Rozumiesz przecież, że na temat mego śledztwa pisać nie mogę, ale ufaj i bądź przeświadczona, że sprawiedliwość nie jest pustym frazesem w Polsce Ludowej. Niestety, wszechstronne wyjaśnienie zagmatwanej sprawy trwa czasami, na nasz rozum, bardzo długo, za długo. Ale prawda zwycięża. I dlatego, że prawda zwyciężyć musi, ufam, że w niedługim czasie będziemy znow razem. Niestety, tylko we dwoje. Odszedł Piotr, dla którego, po śmierci Jurka, żyliśmy. Pamiętasz zapewne, jak Piotr po pierwszym okropnym ciosie zadanym nam przez los powiedział, że postara się swoim postępowaniem zastąpić nam także i Jurka. I dopóki żył nasz kochany chłopak, dotrzymywał słowa. Nikt nam już nie zastąpi tych dwóch istnień, którym daliśmy życie. Trzeba będzie przez resztę już niedługiego naszego żywota iść we dwoje i szukać ukojenia w pracy, w pracy, z której już nasze potomstwo korzystać nie będzie.

Wiadomość o śmierci Piotra nie zaskoczyła mnie. Z chwilą gdy mój areszt przedłużał się, czułem, że Piotr zapłaci to życiem. Ta świadomość ciąży na mnie i tym okrutniejsza jest nasza tragedia. Mario! Napisz mi najdokładniej wszystko o Piotrze i o ostatnich chwilach Jego życia. Wyobrażam sobie, jak musiał cierpieć z powodu mojego uwięzienia. A do Ciebie błagalna prośba: trwaj i wytrwaj! Ufaj, że już wkrótce będziemy razem, i przyjm ode mnie solenne przyrzeczenie, że uczynię wszystko, co w ludzkiej mocy, aby choć o szczyptę zmniejszyć Twój ból. O sobie, kochanie, tym razem mało napiszę. Mój stan fizyczny jest nadszpodziewanie dobry. Korzystam z doskonałej opieki

lekarskiej, czytam też dużo. Krótko mówiąc, gdybym się jutro znalazł na wolności, to wydaje mi się że mógłbym natychmiast przystąpić do pracy. A cóż z Tobą? Napisz mi o Sobie całą prawdę, nie oszczędzaj mnie, pisz o wszystkim, o wszystkim, co było i jest. Każde Twoje słowo będzie dla mnie wielką ulgą. Zdaje sobie sprawę z Twojej ciężkiej sytuacji materialnej. I dlatego, kochanie, myślę, że zrobiłabyś dobrze, gdybyś nie przysyłała paczek. Za tę otrzymaną dziękuję, ale dalszych nie przysyłaj. Natomiast pisuj najchętniej. Za wszystko, coś dla mnie uczyniła, ogromnie i serdecznie Ci dziękuję. Tym bardziej to cenię, że wiem, w jakich okolicznościach wypadło Ci żyć w ostatnich latach.

Mario! Jednocześnie piszę do generalnego prokuratora, prosząc między innymi o wydanie Ci moich rzeczy. Proszę o to w tym celu, abyś je mogła spieniężyć. Nie wydawaj pieniędzy na mnie, pamiętaj o Sobie, staraj się zachować resztki sił, abyśmy jeszcze przez krótki czas mogli iść razem przez życie. Jeszcze raz, Mario, powtarzam: każda sekunda moich myśli jest przy Tobie i Tobie jest poświęcona. O mnie się nie martw, gdyż przekonany jestem, że czas naszej rozłąki zbliża się ku końcowi. Wiesz, że naszych synów Ci nie zastąpię, ale wiesz też, że dam wszystko z siebie, co tylko dać można, aby choć trochę ukoić Twój ból.

Ściskam i najgoręcej całuję, moja nieszczęśliwa Matko.

Był koniec maja, szef przyjął bez słowa memoriał do generalnego prokuratora oraz list do Marii, a z początkiem czerwca zjawiał się w celi nieznanymi oficer śledczy. Był młody. Od tego wysportowanego chłopca biła pycha i pewność siebie. Mówiąc ze Szpakowatym nawet nie spoglądał na niego. Nie ukrywał swej pogardy. Szpakowatemu zdawało się, że ten człowiek przystępuje do jego sprawy z taką samą ochotą, z jaką wsiadał na motocykl lub na konia. Przybyły otworzył teczkę szybkim ruchem, wydobył z niej plik papierów, a spośród mnóstwa kart wyciągnął arkusze, które energicznym gestem pokazał Szpakowatemu.

— To wy napisaliście?

Szpakowaty rzucił pobieżnie okiem na okazany mu arkusz. Był to jego memoriał wystosowany niedawno do generalnego prokuratora.

— Ja.

— Czeka was ostre śledztwo.

— Niech będzie — odparł głośno. — Niech będzie — krzyknął donośniej. Zachłysnął się. — Dlaczego ostre?

Młody oficer zbliżył się do Szpakowatego.

— A jakie ma być? — spytał spokojnie.

— Ja wiem, co to jest ostre śledztwo.

— Lekarz orzeknie, czy można je zastosować, czy nie. Zgodnie z prawem.

— Nie będę z wami dyskutował.

— Do tego ja bym też musiał mieć ochotę.

— W takim razie wszystko w porządku — odparł Szpakowaty.

— Nie bardzo, ponieważ będziecie musieli codziennie rozmawiać ze mną.

Szpakowaty patrzył osłupiały w tę twarz pełną arogancji i zarozumiałości. Przez myśl mu przemknęło, że stało się coś strasznego. Tam musiał się dokonać przewrót... Zwyciężyła kontrrewolucja i teraz przybył tutaj ten młody oficer, by się z nim rozprawić. I ten człowiek, pełen nie skrywanej wrogości, będzie tym, który doprowadzi śledztwo do końca? Szpakowaty nie umiał się uspokoić: serce waliło mu głośno, czuł je w gardle, dławili go. Uniósł dłoń, by zakryć nią pulsujące na szyi tętno. To niemożliwe... Na korytarzu usłyszał czyjeś kroki. W drzwiach celi pokazał się szef śledztwa. Szpakowaty pomyślał: czy on wiedział, że taki będzie efekt pisma skierowanego do generalnego prokuratora?

Młody oficer rozpoczął śledztwo od ponownego rozwijania spraw, które wielokrotnie poruszano w ciągu tych kilku lat. Stawiał pytania stereotypowe, suche, rzeczowe i pilnie słuchał odpowiedzi, które przerywał nagle, by wrócić do spraw innego, odległego okresu. Minęło trochę czasu i znów przerywał mówiącemu, by nawiązać do kwestii poruszonej przed godziną... Szpakowaty zorientowawszy się w tej dziwnej i niepojętej grze, tracił cierpliwość. Zajęty jedną myślą, nie umiał zachować pozostałych wątków, które mnożyły się, piętrzyły, rosły, układając się na kształt potwornej figury, powstałej z przypadkowego i nieskoordynowanego ruchu. Przestał odróżniać sprawy ważne od błahych: nie wiedział, czego ma się trzymać i czego zaniechać: nagle wszystko stało się konieczne, nieodzowne. Sposób wyznaczania podpunktów dla członków Sekretariatu był równie ważny, jak tezy „mniejszości” lub „większości” błędy „majowe” KPP zajmowały w rozmowie tyle miejsca, ile kwestia uzyskania paszportu zagranicznego dla emisariusza wyruszającego za granicę. Okres połączenia SDKPiL z PPS-lewicą okazał się natomiast mniej ważny, aniżeli rozkład parterowego lokalu na Zielnej pod numerem 25, gdzie w grudniu 1918 roku odbył się zjazd połączeniowy obu partii, noszących następnie wspólne miano: KPRP.

Do czego ten człowiek zmierzał? Nagle zapytał, jak był ubrany Leński, gdy przybył do kraju latem 1924 roku, oraz jakie nosił ubranie w 1935 roku, gdy Szpakowaty go odwiedził w Moskwie. Oficer chciał wiedzieć, jakim pociągiem Szpakowaty jechał do Moskwy i dlaczego wrócił do Warszawy samolotem. O której godzinie nastąpiło lądowanie i kto go oczekiwał...

Pytania były przedziwne. Były krótkie, rozlegały się jak wystrzał, brzmiały częstokroć jak rozkaz. Początkowo Szpakowaty

czuł się dotknięty zarówno tonem, jak i sposobem stawiania pytań, wreszcie pojął rzecz bezsporną: pięć lat temu rozmawiali z nim ludzie kulturalni, z jakimś doświadczeniem, teraz, gdy śledztwo zdawało się dobiegać końca, generalna prokuratura posłużyła się gołowaniem, nie zważającym ani na jego wiek, ani na jego staż partyjny. Rozmyślenia te, rzecz jasna, nie mogły mieć wpływu na postępowanie i praktyki młodego oficera. Niebawem Szpakowaty przejrzał grę. Tamten chciał go schwytąć na jakiejś rozbieżności, na niedokładności. Szpakowaty ciągle się bronił przed określeniem: kłamstwo, ale tamtemu wyraźnie chodziło o to, aby wykazać uwięzionemu, że w tym to a tym miejscu skłamał, wprowadził w błąd, dokonał fałszerstwa. Oficer nie stawiał takich zarzutów wprost, ale gdy pewnego dnia użył słowa: nielojalność, Szpakowaty, zdenerwowany, wypalił:

- Nielojalność czy kłamstwo? Co mi zarzucacie?
- To jedno i to samo.
- Nie uprawiam ani jednego, ani drugiego.
- To spór o słowa.
- Nie. O fakty.
- Zgoda. W takim razie jak je interpretujecie?
- Ja nie interpretuję. Pytajcie, o co wam chodzi.
- Już powiedziałem.
- Odpowiadam: jeżeli po latach pobytu w więzieniu moje relacje odbiegają w niektórych punktach od tego, co o tym samym mówiłem w kwietniu 1949 roku, to nie możecie w tym upatrywać ani nielojalności, ani kłamstwa.
- Człowiek musi pamiętać.
- Ja pamiętam. Ja doskonale pamiętam.
- Nie zawsze. Ja wam wykażę, że kłamię.
- Nie. Ja nie kłamię. Nie zepchniecie mnie do roli dostawcy sensacyjnych szczegółików dla ludzi zabawiających się w detektywów.
- Jestem oficerem śledczym!
- To określenie zawodu, a nie światopoglądu. Możliwe, że i taki światopogląd istnieje. Ale ja jestem komunistą, członkiem partii.
- I ja nim jestem.
- Nie odbieram wam tego prawa. Wy mnie pytajcie o kwestie polityczne, a nie o błahostki, które mnie nie interesują.
- A dla nas te sprawy są nader ciekawe...
- Czy dlatego, że musicie dowieść, że kłamię, czy dlatego, iż chcecie dowieść, że kłamię.
- Pobudki nie są ważne.
- Są ważne. Czasami odnoszę wrażenie, że przychodzicie do

mnie z zaplanowaną z góry ilością kłamstw, które macie odkryć u mnie.

Oficer zamilkł. Oparłszy się o fotel wbił wzrok w papiery zalegające biurko.

Zaczął się ponowne przeskakiwanie z tematu na temat, z wydarzenia na wydarzenie. Oficer już to pytał o okres okupacji, już to wracał do 1920 roku, by po paru chwilach znów zahaczyć o 1912 rok.

— Zeznaliście, że Malinowski, poseł do Dumy, członek partii bolszewickiej, był prowokatorem.

— To powszechnie znany fakt. Mówił o tym Lenin, Stalin, historia ruchu robotniczego.

— Ale czy wy nie zdajecie sobie sprawy, że wyciąganie tego szczegółu teraz przynosi szkodę partii i państwu?

— Nie, nie rozumiem tej dbałości o partię i państwo. Czy mam twierdzić, że nie było nigdy prowokatora o takim nazwisku?

— Takie przypomnienie sugeruje, że w partii bolszewickiej, niezłomnej i przodującej, mógł się znaleźć prowokator.

— To nie żadne przypomnienie i nie żadna sugestia. Zetknąłem się z Malinowskim, więc napisałem o tym.

— Ale wy tworzycie uogólnienia.

— Ja? Mianowicie jakie?

— Napisałeś o tym, że człowiek przysłany przez Malinowskiego do pracy w Warszawie — jakże się nazywał?... aha! Afanasiew — był również prowokatorem.

— I tak było faktycznie.

— Czy nie rozumiecie, że to nam przynosi szkodę?

Szpakowaty przyglądał się czas dłuższy oficerowi, po czym zapytał:

— O czym wy właściwie mówicie?

— O tym, że z ruchu rewolucyjnego wyciągacie tylko postaci, które świadczą o...

— Postaci wielkie obejdą się bez mojego świadectwa, bronią się same.

— Ach, tak! W takim razie czym tłumaczycie fakt, że właśnie wy zetknęliście się z tymi prowokatorami?

— Między innymi również z prowokatorami. A jak wy sobie wyobrażacie robotę w nielegalnej partii, w której działali również wysłannicy wroga? W nielegalnym ruchu często działali prowokatorzy.

— Dlaczego podkreślacie: w nielegalnym? A w legalnym nie mogą działać?

— Nie wiem. W każdym razie to coś zupełnie innego, zwłaszcza wówczas, gdy partia sprawuje władzę.

— A więc waszym zdaniem jest rzeczą wykluczoną, aby prowokatorzy działali również w warunkach, gdy władzę sprawuje lud.

— Nie, nie wykluczam takiej możliwości.

— To jest pewne, tymczasem wy z tą swoją teorią dopuszczacie jeszcze istnienie innej możliwości.

— Nie rozumiem.

— W warunkach zaostrzającej się walki klasowej wróg broni się coraz zacieklej.

— Co to wszystko ma wspólnego z moją osobą?

— To, że każdy może być narzędziem w rękach wroga.

— Człowiek nigdy nie może być narzędziem.

— Różny jest materiał ludzki.

— Człowiek nigdy nie może być materiałem.

— Ale ludzie mają różną świadomość.

— To jest pewne, absolutnie pewne.

— A więc? — nalegał młody oficer.

— Co znaczy to więc? Czy mam się przyznać do posiadania odrębnej jakiejś świadomości, innej od tej, jaką mają ludzie od lat związani z ruchem robotniczym?

— A ja wam udowodnię, że macie inną.

— Może. Ale musicie mi jeszcze udowodnić, że jest świadomość przestępcy i zbrodniarza, który działał na szkodę partii, klasy robotniczej, rządu.

— Znaliście Leńskiego?

— Znałem. Pisałem o tym.

— No? — oficer odetchnął z ulgą.

— Czy to dowód przestępstwa? To był mój przyjaciel, jeden z najstarszych moich towarzyszy.

— Wiecie, za co został skazany?

Szpakowatego ogarnęło nagle ogromne zniechęcenie. Czuł się zmęczony tym niepotrzebnym fechtunkiem słownym, może efektownym, ale łatwym. Sporo dni minęło, zanim pojął, że ten młody człowiek musi skonstruować lub znaleźć zarzut za wszelką cenę. Tamten szukał szczeliny, przez którą by się zdołał przedostać i ukazać jako triumfator: oto nareszcie odkrył sprzeczność, niekonsekwencję, fałsz. Potrzebna mu była jedna jedyna sprzeczność, aby móc podważyć wszystko inne. Był dość inteligentny, by pokusić się o szukanie sprzeczności. Ale dlaczego ja mu mam w tym dopomóc? — zapytywał siebie. — Do jakiej roli zostałem użyty? Dokąd ja się dałem zepchnąć? I dokąd to wszystko prowadzi? Czy mój brak pamięci, wyczerpanie duchowe i fizyczne mają stać

się przyczyną skazywania mnie bez dostarczenia rzeczywistych dowodów winy?

Szpakowaty odpowiadał teraz niechętnie, po dłuższym namyśle, nie ukrywając dezaprobaty, z jaką przyjmował liczne pytania oficera. Na niektóre pytania w ogóle nie odpowiadał. Oficer połapał się niebawem, że Szpakowaty stosuje zmienioną taktykę.

— Jeżeli będziecie mnie traktowali z góry, przedłużę śledztwo — oświadczył pewnego dnia gniewnie. Miał minę obrazonego.

— A wy skąd wiecie, że ja was traktuję z góry?

— Nie odpowiadacie na pytania.

— Bo stawiacie takie, na które brak mi często odpowiedzi.

— Takie głupie? — Oficer wpatrywał się wyczekująco w twarz Szpakowatego.

— Nie oceniam waszych pytań. Powiadam, że często nie mam na nie co odpowiedzieć.

— To przedłuża śledztwo, utrudnia je.

— Nie zamierzam tego robić. Jestem zainteresowany, aby się ono skończyło natychmiast.

Rozmowy toczyły się nadal. Prowadzono je codziennie, lecz bez rezultatu. Oficer nie tracił mimo to cierpliwości ani nadziei. Rano zabierał się ochoczo do roboty i kończył ją pod wieczór pełen ufności, że następny dzień będzie dla niego przychylny, szczęśliwy.

Pewnego razu, w czasie spaceru odbywanego samotnie na niewielkim podwórzu, z mizernym klombem pośrodku, Szpakowaty ujrzał jakiegoś więźnia odzianego lichu. Był to człowiek o nędznym wyglądzie: wychudzony, zaniedbany, zarośnięty, o zielonkawej cerze, ledwo poruszał się w czasie pracy, która polegała na zamiataniu podwórka miotłą z czarnych, suchych witek. Więzień posuwał się powoli, ostrożnie: stawiał nogi niepewnie, tak jakby miał rany na stopach. Przystanawszy zgarniał trochę trawy, kilka listków leżących na podwórzu, przy czym wzbijał miotłą chmurkę pyłu. Zrobiwszy porządek wokół siebie, stawiał następny, powolny i ostrożny krok. Styliśko miotły było bardzo krótkie, więzień musiał się więc pochylić i Szpakowaty nie widział dokładnie rysów twarzy.

Do tej pory Szpakowaty odbywał spacer samotnie, dziś ujrzał po raz pierwszy obcego człowieka, który przebywał wraz z nim na podwórzu. Zdziwiło go to, zaskoczyło. Jego zdziwienie pierchło, gdy stwierdził, że poza wartownikiem, który go wyprowadził na spacer, na podwórzu znajdują się jeszcze dwaj, strzegący nieznanego więźnia. Szpakowaty poświęcił mu nieco uwagi, zatrzymując dłużej wzrok na tej zabiedzonej postaci, na zniszczonym, szarym i podartym stroju. Na chwilę mignęła twarz tamtego — więzień przemierzał podwórze pochylając się ciągle ku ziemi.

Szpakowaty chodził w kółko, założywszy ręce w tył. Zamyślony, rozważał, co przyniesie dzisiejszy dzień. Niebawem miał się pojawić oficer, by rozpocząć zwykłą, codzienną rozmowę.

Nagle Szpakowaty przystanął. Zdumiony cofnął się, jego ręce opadły bezwładnie. Cofając się ciągle, nie mógł oderwać oczu od twarzy tamtego człowieka. Pod gęsto zarośniętym czołem ujrzał oczy, które mu przypomniały kogoś. Widok tego człowieka przeraził go. Szpakowaty był wstrząśnięty:

— Ja was znam — szepnął tamten i wyprostował się. W jego ręce zawisła miotła.

— Ja także. — Gdzieś was widziałem. — Szpakowaty rozejrzał się lękliwie. Wartownicy zauważyli, że więzień zamiatający podwórko zaniechał swej czynności, musieli widzieć, że obydwa więźniowie stoją blisko siebie i rozmawiają. Istotnie, trzech wartownicy — ten, który wyprowadził Szpakowatego, oraz pozostali dwaj, strzegący więźnia z miotłą — skupili się i spokojnie przyglądali się dwóm rozmawiającym więźniom. Wejście do pawilonu było zamknięte. Ku zdumieniu obu więźniów, wartownicy nie przeszkadzali im. Nie odrywając spojrzenia od grupki w mundurach, Szpakowaty powiedział:

— Nie mogę sobie przypomnieć, ale wasza twarz jest mi jakoś bardzo znana. Ale gdzie...

— Wasza również.

— Jak się nazywacie?

— Karot.

— Karot! Rzeczywiście! Jak wyście się zmienili! Widziałem was zaraz po wojnie w Sztokholmie!

— Pracowałem tam w tym czasie.

— A ja byłem z synem, pamiętacie?

— Tak. Operowano go wtedy.

— Nie żyje — odparł szeptem.

Nagle rozwarła się z trzaskiem żelazna furtka, wiodąca do pawilonu. Porzuciwszy mrok sieni, młody oficer śledczy wkroczył w jaskrawy blask słońca. Wartownicy rozstąpili się. Oficer zatrzymał się, skrzyżował ramiona i wbił wzrok w obu rozmawiających więźniów. Szpakowaty nie uczynił nic, co by mogło świadczyć o chęci ukrycia faktu; patrzył w twarz oficera. Dostrzegł na niej lekki uśmiezek, ironiczny grymas skrzywił tę twarz i trwał na niej, dając świadectwo zwycięstwu, o które na próżno zabiegał przez tyle dni w utarczkach z tym upartym, starym człowiekiem.

Od owego dnia zaczęły się zjawiać najdziwniejsze z dziwnych pytań. Tamto przypadkowe spotkanie z Karotem, trwające minu-

tę lub dwie, do którego doszło na więziennym podwórku w obecności trzech wartowników, otworzyło, zdawałoby się, nie dostrzeżone do tej pory źródła wiedzy o Szpakowatym. Zaczęły się mnożyć pytania, z których każde było zalążkiem insynuacji, podejrzeń, indagacji zaskakujących, podchwytliwych, podstępnych. Wszystko zaczęło się od nowa. Minione dzieje Szpakowatego, całe jego życie, przeszłość sięgająca lat szkolnych stawała się teraz tajemnicza, zawoalowana nieprzeniknioną mgłą. Wszystkie zapisane do tej pory arkusze życiorysów, protokołów, zeznań odeszły w cień, stały się nieważne, nieistotne. Życie, świadoma działalność polityczna, kariera działacza rozpoczynała się dopiero od owej chwili, gdy na podwórku więziennym pewien więzień wyprostował ciało i zetknął się nagle oko w oko ze starym, steranym człowiekiem. Od owego zdarzenia jego życiorys rozpoczynał się od nowa: każdy szczegół przybierał teraz inny kształt, odmienną treść. Szpakowaty ujrzał się osaczonym; był nieporadny, sponiewierany.

— Twierdziliście, że nie znacie Karota — mówił oficer, trzymając przed sobą zapisany arkusz. Szpakowaty poznał swoje pismo.

— Gdybym go nie znał, nie mówiłbym o nim.

— A więc mówiliście o wszystkich, których znaliście?

— Tak.

— To znaczy... — Oficer urwał i wnet dodał, zaskakująco, szybko: — sypaliście...

Szpakowaty wstał, pobladł.

— Co powiedzieliście?

— Że sypaliście.

— Jak śmiecie!

— Przyznaliście, że mówiliście o wszystkich, których znaliście.

— Tak, ale to nie jest sypanie.

— A co to jest?

— Nie wiedziałem, że ludzie prowadzący do tej pory śledztwo — to nasi wrogowie.

— Nie mówcie „nasi”, mówcie o sobie.

— Moment sypania zjawia się tylko w stosunkach między wrogimi siłami, między zwalczającymi się wrogimi klasami.

— A więc znaliście Karota.

— Znałem.

— A twierdziliście, że go nie znacie.

— Był taki czas, kiedy go nie znałem.

— Właśnie! Właśnie! Zjawia się ciekawy element: czas! — Oficer urwał i wnet zapytał: — A więc, waszym obecnym zdaniem, kiedy poznaliście Karota?

— Po wojnie.

— Fałsz! — Oficer wstał gwałtownie. — Kłamstwo! Przygwoździłem was.

— To nie fałsz. Mam dość bolesnych powodów, by pamiętać dobrze, kiedy poznałem tego człowieka.

— A za co siedzi?

— Nie wiem.

— Nie mówił?

— Nie.

— Nie zdążył powiedzieć?

— Nie pytałem.

— Bo uważacie, że siedzi niewinnie, prawda? — Z twarzy oficera nie zniknął uśmiešek.

— Nic nie uważam i nic o nim nie wiem.

— Przecież mówiliście, że go znacie.

— Znam.

— Od kiedy?

— Powiedziałem. Poznałem go po wojnie.

— Gdzie?

— W Sztokholmie.

— Kiedy?

— W 1946 roku.

— Ja wam przeczytam, co Karot podał do protokołu.

Oficer wydobyl spośród sterty papierów jeden arkusz i zaczął go odczytywać. Szpakowatemu pociemniało w oczach. Z tekstu wynikało, że Karot poznał Szpakowatego w 1935 roku. Stary człowiek poczuł nagły skurcz w okolicy serca. A więc skłamał... Karot skłamał i oficer rozwierał powoli szczelinę, każdym nowym słowem rozszerzając ją niepomieranie. Z niepozornego, zmyślnego i kłamliwego szczegółu oficer wznosił gmach oskarżenia.

— Karot znał waszego szwagra — uzupełnił oficer. — On twierdzi, że poznał was u Mateusza. Co wy na to?

— Nic. Przytaczacie jako dowód zeznanie człowieka, który powołuje się na świadectwo nie żyjącego.

— Jak to?

— Mój szwagier nie żyje.

— A to spotkanie z Karotem na podwórzu to przypadek?

— A co to było waszym zdaniem?

— Z każdym więźniem, zamiatającym podwórze, przystanęlibyście, aby uciąć sobie pogawędkę?

— Może tak. Gdyby to było dozwolone, może bym tak postąpił.

— A więc wiecie, że nie wolno rozmawiać?

- Wiem. Możecie mnie za to ukarać, ale to nie obciąża...
- A więc gadaliście z nim?
- Chcieliście tego, a ja dałem się nabrać.
- Co to ma znaczyć?
- Wartownicy usunęli się, nie przeszkadzali. Myślicie, że nie przejrzałem już tej waszej gry? Myśleliście, że już macie dowód przeciwko mnie, ową nieścisłość tak pilnie poszukiwaną, tak wam potrzebną, aby mnie pogrzebać?
- A skąd ja mogłem wiedzieć, że wy się znacie?
- Z moich zeznań. Gdy pisałem o pobycie w Sztokholmie, wspomniałem, że tam spotkałem Karota.
- No! Nareszcie! I dlatego siedzi.
- Nie! Nie dlatego! To wam się nie uda. Nie złamiecie mnie. Nie obciążajcie mnie cierpieniem tego człowieka. Znajomość ze mną nie może być powodem do aresztowania. Na moim sumieniu ciąży kolejarz, którego trzymacie, ponieważ powiedział mojej żonie, co się ze mną stało. Zwolnijcie go! To zbrodnia, co robicie!
- Liczcie się ze słowami!
- One nikomu nie czynią krzywdy.
- Nie wiadomo.
- Wiadomo. Już wszystko wiadomo. Zorganizowaliście akt prowokacji. Będę was traktował jak wroga, którego trzeba podejść, oszukać, unieszkodliwić.
- A jeśli partia tego chce?
- Czego?
- Żebyście znali Karota sprzed wojny.
- Nie. To kłamstwo. Partia nie może tego chcieć. Szkalujecie partię.
- Skąd ta pewność?
- Partia nie może chcieć, abym kłamał i zeznawał fałszywie.
- A może jednak?
- Targujecie się ze mną jak w handelku. Wy tego chcecie, a nie partia. I wiem dlaczego. Bo Karot znał Mizere, członka Sekretariatu, podejrzanego o prowokację... Gdybym się przyznał do znajomości z Karotem w okresie przedwojennym, znaczyłoby to, że Mizera, podejrzany o prowokację, utrzymywał ze mną stosunki za pośrednictwem Karota.
- A ja tu mam taki protokół, w którym piszecie, że go znacie sprzed wojny.
- Pokażcie mi ten protokół.
- Oficer składał papiery w pośpiechu, bezładnie, po czym wsunął je do teczki, którą zamknął z trzaskiem, i nie spojrzawszy na Szpakowatego opuścił celę.

Był sierpień 1954 roku. Pewnego dnia młody oficer zjawił się ponownie. Unikając spojrzenia Szpakowatego okazał mu nagłym ruchem jakąś fotografię.

— Znacie tego pana?

Na zdjęciu ujrzał twarz, która mu się wydawała znajoma: było to oblicze mężczyzny, pociągłe, w którym tkwiły czarne oczy, patrzące niepokojąco, przenikliwie. Od nosa ku ustom biegły dwie głębokie bruzdy.

— Chyba tak — odparł Szpakowaty z namysłem.

— Co znaczy: „chyba tak”? Albo go znacie, albo nie.

— Muszę się zastanowić.

— Ja pytam: znacie go czy nie znacie?

— Nie będę odpowiadał. Nie wiem, do czego może prowadzić pochojna odpowiedź.

— Szukacie wykretnu.

— Nie. Wykret to prawie tyle lub może więcej niż kompromis. Zbyt drogo płaciłem za dotychczasowe kompromisy.

— Nie teoretyzujcie.

— Za mało tego było. Za dużo było praktyki bez teorii.

— Zarzucacie mi, że nie jestem komunistą?

— Wam? A kim wy jesteście?

— Mam wam opowiedzieć życiorys? Złożyć samokrytykę? Ja mam nienaganne pochodzenie i...

— I nieomylny instynkt — zadrwił Szpakowaty.

— Wy w to nie wierzycie?

— Ja w nic nie wierzę.

— Również w socjalizm?

— W każdym razie nie w ten, który wy tu reprezentujecie.

— Ja tu reprezentuję urząd.

— No więc. Wróćmy do urzędowych spraw.

— Czy znacie tego pana?

— Gdzieś go widziałem, ale z absolutną pewnością tego sobie nie przypominam.

— Przypomnę wam.

— Proszę.

— Skonfrontuję was z nim.

— W jakim celu?

— W jakim! — powtórzył oficer pogardliwie. — Czy się znacie, oczywiście! i ostrzegam: wolno wam tylko odpowiadać na pytania, o nic wam pytać nie wolno, pod ciężką odpowiedzialnością.

W gabinecie, na parterze, ujrzał za biurkiem pułkownika i dwóch majorów. Oficer prowadzący śledztwo stał blisko biurka. Obok Szpakowatego, stojącego w kącie, stał inny, nieznany mu

oficer. W drugim kącie Szpakowaty ujrzał więźnia, którego wnet zasłonił pułkownik, przechadzający się po pokoju. Początkowo Szpakowaty sądził, że pułkownik przesłonił więźnia przypadkowo, niebawem spostrzegł jednak, że czyni to rozmyślnie, by uniemożliwić wzrokowe porozumienie. Szpakowatemu wystarczył jednak jeden moment, by w człowieku stojącym w drugim kącie poznać dyrektora departamentu z Ministerstwa Apropowizacji, którego odwiedził wiele lat temu wraz z delegacją robotników fabryki mebli. To o nim mówił mi tamten kierownik zakładu w Bydgoszczy, że go aresztowano — pomyślał Szpakowaty. — Czyżby go trzymali tyle lat? — Myśli Szpakowatego pierzchły w popłochu. — I co ja mam z nim wspólnego lub on ze mną?

— Czy znacie tego obywatela? — Pułkownik stojący między nimi usunął się na chwilę. Szpakowaty spojrzął na więźnia w kącie.

— Proszę powiedzieć tylko: tak lub nie.

— Tak — odparł Szpakowaty.

— Kiedyście go poznali?

— Po wojnie.

— Kiedy? Dokładnie.

— Na jesieni 1948 roku.

— Ile razy widzieliście go?

— Raz.

— Gdzie?

— W Ministerstwie Apropowizacji.

— I nigdy więcej?

— Nie.

— A u szwagra swego nie spotykaliście go nigdy?

— Nie przypominam sobie.

— Ale mógł tam być.

— Mógł. Ale ja go tam nigdy nie widziałem. Kiedyś spotkałem tam jakiegoś człowieka i o tym pisałem w życiorysie.

— Tak. Tamten człowiek nie żyje.

Teraz kazali wyprowadzić więźnia, który, nie pytany milczał cały czas.

— Proszę podpisać protokół.

— Szpakowaty zbliżył się do biurka, pułkownik podawał mu pióro i wtedy Szpakowaty cofnął rękę.

— Nie podpiszę.

— Dlaczego?

— Muszę wiedzieć, co tamten człowiek zeznał.

— Niby dlaczego?

— Bo już mam doświadczenie z Karotem. Od dziś nie będę niczego podpisywał.

— Tamten człowiek nie powinien was nic obchodzić.

- Musi mnie obchodzić, skoro konfrontowaliście nas.
- On podpisze swoje zeznanie, wy swoje.
- Wiem. Ale między naszymi zeznaniami może być sprzeczność i tę wykorzystacie na moją niekorzyść.
- Ten człowiek był łącznikiem między szwagrem a waszym bratem w Czechosłowacji.
- Musiałbym coś wiedzieć o tym.
- Wasz brat znał zdrajcę Tito.
- Może. W jakiej mierze to mnie obciąża? — powiedział głośno, odyskując panowanie nad sobą.
- A kto współpracował z Leńskim? Jeden brat z Tito, drugi z Leńskim! Przed kim chcecie ukryć, kto mu umożliwił w 1925 roku ucieczkę z sądu? Kto go wtedy ukrywał? Wy! I usługa za usługę. Potem jedziecie sobie do Moskwy, Leński was gości, Leński udziela wam dyrektyw i posyła z powrotem do kraju...
- Jakie macie na to dowody? — spytał Szpakowaty spokojnie.
- Czy wiecie, dlaczego KPP zostało rozwiązane?
- Widzieliście uzasadnienie? Dowody?
- A uchwała komisji Międzynarodówki, która zarządziła rozwiązanie KPP, to dla was żaden dokument? Wątpicie w prawdziwość dokumentów partyjnych?
- W moim głębokim przekonaniu ów dokument jest krzywdzący dla naszej partii.
- Dla „naszej”! — Pułkownik zerwał się z krzesła. — Zabraniam wam mówić: „nasza”. To już nie jest wasza partia. Już wy do niej nie wróćcie nigdy.
- Nie jesteście instancją, która może o tym decydować.
- A kto nią jest w waszym rozumieniu? Mnie tu postawiła partia!
- Ja też jestem partią. Ja was nie znam.
- To mi niepotrzebne. Musicie tylko uznać nasze decyzje.
- Niczego nie będę uznawał.
- Złamiemy was.
- To nie będzie znaczyło, że macie rację. Przeczytajcie sobie po wyjściu stąd przemówienie towarzyszkii Kostrzewy z 1924 roku.
- Nie znam. Nie wiem. A jeśli partia zażąda, abyście uznali moją rację?
- Wasza racja nie musi być racją partii. Musiałaby być równieź moją racją.
- A więc nie podpiszecie?
- Nie!
- Nic wam nie pomoże. Złapaliśmy was na kłamstwie.
- Musieliście na to czekać pięć lat i cztery miesiące.

— O, dokładnie liczycie. Rachujcie sobie.

— Muszę. Ja już mam sześćdziesiąty szósty rok. Niewiele mi zostało z życia. I tych ostatnich lat nie pozwolę oczernić zarzutem prowokacji i szpiclostwa.

— Takie rzeczy już się zdarzały.

— Niestety, tak. Wiem.

— Niestety?

Głos Szpakowatego zadrżał:

— Ja ich obronię. Ja ich szkalować nie będę. Wam się to nie uda. Jeżeli z nimi postępowano tak jak ze mną, to trzeba postawić przed sądem prowokatorów i zrehabilitować niewinnych...

Oficer odłożył pióro i zapytał powoli:

— A o kim wy właściwie mówicie? Co?

— O Leńskim, o Kostrzewie, o Warskim, o wielu, wielu innych.

Major zamachał gwałtownie rękoma.

— Nie o to pytam — podniósł głos — kogo wy właściwie uważacie za prowokatorów, których trzeba powołać przed sąd? Co?

Szpakowaty milczał. Tamten dodał:

— Czy wy, lub podobni wam, pragniecie sobie uzurpować prawo sądenia naszych przyjaciół? Czy wiecie, jak się to nazywa?

Szpakowaty siedział z pochyloną głową. Spod przymkniętych powiek płynęły łzy, toczyły się po zapadłych policzkach, ku wargom, gdzie zapiekły goryczą. Milczał w dalszym ciągu.

— Nie odpowiadacie, co? Radzę wam dobrze, zaczynajcie się uczyć, co to jest proletariacki internacjonalizm. Jeszcze raz dobrze wam radzę.

Szpakowaty, nie podnosząc głowy, szepnął:

— Ja się już uczyłem, ale niedostatecznie...

— Niedostatecznie? — Pułkownik pochylił się nad biurkiem i wbił wzrok w twarz Szpakowatego.

— Tak. Lenin nie milczałby w 1937 roku.

Znów przybył jakiś człowiek, który się przedstawił jako prokurator. Szpakowaty czekał dalszych wyjaśnień nieufny, niepewny: nie chciał mówić z przybyłym. Tamten spostrzegł to i powiedział wręcz, co sądzi o postępowaniu Szpakowatego.

— Tak. Przyznaję, że tak jest. Nie zamierzam więcej wystawiać sobie złych świadectw.

— Złych?

— Ciągłe się okazuje, że ułatwiałem komuś konstruowanie zarzutów i oskarżeń. Dosyć!

— A więc kwestia zaufania?

— Braku zaufania.

Milczenie trwało długo, wreszcie przybyły powiedział:

— Zastanawiam się nad tym, jak zyskać wasze zaufanie. Wiem, że martwi was brak wiadomości z domu. — Mówiący obserwował uważnie Szpakowatego. — Mógłbym zabrać list.

Szpakowaty napisał pośpiesznie kilka obojętnych, oschłych słów. Wszelki wysiłek wydawał mu się niegodny zachodu. Prokurator zabrał list i więcej się nie zjawił. Odpowiedzi nie było. Teraz Szpakowaty uśmiechał się: zdawało mu się, że zyskał wyższość nad tymi wszystkimi, którzy mu ciągle coś przyrzekali, lecz nie dotrzymywali słowa. Już nie może być żadnych niespodzianek — powiedział sobie. — Kilka napisanych słów uwalnia mnie od wszystkiego — od wyrzutów sumienia, że nie chciałem korzystać z okazji i od lęku wyczekiwania, ponieważ oni już nigdy nie dotrzymają słowa...

Był wrzesień 1954 roku. Dzień wyraźnie zmniejszał się, lecz słońce mocno jeszcze grzało. Świty budziły się mroźne, były spóźnione, pachniały opadłym liściem. Gdzieś niedaleko, za murem, musiały więdnąć zioła. Wiatr przynosił woń pól, spóźniony, łąkowy zapach siana, tataraku. Owego dnia odwiedzili jego celę dwaj nieznani ludzie i okazawszy dokumenty oświadczyli, że są prokuratorami. Na wstępie podkreślili, że nie przybyli w sprawach śledztwa. Pośpiesznie zapytali, czy Szpakowaty nie ma żadnych skarg, zażaleń, uwag...

— Śledztwo... — zaczął Szpakowaty, lecz tamci przerwali mu.

— Jesteśmy z generalnej prokuratury, nam chodzi o zażalenia.

— Właśnie chciałem...

Nie pozwolili mu dokończyć zdania.

— My nie w sprawie waszego śledztwa. Nam chodzi o to, czy więźniowie nie mają skarg lub zażaleń.

— Nie mam żadnych skarg — odparł obojętnie. Nie ukrywał zniechęcenia.

— A wyżywienie? A traktowanie?

— Chcę wiedzieć, kiedy zostaną zwolniony. Od pięciu z górą lat siedzę tu niewinnie — powiedział głośno.

Tamci złożyli notatki nie wpisawszy w nie ani słowa. Następnego dnia zjawili się inni dwaj, tym razem w mundurach wojskowych.

— Jesteśmy z prokuratury wojskowej. Czy macie jakieś skargi, zażalenia?

Szpakowaty przyglądał się przybyłym w milczeniu. Powtórzyli pytanie, Szpakowaty rzekł:

— Chciałbym wiedzieć, dlaczego moją sprawą zajęła się obecnie prokuratura wojskowa. — Przybyli milczeli. — Czy teraz będę już stale podlegał prokuraturze wojskowej? — Tamci ciągle nie odpowiadali. — Czy to znaczy, że nastąpiła inna kwalifikacja mojej rzekomej zbrodni?

— Nie przybyliśmy po to, aby nam stawiano pytania — odparł chłodno prokurator. — Czy obywatel ma jakieś żale?

— Tak.

Jeden z przybyłych otworzył brulion.

— Chcę wiedzieć, dlaczego tak długo toczy się śledztwo.

— I co jeszcze? — zapytał ten, który pisał.

— Dlaczego nie mam prawa do korespondencji?

— Czy to wszystko?

— Na razie.

Następnego dnia wezwano go do kancelarii. Tam ujrzał jednego z prokuratorów, którzy odwiedzili go wczoraj.

— Możecie napisać list do domu.

— Nie będę pisał.

— Dlaczego?

— Pisałem już trzy albo cztery razy i nigdy nie było odpowiedzi.

— Dlaczego?

— Nie wiem.

— Jak to sobie tłumaczycie?

— Jak? Chyba tym, że kpiono ze mnie.

— Możecie to sobie tłumaczyć jak chcecie. Teraz odpowiedź już przyjdzie.

Wrócił do celi. Wszystko go dziwiło. Zdumiał go pośpiech, z jakim przybywający domagali się koniecznie zgłaszania skarg, zażaleń, uwag. Zaskoczyły go codzienne wizyty prokuratorów, odwiedzających go za każdym razem w innym składzie. Najbardziej zastanowiło go przybycie ludzi z prokuratury wojskowej. Czyżby nie obdarzano zaufaniem pracowników prokuratury generalnej? Któż to mógł zarządzić? Kto miał w państwie taką władzę? Rząd? Biuro Polityczne? Plenum KC?

Zastanowiły go słowa prokuratora, który dziś z nim rozmawiał i nakłaniał do ponownego napisania listu. Co znaczą jego słowa przyzwalające na dowolną interpretację dotychczasowego milczenia Marii? Czyżby wiedział coś o niej? Prokurator zbaga-
telizował swoim powiedzeniem wszystkie jego domysły, przypu-

szczenia, lęki i przeczucia. A więc znów zadrwił z niego? Ten list był krótki, nie przywiązywał do jego treści żadnej wagi. Tym mniejsze będzie rozczarowanie — powiedział sobie.

Nastąpił okres, w którym każdy niemal dzień przynosił coś nowego. Wkrótce potem prokurator wręczył mu kartkę papieru wypełnioną maszynowym pismem. Szpakowaty przebiegł ją szybko wzrokiem, serce biło mu gwałtownie. Przeczytał tekst raz i drugi, lecz nic nie rozumiał. Uporczywie wbił wzrok w podpis napisany ręcznie i tylko to imię, nie wykonane czcionką maszyny, przykuwało oczy. Nie miał pewności czy imię „Maria” zostało napisane jej ręką...

Drogi Panie Janie!

Na pewno Pan się nie domyśla, kto w imieniu pani Marii pisze ten list. A to właśnie ja, Anna z Zajaków Kozłowska. Jestem szczęśliwa, że mogę napisać do Pana tych parę słów, przesyłając równocześnie moc całusów i pozdrowień od siebie i swojej rodziny, to znaczy męża i córki Kasi, liczącej obecnie 12 lat.

Jestem właśnie u pani Marii, która czuje się coraz lepiej i coraz lepiej wygląda. Trzyma się doskonale, jest jak zawsze bardzo dzielna i godna podziwu. Może Pan być zupełnie o nią spokojny. W najbliższej paczce wyślę Panu fotografię. Znajomi nie opuszczają pani Marii w najcięższych chwilach. Wszyscy Pana gorąco oczekujemy i to jest najważniejsze. Jeszcze raz najserdeczniej Pana pozdrawiam. Aha, jeszcze coś, Panie Janie: my mieszkamy na Narbutta, jak dawniej. Przypuszczam, że gdy Pan będzie szedł do domu, najwygodniej będzie zahaczyć o nas, a już w każdym razie zadzwonić, abym mogła zejść poszukać taksówki i z Panem zajechać do domu.

Pani Maria ma sparaliżowaną rękę, dlatego ja ją wyręczyłam, ale podpis składa sama i łatwo Pan pozna, że to jej charakter pisma.

Szpakowaty spojrzał na prokuratora. Widział go jak przez mgłę, niepewnie, chwiejnie. Tamten siedział milcząco.

— Możecie odpisać do domu — rzekł prokurator. — Nie powinniście mieć żadnych skrupułów. Pewnie domyślacie się już, dlaczego poprzednie listy pozostały bez odpowiedzi.

— Tak — szepnął. — Tak, ale ja wysłałem w ciągu tych lat list, inny list, na który nie mam do tej pory odpowiedzi.

— Do kogo pisaliście?

— Do Komitetu Centralnego.

— Napiszcie teraz. Obecnie już nie zostanie bez odpowiedzi. Trzeba będzie jednak trochę poczekać. Ile wam trzeba czasu?

— Chciałbym do domu napisać natychmiast. To niedługo potrwa, dobrze?

— Zaczekam i zabiorę. Do KC napiszcie jutro.

Szpakowaty został sam. Na stoliku leżała kartka papieru i pióro. Pisał:

Moja najdroższa, najukochańsza Mario!

Wielki dzień przeżyłem dzisiaj. Otrzymałem list pisany w Twoim imieniu. W pierwszej chwili wstrząs był tak wielki, że zupełnie się zatraciłem. Po

przeszło pięciu latach pierwsza wiadomość, jeśli już nie od Ciebie, to o Tobie. Chciałem się doszukać w literce „M” podobieństwa do Twojego charakteru pisma, niestety, i tego nie potrafiłem. Nie mam potrzeby dodawać, że nie wierzę, iż masz „sparalizowaną” rękę, jak napisała pani Anna. Niepotrzebnie ukrywacie przede mną prawdę. Wyczuwam na odległość, że stało się znów wielkie nieszczęście. Ale najważniejsza jest wiadomość, że żyjesz. Myślę, że następny list wszystko wyjaśni. Dosłownie błagam Cię, napisz mi o sobie całą prawdę. Drzę o Twoje zdrowie i na sekundę nie mogę się oderwać od myśli, że jesteś poważnie chora i nie ma nikogo bliskiego, kto by Cię otoczył opieką. Wiem przecież, że zostałeś sama jedna na świecie. Jeszcze dobre i to, że nie wszyscy nasi znajomi zlekli się faktu mego aresztowania. Dowodem tego list napisany przez p. Annę. Jeżeli Tobie trudno pisać, poproś ją, aby napisała dokładnie. O sprawach związanych ze śledztwem nie pisuję.

Jeżeli, kochanie, wychodzisz z domu, to obowiązkowo przyslij zdjęcie, przy czym na odwrocie każ postawić datę i stempel zakładu fotograficznego, w ten sposób będę wiedział, że rzeczywiście potrafiś opuszczać dom. A gdybyś łóżka nie opuszczała, to jakkolwiek wyglądasz — przyslij zdjęcie amatorskie. Będzie mi bardzo przykro, jeśli nie dołączysz fotografii do następnego listu.

Kochanie, napisz mi obowiązkowo wszystkie szczegóły związane ze śmiercią Piotra. Rozumiem, że trudno ci będzie o tej tragedii pisać, ale pomyśl, kochanie, że mam prawo wiedzieć wszystko o synu, aż do ostatniej chwili jego życia. Napisz mi przy sposobności, czy dotarły do Ciebie trzy albo cztery moje listy. Obawiam się, że nie otrzymywałem od Ciebie odpowiedzi, ponieważ nie wiedziałas, jak postąpić w sytuacji, w której niezdolna byłaś napisać odręcznie. Dobrze, że teraz wpadłaś na pomysł, aby pani Anna wyręczyła Ciebie. Nie wiem, co to była za męka: niesłusznie podejrzewałem ludzi, że przetrzymywali moje listy i nie wręczali ich Tobie. O mojej sprawie nadal pisać nie mogę, gdyż śledztwo nie zostało ostatecznie zamknięte. Jednak wszystko, co ma początek, ma i swój kres, a moja sprawa nie może stanowić wyjątku w tej regule. Obiektywnie biorąc czas najwyższy, ażeby śledztwo w mojej sprawie zostało zakończone. Bądź tedy, moja Mario, najlepszej myśli i ufaj, że czas naszej rozłąki zbliża się ku końcowi. Marzę o tej niedalekiej chwili, gdy będę mógł objąć Twoją stroskaną głowę i otoczyć Cię opieką, która byłaby godna naszej półwiekowej przyjaźni, wspólnych okresów szczęścia i radości, a jeszcze liczniejszych — smutku i nie dających się opisać tragedii.

Papier się kończy, więc kilka praktycznych rad: nie przysyłaj mi żadnych paczek. Do tej pory były one jedynym dowodem, że żyjesz, dlatego trudno było z nich zrezygnować. Obecnie są niepotrzebne: weź to wszystko pod rozwagę i myśl lepiej o swoim odżywianiu, a nie rujnuj się dla mnie.

Z ogromną niecierpliwością oczekuję Twego listu i fotografii. Serdecznie, jak najmocniej ściskam Cię, biedna moja Mario.

Następnego dnia zasiadł do pisania listu do KC, lecz w chwili, gdy zaczął go pisać, owładnęło nim uczucie rozpacz. Był dzień 7 listopada...

Tyle lat pobytu w więzieniach — pisał — pod śledztwem, które jeszcze nie zostało zakończone, i w świetle zarzutów, które nie zostały mi udowodnione, zamienia się w nową jakość polityczną. To niegodne komunisty, by sięgnąwszy w przeszłość, przeprowadzać jakiejkolwiek porównania czy analogie z obecnym stanem prawa, jednakże to, z czym się spotykam, stanowi wyrażenie odejście od jakichkolwiek norm prawnych. Ktoś tu kiedyś mówił o łamaniu praworządności: otóż nie można łamać tego, czego nie ma. Co więcej: jeśli przyjąć założenie o możliwości łamania praworządności, to muszę stwier-

dział, że wraz z tym pada cała, z wielkim trudem wzniesiona idea humanizmu socjalistycznego, którym szczyciliśmy się tyle lat.

Jestem niewinny! Byłem wiernym członkiem partii i pozostaję wierny idei socjalizmu, najpiękniejszej idei świata, niezależnie od tego, czyje ręce ją brukają lub czyimi nogami jest deptana. Nigdy jednak nie pogodzę się, by ją deptano. Trzeba z tym walczyć w imię najszczytniejszych haseł internacjonalizmu i zwycięstwa socjalizmu w Polsce. Domagam się od was, towarzysze, abyscie wpłynęli na właściwe władze, by zakończyły śledztwo lub zwolniły mnie natychmiast.

Nieco później znów pojawili się dwaj prokuratorzy, tym razem w cywilu. Byli to ci sami ludzie, którzy poprzedzili przybycie przedstawicieli prokuratury wojskowej. Przywitali się z nim jak ze starym znajomym, po czym okazali mu list napisany przez niego do KC. Szpakowaty zadrżał: czyżby znów groziła za to kara, jak kiedyś, gdy bezpośrednio po napisaniu do kierownictwa rozpoczęto od nowa ostre śledztwo? Szpakowaty czekał wyjaśnień, ukrywając z trudem podniecenie.

— Chcemy was zawiadomić, że w najbliższym czasie śledztwo zostanie zakończone.

— Byłem pewien, że wiecie, iż jestem niewinny, i chcecie mi oznajmić, że mam nareszcie opuścić ten gmach.

— Ta chwila się zbliża.

Drugi z przybyłych wtrącił:

— Powiedzcie nam, jakie macie życzenia?

— Proszę o dzienniki i „Nowe Drogi”.

Tamci spojrzeli po sobie.

— Nie, tego wam dać nie możemy.

— Dlaczego?

— Ograniczam się do odmowy, bez podania motywów. Natomiast możecie otrzymać tygodniki i inne miesięczniki.

— Proszę. — Po chwili dodał: — Sądząc z odmowy dostarczenia mi dzienników, wnoszę, że w kraju dzieją się ważne rzeczy.

Przybyli znów spojrzeli po sobie przelotnie, pierzchliwie. Szpakowaty podchwycił to spojrzenie. Niepokój ustąpił.

— Nie możemy wam niestety dawać dzienników.

— Chciałbym, aby żona otrzymała moje rzeczy z depozytu.

— Będą wam potrzebne, gdy wyjdziecie.

— Ona musi je spieniężyć, jest chora.

— Dobrze.

— Chcę napisać list do domu.

— Proszę.

Szpakowaty pisał:

Najukochańsza moja Mario!

Tym razem napiszę krótki, zwięzły, „rzeczowy” list. Chcę, kochanie, Ciebie poinformować, że w tych dniach rozmawiałem z prokuratorem. W toku roz-

mojy uzyskałem zgodę na wydanie Tobie z depozytu niektórych rzeczy. Prosząc o zgodę w tej sprawie, kierowałem się jedynie myślą, że ja z nich, w moich warunkach, użytku nie zrobię, natomiast sędzę, że Ty mogłabyś je spieniężyć. Chcę choć w ten sposób przyjść Tobie z pomocą, tak jak już pisałem kiedyś. Przykry to co prawda „prezent” na złote gody naszej znajomości. Kochanie, nie obwiniaj mnie i nie miej żalu, że taki los Ciebie i mnie spotkał. Z ogromnym utęsknieniem czekam na bezpośrednią wiadomość od Ciebie. Bądź dalej mężna i trwaj. Moje zdrowie — szczerze piszę — nad podziw dobre. Najserdeczniejsze dzięki za otrzymaną paczkę. Kochanie, proszę Cię szczerze, jeśli te paczki są związane z uszczerbkiem dla Ciebie, chętnie z nich zrezygnuję. Wybacz mi, Mario moja najdroższa, że list ten w swej treści jest daleki od tego, czego się masz prawo spodziewać i co ja gorąco pragnąłbym na papier przelać. Zaznaczyłem na wstępie, że list będzie krótki, „rzeczowy”, taki tym razem być powinien.

Prokurator przychodził codziennie i znów zaczęły się rozmowy. Niebawem Szpakowaty zorientował się, że mają one zupełnie odmienny charakter od tych, jakie prowadzono z nim do tej pory. Na biurku leżały zapisane arkusze papieru, prokurator okazał je Szpakowatemu: były to jego życiorysy.

— O tym będziemy mówili — rzekł uspokajająco. — Tylko o tym. Nie czytałem jeszcze w mojej praktyce elaboratu omawiającego tak dokładnie, tak wnikliwie własne życie.

— Pochlebiacie mi, prokuratorze, ale ja miałem bardzo dużo czasu na analizę. O wiele za dużo. Dziękuję za pochwałę.

— O nie. Wcale nie. Istnieje obawa, że wasze polityczne oblicze zostanie zamazane, utonie w powodzi szczegółów i przyczynków, nie mających często związku z życiem działacza.

— Byłem bezradny.

— Niektórym ludziom łatwiej zabawiać się w detektywów, aniżeli uprawiać politykę, o której mówią, że jest ich powołaniem czy przeznaczeniem. Najgorsze następuje jednak wówczas, gdy się chce dać detektywistycznym poczynaniom podbudowę teoretyczną i to koniecznie z zakresu rewolucji, państwa, dyktatury proletariatu, w oparciu o marksizm-leninizm.

— Nie bardzo wiem, o czym mówicie.

— Bo też nie możecie wiedzieć. Nie czytaliście nic przez te lata.

— Nie.

— No więc. To nie żadna sztuka mieć wyższość nad wami.

— Byli tacy, którzy mi ją stale okazywali.

— Mam wrażenie, że ci ludzie już was nie odwiedzają.

— Nie. Istotnie.

Rozmowy trwały po pięć, sześć godzin dziennie. Obecnie Szpakowaty był tym, który nalegał, aby śledztwo prowadzone było

bez zbytecznych przerw. Był pełen życia, werwy. Przeszkadzały mu i denerwowały niedziele, uważał, że powstaje niepotrzebna luka, oddalająca moment zakończenia rozmów. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. W duchu obliczał, ile dni znów wypadnie z planu zajęć: bezczynność przedłużała jego pobyt tutaj. Pewnego dnia, gdy na prośbę Szpakowatego prokurator został dłużej, przybyła do kancelarii lekarka.

— Przepraszam, prokuratorze — powiedziała — ale ja nie mogę się zgodzić, aby mój były pacjent rozmawiał tyle godzin.

— Ja proszę — bąknął Szpakowaty.

W owym czasie zniknął nagle szef śledztwa, jego miejsce zajął ktoś inny. Następnego dnia zmieniono wszystkich wartowników, pojawili się nowi, nieznani ludzie. Minęły święta. Pod koniec roku przedłożono mu sankcję prokuratorską, przedłużającą śledztwo o dalsze trzy miesiące. Rzucił okiem na druczek, gdzie odczytał nagłówek o nieznanym do tej pory brzmieniu: Komitet do Spraw Bezpieczeństwa Publicznego.

— Co to znaczy? — zapytał majora, który czekał na podpisanie dokumentu.

Przybyłego widział po raz pierwszy.

— Porozmawiamy — odparł tamten. — Mam wasz życiorys — rzekł oficer i wydobyl z teczki plik papierów.

— Czy znów zaczynamy od nowa?

— Porozmawiamy.

— Ja już nie mam sił do tego wszystkiego.

— Musimy.

— Słuchajcie, powiedzcie, co to wszystko znaczy. Tu ciągle zmieniają się ludzie, jest inny szef śledztwa, prokurator inny... I teraz ten komitet... — chciał jeszcze coś dodać, lecz urwał i zakończył: — Jeśli codziennie będę musiał zaczynać wszystko od nowa, jeśli codziennie przybywać będą inni ludzie pragnący ze mną rozmawiać i poznać moją sprawę, to ja stąd nie wyjdę nigdy.

— Powinniście być zadowoleni i to bardzo, że ludzie się zmienili. Dopiero teraz macie szansę wydostania się stąd.

— Wydostania się? Ja chcę wyjść, a nie wydostać się! — Major uśmiechnął się. — Powiedzcie nareszcie, co się w Polsce dzieje, powiedzcież!

Oficer rozłożył ręce.

— Nie jestem powołany do tego. Wkrótce przekonacie się sami.

— Co się tam dzieje? — Szpakowaty spojrzął ku zakratowanemu oknu. — Rewolucja czy co? Ja widzę, że rozmowy, sposób postępowania ze mną uległy zmianie...

— Dlaczego się dziwicie? — Oficer ujął dwoma palcami plik arkuszy i dźwignąwszy je dodał: — Przecież tu nie ma nic przeciwko wam, literalnie nic. I nie jesteście bynajmniej wyjątkiem.

— Wiem o tym — szepnął. — Zjawiała się piekąca gorycz. Stłumił łzy.

Oficer odwrócił się i obserwując mapę Polski, wiszącą na ścianie gabinetu, zapalał bez pośpiechu papierosa.

Całe dni schodziły na rozmowach. Lekarka znów zjawiała się i zakazywała prowadzenia długich „konferencji”, jak je nazywał oficer. Szpakowatego opanowała sztubacka, młodzieńcza przekora.

— Nam się przyjemnie rozmawia, pani doktor.

— Ale te przyjemności trwają zbyt długo. — Jej czarne, podłużne oczy były ciepłe, igrał w nich uśmiech.

— Pani doktor chce, abym tu dłużej został — odparł śmiejąc się.

— O nie. Pan mi już dosyć nadokuczał.

— Im dłużej będziemy rozmawiali, tym krócej tu będę. — Szpakowaty spojrzął na majora, szukając u niego poparcia.

— Nic na to nie poradzę. — Major rozłożył ręce. — Pani doktor jest tutaj najwyższą władzą.

— A jeśli przyniosę kartkę od pani doktor? — Szpakowaty nie spuszczał oczu z twarzy lekarki. — Czy mogę prosić o zezwolenie?

— Dobrze, już dobrze — odparła lekarka. — Gadajcie sobie.

W paczce doręczonej 1 stycznia znalazł fotografię Marii. Zdjęcie było stare, wyblakłe. Łatwo więc domyślił się, że nie zostało wykonane obecnie. Zresztą znał to zdjęcie. Z białego tła spoglądała kobieta o szerokiej twarzy. Włosy ucięte krótko bieżyły równą linią nad wysoko sklepionym czołem, pod którym ujrzał znajome oczy, spokojne i poważne. Ona nigdy nie miała takich oczu — pomyślał z trwogą. Z dna wspomnień wypłynęło jedno: w zamierzonych latach dzieciństwa ktoś mu opowiadał, że po śmierci oblicze zmarłego ulega na fotografii zmianie. Po śmierci... Jednocześnie pojął, że Maria nie może opuścić łóżka.

Pisał do Marii odrywając co chwila wzrok od kartki. Miał przed sobą niemą twarz, która przykuwała jego myśl na długie chwile. Odkładał pióro i znów sięgał po nie: w bolesnej rozterce nie wiedział, jakich ma użyć słów. Każde wydawało mu się dziwnie puste, odległe od treści, jaką chciał pomieścić w tym trudnym liście. Były tam jakieś zapewnienia, które przy ponownym czyta-

niu wydawały mu się błahe.. Czymże mogły być dla Marii, którą samotne cierpienie pozbawiło nawet możliwości pisania. Długo męczył się, zanim napisał kilkanaście zdań.

Otrzymał odpowiedź, którą pisała nieznana ręka, zamasyście, szeroko, zeszlowieczną kaligrafią, jaką również i jemu wpajano w gimnazjum. Każda litera nowego zdania miała linearny ozdobnik, zgrabnie zakręcony wężyk, niteczkę, gałązeczkę.

Moi drodzy!

Jestem u Waszej żony, pisać na razie jeszcze nie potrafi, przeto na jej życzenie wyręczam ją. Elektryzacja zakończona (może po pewnym czasie będzie wznowiona), a masaż trwa i masażystka zapowiada prędką poprawę, mającą głównie na względzie chodzenie.

Ostatnio nadszedł Wasz list i spodziewamy się niezadługo następnego. Dni się dłużą — i z dnia na dzień Was oczekujemy! Nie sądźcie, że wszyscy Was opuścili. Przykro pomyśleć, że Was wśród nas nie ma, ale sprawiedliwość weźmie górę i liczymy na Wasz bliski powrót. Żona Wasza prosi Was serdecznie pozdrowić. I ja (Gołąb) łączę gorące uściski dłoni.

U dołu drżącą ręką Maria dopisała ołówkiem:

Pozdrawiam Cię.

Szpakowaty uśmiechnął się. Stary Gołąb, poczciwy stary Gołąb z SDKPiL... Zupełnie o nim zapomniał. I z zadowoleniem powiedział cicho: „Tak dalece o nim zapomniałem, że w żadnym z życiorysów nie wspomniałem go...”

Minął styczeń 1955 roku. Od kilku dni major nie przychodził i znów zrodziły się podejrzenia, niepokoje. Szef śledztwa zapytany o przyczyny przerwy odparł:

— Uspokójcie się, śledztwo zostanie zakończone w ciągu miesiąca.

— W kwietniu minie sześć lat — odparł Szpakowaty. — Już chyba czas najwyższy.

— Jakie dać wam dowody? Mam polecenie, abyście sprawdzili, czy zgadza się wykaz rzeczy, które jeszcze pozostają w depozycie. To niezawodny znak, że zbliża się chwila zwolnienia.

A więc wszystko gotowe — pomyślał. Ruszył ociężałe do celu i wtedy ujrzał na korytarzu jakiegoś człowieka, za którym wnet zamknęły się ciężko okute drzwi. Trwało to mgnienie oka, ale Szpakowaty nie miał wątpliwości: to był pułkownik Chmiel, ten sam, który z nim rozmawiał na Dworcu Głównym w Warszawie, zanim wsiadł do pociągu odchodzącego do Karlovych Varów...

Z początkiem lutego znalazł w paczce doręczonej przez majora kopertę sporych rozmiarów. Otwierał ją drżącymi rękami długo,

niezgrabnie. Wyczuwał w jej wnętrzu grubą tekturkę, wreszcie wydobył list i fotografię Marii. Odwrócił szybko zdjęcie — widniała na nim pieczętka: „Lotos” i data: 5. II. 1955. Maria stała na zaśnierzonym skwerku, w głąb biegła ulica Francuska, zwiężająca się coraz bardziej, wytyczona drzewami, tymi samymi, które znał. Maria miała na sobie stary płaszcz i szal na głowie, przylegający ściśle do twarzy, czoła, włosów. Zdawało mu się, że Maria uśmiecha się z zawstydzeniem. Nikt jej nie podtrzymywał, a więc stała o własnych siłach. Szpakowaty zakrzętnął się, biegł po celi. Major obserwował go, uśmiechając się z lekka, wyrozumiale, przychylnie.

— Majorze! Zabierzcie list, proszę was! Pomyślcie! Taki dzień! Taki wspaniały dzień! Nie odmówcie mi.

— Nie odmówię. Napiszcie.

— Zaraz, zaraz. — Wszystko leciało mu z rąk. — Zaraz napiszę.

Mario, moja kochana!

Dziś otrzymałem paczkę żywnościową, czyli w dniu przekazania, a w niej to, co było dla mnie najmiłsze, najdroższe i największą radość mi sprawiło — Twoją fotografię. No cóż, kochanie, zestarzeliliśmy się oboje. Jest to zresztą naturalne i byłoby samo przez się nastąpiło także w normalnych warunkach bytowania, a to, że zostało spotęgowane w naszej tragicznej sytuacji — jest też zrozumiałe. Nie ma co ukrywać, Mario, prawdy, iż przyglądając się Twojej ostatniej fotografii, a czynić to przecież będę częściej niż raz dziennie, dostrzegłem, jak przeżycia ubiegłych sześciu lat odbiły się na Twym obliczu. I czemuż tu się dziwić? Myślę, iż zdobyłaś spośród najnieszczęśliwszych matek i żon tytuł przodownicy, tylko że w tym wypadku nie jest on zaszczytny, a jedynie tragiczny. Od siebie dodam, że zdarzają się nieszczęścia nieuniknione, ale nasze — i to w całej rozciągłości — według mojego głębokiego przekonania nie musiało, a może nawet nie powinno było nastąpić.

Kilka dni temu szef śledztwa zapewnił mnie, że śledztwo jest na ukończeniu i potrwa najwyżej do czterech tygodni. Dla mnie koniec śledztwa równoznaczny jest z wolnością. Od pierwszej chwili aresztowania nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. Dałem temu wyraz w liście z czerwca 1950 roku, skierowanym do ówczesnego przewodniczącego partii. Pisałem wtedy, między innymi, „że nikt i nie nie zmieni faktu, iż pracowałem w szeregach SDKPiL i KPP uczciwie, odważnie i ofiarnie”. Przekonanie, że śledztwo, jak długo by nie trwało, nie zmieni powyższego twierdzenia, było tą moralną podstawą, która pozwoliła mi przetrwać przez te ciężkie lata.

Dla porządku, kochanie, jednak dodaję, że formalnie rzecz biorąc dopiero po zakończeniu śledztwa następuje decyzja umorzenia sprawy, to jest zwolnienia albo skierowania jej do sądu. Aczkolwiek nikt nie powinien być sędzią we własnej sprawie, to jednak nie umiem sobie wyobrazić w moim wypadku innej decyzji, jak właśnie umorzenia śledztwa. Jeszcze trochę cierpliwości.

Sądząc z fotografii, zrobionej przed naszym domem, jest z Tobą naprawdę coraz lepiej. A skoro jest lepiej, to będzie i zupełnie dobrze. Toteż jeszcze raz dziękuję serdecznie za przesłane mi zdjęcie. Bardzo a bardzo ono mnie uspokoiło.

Zmartwiła mnie natomiast w Twym liście wiadomość, że „Starszy pan” jest bardzo chory. Poza osobistą sympatią i zrozumieniem jego wartości w dzi-

siejszej dobie, rozumiesz sama, jak dalece jego osoba jest dla mnie ważna, jako ten jeden z nielicznych pozostałych przy życiu (zapomniałem o istnieniu starego Gołaba!), którzy mogą powiedzieć o mojej partyjnej działalności.

Tobie, kochanie, wydaje się zapewne naturalne, że odwiedzają Cię Anna, Gołab, a może i inni, o których mi nie napisałaś. Nie umiem wypowiedzieć, jak bardzo wiadomość o tym mnie uradowała. Przede wszystkim dlatego, że nie zostałaś sama sobie pozostawiona, a następnie — a to już dla mnie bardzo przyjemna wiadomość — że niektórzy znajomi i to nawet tacy, jak Gołab, widąc nie bardzo uwierzyli w to, że w Polsce Ludowej najwłaściwsze miejsce dla mnie to więzienie. Warunki nie pozwalają mi na to, aby do każdego napisać oddzielnie, pozdrów więc wszystkich ode mnie bardzo serdecznie i każdemu z osobna dziękuję za udzielanie się Tobie i za wiarę w moją uczciwość. Zapewniam, że nie zrobię im zawodu i będę zawsze pamiętał, że prawdziwych przyjaciół poznaje się w nieszczęściu.

Bądź zdrowa i napisz wnet najdokładniej o sobie, o stanie zdrowia, bo to teraz najważniejsze. Całuję Cię.

Minęło znów kilka dni. Pewnego przedpołudnia wezwano go do kancelarii, gdzie zjawił się ponownie prokurator, ten sam, który z nim rozmawiał niedawno. Towarzyszył mu jakiś nieznany człowiek. Przybyły wymienić swoje nazwisko i dodał, że jest delegatem Komitetu do Spraw Bezpieczeństwa.

— Z braku podstaw śledztwo zostało umorzone — powiedział prokurator.

— Jesteście wolni — uzupełnił człowiek z Komitetu.

Szpakowaty stał z opuszczoną głową. Przymknął powieki. Wokoło była olbrzymia cisza, wypełniająca serce spokojem, błogim milczeniem. Tamci czekali na coś, spoglądając niepewnie ku drzwiom, na teczki leżące na biurku.

— Czy możecie mi powiedzieć, jaki jest stosunek partii do mnie?

Widzieli jego poblakłą twarz, oczy zasnutę łzą, czoło poorane zmarszczkami. Przed nimi stał bardzo stary człowiek.

— Bądźcie spokojni, towarzyszu — powiedział cicho prokurator. — Bądźcie zupełnie spokojni.

— Co wiecie o tej sprawie? — nalegał Szpakowaty.

— Po opuszczeniu więzienia zorientujecie się we wszystkim.

— We wszystkim... — powtórzył cicho i podał prokuratorowi dłoń.

Ten z Komitetu uzupełnił:

— Wasza żona wie, że wracacie dziś do domu. Czeką w mieszkaniu.

Prokurator jeszcze raz uściśnął mu rękę.

Stary, schorowany człowiek z rzadka opuszczał mieszkanie, w którym spoczywała sparaliżowana kobieta, niezdolna poruszać się

o własnych siłach. Mówiła z trudem: był to jakiś niewyraźny bełkot, który go przeraził. Przypomniał mu niepojęty dźwięk, który wydobywał się zamiast mowy z gardła konającego więźnia...

Szpakowaty spisywał wspomnienia. Obok „Starszego pana”, przebywającego od dłuższego czasu w sanatorium, był jedynym pozostałym przy życiu członkiem kierownictwa SDKPiL, jedynym z nielicznych członków KC KPP. Pisanie pamiętników zleciło mu wydawnictwo partyjne, gromadzące wspomnienia i materiały o ruchu robotniczym w Polsce. Szpakowaty rozumiał doniosłość tego zadania, więc zabrał się z zapałem do pracy. Jednakże teraz, gdy spojrzał na nowo na minione życie i zaczął je przemierzać powoli, rok za rokiem, odczytywane kartki wydawały mu się mało ciekawe, nieinteresujące. Niejednokrotnie zapytywał siebie: po co to robię? Komu to się przyda?

Mimo to pisał dalej. Z nastaniem wiosny wychodził, na prośbę Marii, na dłuższy spacer, lecz trapiiony niepokojem wracał niebawem zadyszany, wylekniiony. Czasami szedł aż do śródmieścia, gdzie w odosobnieniu tkwił na olbrzymiej, kamiennej pustyni Pałac, oglądany kiedyś na zdjęciach zamieszczonych w „Stolicy”. Zmęczony szedł Alejami, odwiedzał znajome miejsca, Łazienki, Ogród Botaniczny, Park Ujazdowski. Tam siadał w cieniu, by odpocząć. Za nim, po drugiej stronie ulicy, stał gmach, w którym przebywał kiedyś, na próżno wypatrując w nocy Wisły, domu nad rzeką. Wtedy żył jeszcze Piotr. Na to wspomnienie zrywał się i spieszonym krokiem zmierzał do przystanku, by jak najszybciej wrócić do domu. Maria czeka...

Pewnego dnia spotkał w czasie spaceru człowieka, który na jego widok uradował się i przyspieszył kroku. Szedł ku Szpakowatemu żwawo, uśmiechnięty.

- To wy! Towarzysz Szklarz! — zawołał stary człowiek.
- Towarzyszu! Towarzyszu! — Szklarz był podniecony, wesół. — Jakże się cieszę! Jakże się cieszę! Kiedy was wypuszczono?
- W maju 1955 roku. A was?
- W kwietniu.
- Czyli wcześniej.
- Po trzecim plenum — uzupełnił Szklarz.
- I co robicie? Gadajcie! Jak zdrowie, żona, dzieci?

Spojrzenie Szklarza pociemniało. Milczał. Szpakowaty obserwował go uważnie. Twarz Szklarza żłobił smutek. Jakiś niedobry grymas błąkał się koło jego ust.

— Czy sprawiłem wam przykrość? — zapytał cicho Szpakowaty.

— Nie. Nie — zaprzeczył żywo Szklarz. — Nie, skądże!

— Więc co z wami?

— Nic szczególnego. Mieszkam w Szczecinie. Żona zdrowa, dzieci zdrowe, wiecie jak to bywa.

— A gdzie pracujecie?

Szklarz nie odpowiedział od razu.

— Nie pracuję.

— Jak to nie pracujecie? A co robicie?

— Wyjeżdżam.

— Wy? A dokąd to?

— Do Izraela.

— Co? Wy do Izraela? A dlaczego? Co to znaczy?

— Mam tego dość. — Zniżywszy głos do szeptu, powtórzył:

— Mam tego dość. Mam wszystkiego dosyć.

— Czego macie dosyć? Nie rozumiem.

— Mam dosyć użerania się, utarczek, walki.

— Komunista nigdy nie przestaje walczyć. Taka jest nasza cecha.

— Zależy, przeciwko czemu się walczy, zależy, jakiego przeciwnika się ma przed sobą, towarzyszu.

— Nie rozumiem.

— Kiedy musiałem walczyć z faszystami, z policją, z ONR-owcami, wszystko było dla mnie jasne. Ale teraz?

— Bo z kim musicie teraz walczyć?

— Właśnie z nikim.

— Dajcie spokój. Co to za gadanie!

Szklarz zbliżył twarz do twarzy Szpakowatego.

— Czy wiecie, że towarzysz Antoni, ten który mnie oskarżył o trockizm i przez którego przesiedziałem w Polsce Ludowej pięć lat bez uzasadnienia, jest nadal członkiem partii?

Szpakowaty zbladł.

— Nie, to niemożliwe!

— Chcecie dowodów?

— Nie, nie! — Szpakowaty wykonał ręką ruch obrony. — Nie, nie trzeba, ja wam wierzę. — Po chwili zapytał: — I co dalej?

— Towarzysze go bronią, powiadają, że ma zasługi.

— Ale zrobił świństwo niegodne komunisty!

— To ja mówię. Ja tłumaczę, że komunista to taki człowiek, który nie robi świństw. — Szklarz zamilkł. Szpakowaty spojrzał na niego z ukosa.

— Mówcie, towarzyszu.

— Towarzysze powiadają, że ma zasługi i za to, co zrobił, nie można go wydrzeć z partii. Oni chcą mnie przekonać, że powinienem zostać, zamiast przekonać jego, że powinien odejść. Powinien zostać w partii, powiadają.

— Po tym, jak oskarżył niewinnie człowieka?

— Jego nie można usunąć, bo ja jestem Żyd. Jego usunięcie obudzi nastroje antysemickie. Tak powiadają towarzysze.

— Nie rozumiem.

— Ja tego też nie rozumiem, ale to ciągle powtarzają.

— I dlatego wyjeżdżacie?

Szklarz stał z opuszczoną głową. Milczał.

— Obraziliście się na partię? — rzekł z przekąsem Szpakowaty.

— Nie — szepnął Szklarz. — To moja partia, ja nie umiem obrażać się na partię. Tak jak nie umiem obrażać się na Biłgoraj, do którego przykuła mnie nędza. Już go nie zobaczę nigdy.

— Więc dlaczego wyjeżdżacie?

— Może rzeczywiście przeze mnie rosną te nastroje antysemickie?

— To kłamstwo! Nie wolno wam tak mówić.

— A mnie tłumaczą, że drobnomieszczaństwo żydowskie wydało samych komunistów. I ten zarzut godzi we mnie. Mój ojciec był czapnikiem, nie dobywał nigdy węgla.

— I cóż z tego wynika? Powiedzcie im, niech i wam wyjaśnią, dlaczego drobnomieszczaństwo polskie dało kupę ONR-owców i prawie żadnych komunistów! A zresztą! — Szpakowaty machnął gwałtownie ręką. — Nie dajcie się ściągać na taką płaszczyznę dyskusji. To wasz kraj, tu wasza ojczyzna!

— To małe pocieszenie, towarzyszu. Mnie na każdym kroku przypominają, że jestem tu obcy.

— Zróbcie tak, jak sumienie wam każe.

— Sumienie? — Wzrok Szklarza uciekał gdzieś dalego, ponad drzewa ogrodu. — Sumienie? A wy?

— Co ja?

— A wy dlaczego mi nie powiecie: „Nie jedź, Szklarz, tu masz zostać”. Dlaczego wy, stary towarzysz, SDKPiL-owiec, KPP-owiec, nie pójdzie ze mną do KC i nie krzykniecie: „Dość, towarzysze! Dość kompromisów, bo znów rezygnujemy z jednej z podstawowych zasad socjalizmu”. — Szklarz oddychał z trudem. Dotknął ręką serca. Uśmiechnął się blado. — Wybaczcie, towarzyszu, wybaczcie. Nie warto o Szklarza chodzić do KC, zapewniam was, nie warto. Zdenerwowałem się. — Szpakowaty milczał. Szklarz mówił dalej: — Wierście mi, tu nie chodzi o mnie, bo co mnie jeszcze czeka w życiu? Zrozumcie — znów mówił szeptem — jeśli się porzuca zasadę, jedną bodaj zasadę, jeśli się ją wykreśla z norm postępowania w stosunkach z ludźmi, to już potem łatwo odejść od drugiej, trzeciej, czwartej. Potem łatwo odejść od wszystkiego, przekonacie się.

— Nie wyjeżdżajcie, towarzyszu Szklarz. Tu w tym kraju dużo rzeczy się zmienia, musi się zmienić. To, że my jesteśmy na wolności, to przecież oznacza powrót do jakichś zasad. A jak waszym zdaniem ja mam postąpić wobec tych, którzy mnie trzymali w więzieniu sześć lat? Mam się obrazić na partię? Wyjechać?

— Waszym dzieciom nikt nie wypomni...

Szpakowaty ruszył spiesznym krokiem przed siebie. Zmierzając ku wyjściu nie oglądając się na człowieka, który siedł obok zwróciwszy ku niemu twarz. Szklarz coś mówił, wyjaśniał, tłumaczył, chciał zatrzymać starca, który kroczył z kamienną twarzą, wpatrzony w białą ścianę pałacyku, stojącego na wprost wyjścia ogrodu...

Innym razem, uniósłszy głowę znad książki, którą czytał na ławce w Łazienkach, ujrzał jakąś kobietę. Była wysoka, smukła, szczupła. Szła spiesznym, prężnym krokiem. Była młoda, opalona, Szpakowaty widział jej wąskie ramiona, okryte lekkim, zwiewnym szalem. Starzec patrzył na nią długo, nie mogąc oderwać oczu od tej postaci pełnej gracji i piękna. Idąca rozglądała się wokoło, jakby szukała kogoś. Po chwili odwróciła się, zmierzała ku ławce, na której siedział. Teraz ujrzał twarz tej kobiety. Było to oblicze pociągłe, smagłe, o wysokim czole, z włosami zaczesanymi gładko. Starcowi serce zabiło żywo. Ja gdzieś widziałem tę twarz — pomyślał. — Ja gdzieś widziałem tę kobietę... W miarę jak postać zbliżała się, rósł niepokój. Słyszał chrzęst żwiru. Twarz kobiety była spokojna. Idąc minęła go. Nagle wstał.

— Proszę pani!

Kobieta przystanęła. Odwróciła głowę, w jej wzroku była niepewność. Stała tak chwilę nadsłuchując dalszych słów, których nie było. Mimo to czekała.

— Proszę pani!

— Słucham!

Odwróciła ku niemu twarz. Jej głos był ciepły, spokojny.

— Słucham pana — powtórzyła.

— Przepraszam panią, ale już chyba gdzieś panią widziałem.

— A to bardzo możliwe.

— Proszę się nie gniewać, ale zna pani pewnie to nękające uczucie, gdy człowiek chce sobie przypomnieć jakieś wydarzenie i nie potrafi.

Kobieta uśmiechnęła się.

— Znam, proszę pana, znam doskonale to uczucie. Chętnie bym panu pomogła, ale naprawdę nie wiem, gdzie mnie pan już widział.

Szpakowaty cofnął się o krok, jego twarz pokryła bladość. Tamta to zauważyła.

— Proszę pani — wybełkotał. — Proszę pani. To chyba nie-możliwe... — Urwał i wnet dodał: — Pani mieszkała w Katowicach?

— Tak — odparła uradowana. — Oczywiście! Ale to dawno temu.

— Tak, dawno. — Szpakowaty liczył w pośpiechu. — Z osiem lat temu.

— Tak — nieznajoma przytaknęła żywo, niemal radośnie. — Ależ tak! A gdzie mnie pan spotkał?

Szpakowaty nie odpowiedział od razu.

— Pani miała... — Poprawił się: — Pani ma dwóch synów, tylko nie pamiętam już, jak się nazywają.

— Anatol i Jacek.

— Tak, tak — odparł uradowany. — Tak, rzeczywiście. Anatol i Jacek, teraz sobie przypominam. Pani ich wołała przez okno. Wychodzili wtedy z domu.

W oczach kobiety pojawiło się zaniepokojenie.

— I wtedy pan mnie widział?

— Tak. A właściwie nie. Pani tam mieszkała, wiem na pewno.

— Czy pan mieszkał w pobliżu?

Szpakowaty roześmiał się.

— I tak, i nie. Różnie bywało. Ale właśnie tam, w Katowicach, widziałem panią.

— To dziwne.

— Co panią dziwi?

— Bo ja pana nigdy tam nie widziałam.

— Pani nie mogła mnie widzieć.

— Ach, tak — odparła. Po czym dodała tonem obojętnym, chłodnym: — Właśnie szukam synów. Przepraszam pana.

Odeszła. Szpakowaty patrzył za nią niemo. Wezbrał w nim straszliwy żal. Chciał pójść za nią, pomóc jej w szukaniu synów, lecz oto nadeszli rozradowani, dorośli niemal. Wtedy kobieta obejrzała się. Dziwny człowiek — pomyślała. — Gdzie mógł mnie widzieć?

Szpakowaty uśmiechnął się do niej, do jej synów, dalekich i obcych.

W maju 1957 roku, po kilkudniowych obradach IX plenum, opublikowano uchwałę w sprawie odpowiedzialności partyjnej za wypaczenia w organach byłego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. W uchwale była również mowa o Szpakowatym, mimo

iż nie wymieniono go z nazwiska. Szpakowaty już nie przeczytał tego dokumentu.

Szpakowaty zmarł wczesną wiosną. Maria, przykuta do łóżka paraliżem, ujrzała w pewnej chwili, jak Szpakowaty pada na podłogę. Wylew krwi do mózgu unieruchomił ciało na kilka sekund, potem usłyszała rżenie, lecz nie potrafiła krzyknąć, pośpieszyć na ratunek. Jacyś znajomi byli w mieszkaniu, gdy wynoszono zwłoki. Na biurku zmarłego zostały niedokończone pamiątniki. Obok stosu zapisanych kartek stała fotografia w ciemnej ramce: widać na niej było dwóch młodych chłopców. Ku nim chora zwracała niemy wzrok.

Pogrzeb Szpakowatego odbył się trzy dni później, w południe. Świeciło słońce, drzewa zakwitły. Na cmentarzu zebrali się znajomi, przyjaciele. Pułkownik Chmiel, wypuszczony niedawno z więzienia, przybył na cmentarz. Raz tylko rozmawiał ze Szpakowatym, wtedy, na Dworcu Głównym, potem widział go jeszcze jeden jedyny raz: na korytarzu pawilonu, w którym obydwaj przebywali kilka lat. Mimo to uważał za swój obowiązek oddać zmarłemu ostatnie honory.

Przybył również w porę Aron Szklarz, który przeczytał o śmierci Szpakowatego w gazecie szczecińskiej. Szklarz stał na uboczku, samotnie. Nikt go tu nie znał. Również on nie znał nikogo. Założywszy ręce w tył trwał w milczeniu. W czasie przemówienia przedstawiciela kierownictwa partii, gdy już spuszczano trumnę do dołu wykopanego pod rozłożystym, szumiącym, żywym drzewem, Szklarz mówił szeptem:

— „Nie wróci się więcej do domu swego, ani go więcej pozna miejsce jego. Przetoż ja nie mogę zawściągnąć ust moich: mówić będę w utrapieniu ducha mego, będę rozmawiał w gorzkości duszy mojej...”

Ale oto zaintonowano już Międzynarodówkę, więc Szklarz zaniechał słów Hioba i razem z wszystkimi podjął pieśń.

22. V. - 20. VI. 1957

Autor w kilku wypadkach posługiwał się fragmentami autentycznych wspomnień i listów.



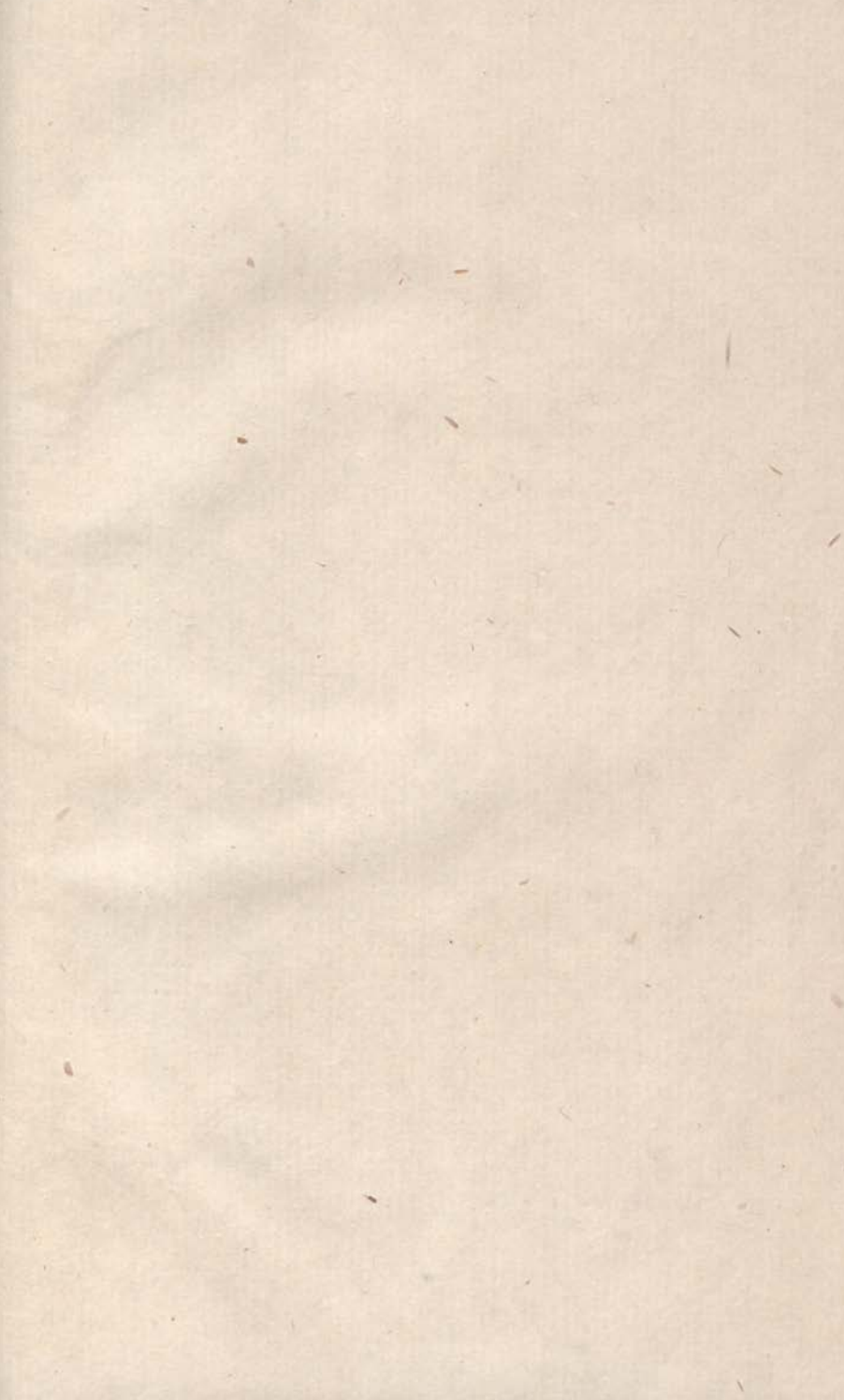
A C H E V E D'IMPRIMER
LE 6 DECEMBRE 1968
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 4^e trim. 1968



Kultura
Pauzi
23.V.69

Cena 16,50 F (dol. 3,75)





777.523

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001018603710